

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/474

1987



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

PELIKAN: **BURCZY W BRZUCHU WIELORYBA...**

L. UNGER: **MOURIR POUR KIRIBATI?**

K. CHYLIŃSKA: **WYBORY I KILKA SPRAW OBOK**

Z KURATOWSKA: **SŁUŻBA ZDROWIA - KTO WINIEN?**

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	3
Pelikan:	<i>Burczy w brzuchu wieloryba, ale o co chodzi</i>	11
Tomasz Jerz:	<i>Ruch Społeczeństwa Alternatywnego</i> ..	33

WIERSE

Tadeusz Chabrowski:	<i>Odciski palców matki. — Zamiast sonetu</i>	43
Adam Bąkowski:	<i>Bezsenność dzień. — Wyspa Świętego Ludwika</i>	44

ARCHIWUM POLITYCZNE

Kamila Chylińska:	<i>Wybory i kilka spraw obok</i>	45
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i z Australii</i> ..	54
Dominik Morawski:	<i>Polonica we Wspólnym Rynku</i>	65
Zbigniew Byrski:	<i>Wielki terror roku 1987</i>	67
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (12)</i>	72

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	77
Józef Kardynał Glemp, prymas Polski:	<i>Homilia wygłoszona 8 stycznia 1987 roku (fragmenty)</i>	79
Józef Kardynał Glemp, prymas Polski:	<i>Życzenia na Boże Narodzenie dla wierzących obrządku grekokatolickiego</i> ..	81

K R A J

Zofia Kuratowska:	<i>Służba zdrowia — kto winien?</i>	83
-------------------	--	----

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	98
Józef Darski:	<i>Kronika ukraińska</i>	105
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	113

SPRAWY I TROSKI

Joanna Pilarska:	<i>Włosi a wizyta gen. Jaruzelskiego</i> ..	116
Renata Gorczyńska:	<i>Nowy Jork na ziemi i w chmurach</i> ..	117
Jerzy Boniecki:	<i>Czy tylko krzywe spojrzenie?</i>	123
Komunikat:	<i>Wyróżnienia POLCUL Foundation</i> ..	126

CI, CO ODESZLI

J.B.:	<i>Ryszard Krygier</i>	127
-------	------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Stefan Kisielewski:	<i>Brukselczyk z Warszawy widziany</i> ..	129
Leopold Unger:	<i>„Orzeł” — i mała resztką</i>	141
M. Broński:	<i>Literaci i Lewiatan</i>	142
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	146



—	<i>Wydarzenia miesiąca i kroniki australijska i nowozelandzka oraz francuska</i> ..	149
---	---	-----



M. Chlebowicz, M. Kurecka, K. J. Krótki, J. Nowak, W. Popławski, E. M. Thompson, M. Heller, A. Więckowski, J. St. Witkiewicz i K. A. Jeleński:	<i>Listy do Redakcji</i>	158
--	--------------------------------	-----

DOKUMENTY

Społeczny Komitet Nauki:	<i>Niezależny ruch wydawniczy</i>	167
--------------------------	---	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec - Mars

1987

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Wilhelm Bismayer, Des Plaines, IL (USA), po raz 22-gi — \$ 40,00	F. 240,00
Bronka i Nelka — w 10-tą rocznicę śmierci Olka Borowskiego — zamiast kwiatów na Jego grób	F. 250,00
Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 19-ty	F. 511,00
Tomira Buxell, Wellesley, MA (USA), po raz 12-ty — \$ 124,00	F. 737,00
Jan Bychowiec, Chicago, IL (USA) — w piątą rocznicę śmierci mego najserdeczniejszego przyjaciela i wiernego wilnianina, Mieczysława Urbana — kpt. pilota Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, zmarłego 12 grudnia 1981 roku w Londynie — \$ 30,00	F. 172,50
Dla uczczenia pamięci Adama Sokólskiego — Romana i Krys-tyna z Kopenhagi	F. 176,12
Inż. Norbert Gawroński, Amsterdam — Flh 100,00	F. 230,00
Stefan Ginilewicz, Backersfield, CA (USA), po raz 11-ty — \$ 40,00	F. 232,50
Leon Grobelny, Dearborn, MI (USA), po raz 8-my — \$ 8,00	F. 48,00
Zofia i Jan Hempel, Burwood, Vic. (Australia) — dla uczczenia pamięci naszego przyjaciela śp. Stanisława Stolle, długolet-nie prenumeratora wydawnictw <i>Kultury</i>	F. 80,00
W. Iwanowski, Milton, MA (USA), po raz 27-my — \$ 15,00	F. 82,50
Tadeusz Knapkiewicz (Winterthur (Szwajcaria), po raz 14-ty — Fr.szwajc. 55,00	F. 209,00
Halina Kościuch, Sterling Heights, MI (USA) — dla uczczenia pamięci śp. Syna Henryka i Meza Mieczysława — po raz 6-ty — \$ 25,00	F. 150,00
Roman Lonc, Uppsala (Szwecja), po raz 2-gi — Krs 100,00 ..	F. 95,00
A. J. Luckevich, Palos Verdes, CA (USA), po raz 10-ty — \$ c. 106,00	F. 546,00
J. Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 9-ty — \$ c. 54,00 ..	F. 232,00
Ks. Donald M. Malinowski, Royston, B.C. (Kanada) — zamiast kwiatów na grób artysty malarza śp. Eugeniusza Such-ckiego z Toronto, Ont. — \$ c. 73,00	F. 350,00
Stefan Nędzyński, Genewa (Szwajcaria), po raz 16-ty — Fr.szwajc. 100,00	F. 380,00
Bronisławstwo Partyka, Port Orange, FL (USA), po raz 8-my — \$ 20,00	F. 112,50
Maria C. Parkot, Detroit, MI (USA) — \$ 10,00	F. 52,50
Jerzy i Anna Piekarscy, Ann Arbor, MI (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Marii Karolczyk, zmarłej w Krakowie 9 stycznia 1987 roku — \$ 35,00	F. 202,50
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada), za styczeń i luty 1987 r., po raz 18-ty — \$ US 200,00	F1.200,00
Kazimierz A. Różankowski, Ocean Grove, N.J. (USA), po raz 11-ty — \$ 66,00	F. 392,50
M. Sienko, South River, N.J. (USA), po raz 11-ty — \$ 10,00 ..	F. 52,50
Dr Zenon Sikora, Hagen/Haspe (RFN) — DM 75,00	F. 247,00
Zygmunt Sowa, Indian River, MI (USA) — w związku z 40-le-ciem <i>Kultury</i> , po raz 19-ty — \$ 132,00	F. 790,00
Aleksandra Stachelska, Athol (Afryka Południowa), po raz 14	F. 285,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 174)

Dziennik pisany nocą

Neapol, 7 stycznia 1987

Gdyby Szekspirowi pod koniec życia do rąk wpadła *Historia Longobardów* Paolo Diacono, napisana w VIII wieku, u schyłku dwóchsetletniego przeszło podboju longobardzkiego Włoch, za-trzymałaby się długo nad rozdziałem, w którym do głosu dochodzą równocześnie dwa wątki...

Druga połowa VI wieku. Z górą trzy lata Pavia stawia czoło oblężeniu króla Alboina. Poddaje się wreszcie. Gdy zwycięski Alboin wkracza do miasta, jego rumak upada w bramie, nieczuły na ostrogi i różgi. Jeden z longobardzkich wojowników zwraca się wówczas do króla: „Pamiętaj, mój królu i panie, jaki uczyniłeś ślub. Złam ten okrutny ślub i wejdiesz do miasta. Lud Pavii jest chrześcijański”. W trakcie oblężenia Alboin ślubował, że do nogi wybije oblężonych, którzy z takim uporem odpierali ataki najeźdźcy. Posłuchał teraz rady swego wojownika, złamał ślub i obiecał pokonanym pobjąźliwość. Jego rumak poderwał się natychmiast z ziemi i wniósł królewskiego jeźdźcę do miasta. Alboin przyjął hołd mieszkańców Pavii z balkonu pałacu zbudowanego przez Teodoryka. Panował we Włoszech trzy lata i sześć miesięcy. Zginął z poduszczenia swej żony Rosemundy. Ucztował w Weronie, podpity i wesoły nad miarę, i kazał nagle podać wino Rosemundzie w czaszy zrobionej z czaszki jej ojca, króla Kunimonda (Diacono nie wyjaśnia, dlaczego i w jakich okolicznościach Alboin zgładził swego teścia). Królowej pociemniało w oczach z bólu, zawrzała gniewem (nie pokazując go po sobie) i w duchu powzięła zamiar zamordowania męża dla pomszczenia ojca. Wy-jawiła później ten zamiar Helmechisowi, mlecznemu bratu Alboi-na. Wyznaczony na mordercę Peredeo, znany ze swej ogromnej siły, odmówił podniesienia ręki na króla. Rosemunda posłużyła

się chytrym fortelem. Wiedząc, że Peredeo co noc zakrada się do jej słuźebnej, zastąpiła ją w łóżku. Kochanek, nieświadomy z kim w ciemnościach i milczeniu zażywa rozkoszy, usłyszał po miłosnych uściskach straszne słowa: „Jestem Rosemunda. Taką popełniłeś zbrodnię, że albo ty zabijesz Alboina, albo Alboin zabije ciebie”. Wybrał ocalenie własnej skóry. Zabił króla z pomocą królowej. Pochowano Alboina, wśród płaczu i lamentu wszystkich Longobardów, pod stopniami schodów pałacowych. Helmechis, poślubiwszy Rosemundę i przez nią podjudzany, usiłował sięgnąć po królewską koronę. W walce o tron ledwie uszedł z życiem, z Rosemundą i ze skarbem Longobardów. Uciekli do Rawenny, gdzie dał im schronienie longobardzki namiestnik królewski Longin. Rosemunda zapragnęła zostać przynajmniej panią Rawenny. Uległa namowom Longina, który obiecał jej małżeństwo w zamian za zabicie Helmechisa. Podała Helmechisowi puchar z zatrutym winem. Odgadł skrytobójczy plan po pierwszym łyku i mieczem przymusił ją do wypicia reszty. „Tak — kończy Diacono — z woli wszechmocnego Boga obydwójce niegodziwi mordercy umarli w tej samej chwili”.

Jakie więc wątki odkryłby Szekspir w rozdziale *Historii Longobardów*? Najpierw, w Weronie, cień longobardzkiego Hamleta (w spódnicy). Potem, w Weronie i w Rawennie, cień longobardzkiej Lady Makbet.

9 stycznia

Powstanie może kiedyś pękaty katalog największych kreacji aktorskich Hamleta. Otworzy go Richard Burbage, pierwszy na scenie Hamlet, prosto z szekspirowskiego pieca dramaturgicznego. Miał trzydzieści pięć lat, lecz wyglądał na starca. Był otyły, nosił brodę, cierpiał na zadyszkę. Skoro takiego królewicza duńskiego zaakceptował i pobłogosławił jego twórca, należy odnosić się z rezerwą do zapoczątkowanej przez Goethego tradycji Hamleta „drżącego płomienia świecy”, Hamleta jako personifikacji „wahania i niezdecydowania”. Mamy zresztą tę tradycję za sobą w epoce rozlicznych i mnożących się wciąż wersji Hamleta „naszego współczesnego”.

Najsilniej przemówił do mnie Hamlet według „klucza” interpretacyjnego, jaki podsunął teatrowi Salvador Madariaga w wydanej po wojnie książeczce o szekspirowskiej tragedii. Widziałem go w Londynie około roku 1950. Powinieniem dodać: udało mi się go zobaczyć, bo wygwizdany przez publiczność został po dwóch przedstawieniach zdjęty z afisza. Grał go Alec Guinness: z hiszpańską bródką w szpic, z okrągłym brzuszkiem, przebiegły książę w duchu renesansowym, wytrawny gracz nawykły do intrygi,

operujący wieloznacznym słowem niby zatrutym floretem, z kilkoma w zanadru maskami do wyboru (między innymi z maską „chorobliwego wahania”), z własnymi uczuciami trzymanymi na uwięzi jak sfora gotowych do skoku psów. W giełgudowsko-olwierowskim Londynie rzecz była nie do strawienia.

Ile ma twarzy Szekspir? Tyle ile mają zawsze i wszędzie namiętności ludzkie, gdy „wyskakują z zawiasów”.

15 stycznia

Papież nazwał swoje spotkanie z Generałem „historycznym”. Przmiotnik jest nadużywany a więc i zbanalizowany, ale w każdym razie przywołuje na myśl koniec jednego rozdziału i początek następnego. Pewien korespondent watykański użył w telewizji, mówiąc o „Solidarności”, zwrotu „rozdział zamknięty”. Korespondent ów jest z natury prędki w reakcjach i sformułowaniach, wolno jednak sądzić, że w tym wypadku powtórzył wierne „historyczny” werdykt usłyszany za Spiżową Bramą.

Polsko-watykańskie „spotkanie na szczycie” nie było tylko protokolarne: trwało wyjątkowo długo, chłód przywitania przemieniło w powściąganą lekko serdeczność pożegnania. Generał nazwał spotkanie „niezapomnianym”, podkreślił „rozumienie” okazane mu przez rozmówcę, zapowiedział dojrzewanie owoców wizyty w niezbyt odległej przyszłości. W wywiadzie udzielonym przez Generała włoskiemu dziennikowi przed wyjazdem do Rzymu padło zdanie: „Jeśli chodzi o konieczność zmian i korektur w Polsce, także ja należę do opozycji”. W tym przypuszczalnie charakterze, „opozycjonisty godnego tej nazwy” (w przeciwieństwie do „tak zwanych opozycjonistów zagrażających fundamentalnym interesom państwa”), rozmawiał z Papieżem. Bez odpowiedzi musi pozostać pytanie, czy miał rzeczywiście prawo pochwalić się napotkaniem u rozmówcy „rozumieniem”.

W moim zapisie dla pamięci nie chciałbym wyjść poza ramy kroniki. Toasty Generał-Craxi były swoistym pojedynkiem na traktaty. Generał wspominał o Jałcie i Poczdamie, Craxi o Hel-sinkach. Prezydent Cossiga zabawił Generała rozważaniami o starożytności i sztuce. Nader ożywiony adwokat Agnelli z Fiata przedstawił interesy swego koncernu w Polsce czyli kraju taniej robocizny, ku zadowoleniu Generała. Sekretarze syndykatów (komunista, socjalista i chadek) uparcie bronili swych kolegów z „Solidarności”, ku zgorszeniu a nawet oburzeniu Generała. Demonstrantów ulicznych z partii radykalnej Generał zbył pogardliwie epitetem „barbarzyńcy”.

Monte Cassino stało się widownią ceremonii osobliwej i zaiste „historycznej”. Przy dźwiękach hymnu narodowego Generał objął

symboliczną komendę nad duszami tysiąca poległych, mianując ich dowódcą w zaświatach generała Ducha na miejsce zignowanego ostentacyjnie Andersa.

Obserwatorzy spotkań i chwil „historycznych” oraz „tak zwani opozycjoniści” w Polsce rozporządzają teraz obfitym materiałem do refleksji.

19 stycznia

Często poniektórzy nowi emigranci, niegdyś dość wysoko postawieni w hierarchii partyjno-rządowej, robią mi ustnie i listownie wymówki, że schodzę „poniżej poziomu” (w sumie ocenianego pochlebnie), upierając się przy obrazie sowiektizmu jako systemu wzorowanego na mafii. Co, rzecz jasna, jest skutkiem i zarazem dowodem mojego „oderwania”. Na mapie kolejnych fal emigracyjnych oderwani dzielą się na całkowicie oderwanych, półoderwanych i ćwierćoderwanych. Moja wysługa lat na obczyźnie kwalifikuje mnie — automatycznie, nieodwołalnie i bezlitośnie — do kategorii pierwszej. Moi krytycy, ubolewając szczerze nad ześlizgami mojego pióra „poniżej poziomu”, skłonni bywają niekiedy zaserwować mi dodatkową, obok oderwania, okoliczność łagodzącą: oto mieszkam od trzydziestu przeszło lat na południu Włoch, ocieram się codziennie o działalność mafii, lubię czytać jej pisarskiego znawcę Leonardo Sciascia. Mają tu trochę racji, zwłaszcza gdy się pamięta, kto w dziejach sycylijskiej mafii potrafił jej zadać dotkliwy cios, nie cios śmiertelny, o nie!, ale naprawdę dotkliwy. Faszyści, którym totalitarna mentalność i totalitarne metody ułatwiły zwalczanie mafijnego bezprawia, bronią własnego bezprawia. Bo najgłębszą istotą mafii jest właśnie bezprawie i w tym sensie uważam mafijność za główną cechę sowiektizmu i jego demoludowych pochodnych, całą zaś resztę za kostium „ideologiczny” na benefis profitariuszy i ofiar bezprawia. Dokładnym „ideologicznym” odpowiednikiem Nomenklatury sowieckiej jest w mafii sycylijskiej *Onorata Società*, Czcigodne Stowarzyszenie.

Że jednak nie jestem aż tak „oderwany” i uwarunkowany bliskim sąsiedztwem Sycylii, może świadczyć tekst który przeczytałem wczoraj w miesięczniku *Encounter*. Specjalista od tasienkowych i wyczerpujących wywiadów George Urban wziął w krzyżowy ogień pytań sławną śpiewaczkę rosyjską Galinę Wiszniewską, żonę Mścisława Rostropowicza, emigrantkę (pozbawiono i ją i jej męża obywatelstwa sowieckiego) od dziesięciu zaledwie lat. Obraz systemu sowieckiego wzorowanego na mafii przewija się w jej wypowiedziach niemal obsesyjnie. „Związek Sowiecki jest krajem bezprawia, albo ściślej krajem, w którym prawo dyktują odgórnie rządzący. Rosją rządzi dziś jedna wielka, rozgałęziona

mafia. Jej macki sięgają do każdego kąta, do każdej szpary w ZSSR”. „Klasa rządząca typu mafijnego na skalę ogólnonarodową, klasyczna mafia łącznie z takimi atrybutami jak Ojcowie Chrzestni”.

W opowieści Leonardo Sciascia *Dzień puszczyka* lokalny mafioso zauważa filozoficznie, że „pod nosem mamy usta, nie tyle do mówienia co do jedzenia”. Trup z wciśniętym do ust kamieniem przypomina od czasu do czasu członkom *Onorata Società* podstawowe przykazanie mafijnych Tablic Kamiennych: zasadę tajności. Galina Wiszniewska powołuje się dla przykładu na historię nowocerkaskiej rewolty robotniczej w roku 1962. Obracała się wtedy w Moskwie w najwyższych sferach przywódców partyjnych i rządowych, nigdy nie usłyszała słówka o Nowocerkasku, dowiedziała się o nim dopiero w dziesięć lat później w Anglii.

Czy mafia sowiecka wytrzyma *głasność* Gorbaczowa, samobójczą z mafijnego punktu widzenia zasadę jawności? Osobiście bardzo w to wątpię, ale chwilowo Gorbaczow porusza się jeszcze w obrębie „socjotechnicznych” sztuczek na pokaz, można zatem darować sobie odsmażanie zjeżdżającego tematu „reformowalności” systemu. Widzę raczej Gorbaczowa z kamieniem w ustach, jeśli Związek Sowiecki ma przetrwać do końca obecnego stulecia (i tysiąclecia).

20 stycznia

Umarł najgłośniejszy malarz włoski, rodem z Sycylii, Renato Guttuso. Nie należę do admiratorów jego malarstwa, chociaż trudno mu odmówić ekspresjonistycznego rozmachu i mistrzostwa w wielkich, tłumnych scenach: ucieczka z Etny, rynek w palermitańskiej dzielnicy Vucciria, chłopci okupujący ziemię na Sycylii, pogrzeb Togliattiego.

Był komunistą od wojny, a po wojnie przez wiele lat członkiem KC partii i senatorem z listy komunistycznej. Od jakiegoś czasu oziębiły się jego stosunki z partią: wolał Togliattiego od Berlinguera, Breżniewa od Gorbaczowa. Przed śmiercią pojadał się z Kościołem, o czym opowiada zaprzyjaźniony z nim arcybiskup Angelini. Skandal wśród duchowieństwa włoskiego wywołało w roku 1941 jego *Ukrzyżowanie z nagą Magdaleną*. Arcybiskup Angelini żyzyma się na małoduszność zgorszonych księży, obraz uważa za arcydzieło, podkreśla że nagą Magdalenę namalował Guttuso odwróconą plecami do patrzących. Jedna z dziesiętnych gazet przytacza krótkie wspomnienie Guttuso z lat komunistycznego ferworu: „Widziałem Stalina w Moskwie. Przechodził między gośćmi na wielkim przyjęciu kremlowskim, niezgrabny starzec w ładnym szaro-błękitnym mundurze, ozdobionym

jedną tylko dekoracją; szedł żwawym krokiem, z pięknym spojrzeniem. Mogłeś w nim podejrzewać wszystko, ale nie to że był okrutnym satrapą. Mnie wydawał się Madonną". Madonna, informuje arcybiskup Angelini, odegrała główną rolę w przedśmiertnym powrocie Guttuso na łono Kościoła.

28 stycznia

Dowiedziałem się wczoraj przypadkiem od znajomych o setnej rocznicy urodzin architekta P., który dziesięć lat temu stracił w ciągu kilku tygodni wszystko co posiadał, łącznie z rodziną (mniej-sza o to, w jakich okolicznościach) i wkrótce potem wyniósł się z Neapolu do rodzinnej wsi abruzzyskiej. Ponieważ znany był ze swej pobożności, nazwano go wtedy „nowym Hiobem". Nigdy się z nim nie zetknąłem, raz tylko po tragedii pokazano mi go z daleka, siedzącego samotnie na ławce w parku miejskim. Skąd więc mój sen, tak przy tym dziwaczny, o zupełnie dla mnie obcym człowieku?

Istnieje specjalna odmiana snów, dosyć rzadkich, których irrealna atmosfera ma w sobie coś z „tamtego brzegu" Kubina. Kto zna Kubina, wie że chodzi o symbiozę rzeczywistości doczesnej i (że się tak wyrażę) pośmiertnej. Sekret polega na stopieniu w jedno dwóch czasów: płynącego jeszcze i już zatrzymanego. Przenikają się nawzajem tak dokładnie, że żadnego z nich nie można doświadczyć osobno. „Tamten brzeg" jest naszym, nasz brzeg „tamtym". Nie tylko most między nimi nie został zerwany, ale on właśnie, i wyłącznie on, posiada cechy trwałości. Most zbudowany z materii snu.

Wspinałem się w moim śnie do wsi abruzzyskiej oblodzoną, śliską i wąską drogą, obsuwając się i z uporem wracając, zmuszony często do chwytania się nagich gałęzi drzew na zboczach. Ze wsi, mimo że widziałem dobrze jej zabudowania z kościołem w środku, nie dochodziły najmniejsze odgłosy życia. Różne bywają postacie bezruchu, ta była czystą martwotą. Odgađłem, że Jubilat mieszka na samym szczycie wsi; jego dom na skarpie, oddalony od reszty domów, ogrodzony murem, bez okien, robił wrażenie małej twierdzy. Nie odrywałem od niej wzroku, od niej i od krzyża na kościele. Wyminałem zabity deskami kościół, wszedłem w uliczkę prowadzącą do małej twierdzy. Towarzy-szyły mi spojrzenia za szybami okien w domach po obu stronach uliczki; wszystkie twarze patrzących były bardzo stare.

Drzwi małej twierdzy otworzyła mi niska, przygarbiona i zasz-szona staruszka. Wpuściła mnie bez słowa, bez słowa też zapro-wadziła mnie do pokoju Jubilata. Leżał w ubraniu na łóżku, przykryty futrem, z wyglądu zdumiewająco krzepki, o przy-

gałych tylko, wypłowiałych oczach. Naprzeciw łóżka tykał głoś-no staroświecki zegar ze złotym talerzem wahadła. *Come sta?* — zapytałem odruchowo. Uśmiechnął się: *Sto morendo*. I po przerwie: „Jestem zanadto filozofem by nie rozumieć, że byłoby straszne gdyby człowiek nie mógł nigdy umrzeć, zamknięty w więzieniu jakim jest życie". Były to — wyjaśnił zaraz — słowa jego „ulubionego filozofa". Spostrzegłem na podłodze obok we-zgłowia otwartą książkę, jakby wypadła mu z rąk przed moim wejściem do pokoju. „To Księga Hioba — powiedział, — czy-tam ją stale! i przeczytałem chyba wszystko co o niej napisano. Nie rozstaję się z nią, bo napełnia mnie uczuciem dumy. Za dużo w niej, stanowczo za dużo, mów: za dużo mówi Hiob, za dużo mówią jego przyjaciele, za dużo nawet mówi sam Bóg. Ja znalazłem godniejszy sposób na wierność Bogu w cierpieniu, w nieszczęściu. Milczenie. Żyję tak długo — sto lat! — gdyż Bóg jest zaskoczony moim milczeniem, oczekuje wciąż moich skarg. Nie usłyszysz ich nigdy. Więc w końcu będzie musiał usza-nować i nagrodzić godność mojego milczenia, uwolni mnie z wię-zienia jakim jest życie". W tej chwili rozległ się wybuch czy-jegoś śmiechu. Im bardziej wzmagął się ten śmiech, wprawiając w drżenie ściany domu, tym wolniej poruszało się wahadło w ze-garze, aż znieruchomiło i wstrzymało tykanie. Ostatnie co z mo-jego snu pamiętam, to wykrzywiona przerażeniem twarz „nowego Hioba".

3 lutego

Wielotomowy *Dostoevsky* komparatysty amerykańskiego Jose-pha Franka zbliża się stopniowo do tego, co zwykło się określać jako „monografię definitywną". W wydanym świeżo trzecim tomie *The Stir of Liberation 1860-1865* Frank poświęca osobny rozdział przeoczonym na ogół *Zimowym zapiskom o letnich wra-żeniach*, widząc w nich słusznie preludium do zwrotnego punktu w twórczości Dostojewskiego, *Zapisków iz podpolja*. W *Zimo-wych zapiskach* z roku 1863 Dostojewski opisał swoją podróż na Zachód latem poprzedniego roku. W Londynie odwiedził paro-krotnie Herzena. Podczas pisania miał ustawicznie w myślach (i na biurku) *Listy z Francji i Włoch* Herzena, choć ze względów cenzuralnych nie mógł ich cytować. Co chrześcijańskiego *pocz-wiennika* łączyło z oświeconym ateistą i liberalnym przeciwni-kiem caratu? Awersja do „bezdusznego" zachodniego racjonaliz-mu i materializmu, zatrutych źródeł wschodzącego nihilizmu ro-syjskiego. „Ojcowie" dojrzeli na Zachodzie chorobę, która miała niebawem wtargnąć do ich kraju i krok po kroku opanowywać organizm „dzieci". Obojętne w jakie, każdy po swojemu, wierzyli lekarstwa. Jednocześnie ich lęk przed szerzeniem się bezdusznosci,

indyferentyzmu i relatywizmu moralnego, pod naporem triumfującego, wszechwładnego rozumu.

Czytam, że Milan Kundera wytoczył proces Dostojewskiemu w obronie wzgardzonych przez niego skarbów Zachodu: racjonalizmu, sceptycyzmu, zdrowego rozsądku. Cała zatem konstrukcja, którą migawkowo przedstawiłem na marginesie trzeciego tomu monografii Franka, odwrócona zostaje do góry nogami. Na przykład (wolno mniemać, wybiegając do przodu) „socjalizm naukowy” za swój przyjęli i później w życie wprowadzili nie czytelnicy racjonalnych „nowinek” i książek „zbójceckich” przemycanych do Rosji z Zachodu, lecz czytelnicy Dostojewskiego. Jakże się to czytelnikom Dostojewskiego mogło udać, skoro jego świat jest przeciwieństwem „naukowości” i wszechwładzy rozumu? Kundera bowiem tak oto wspomina swoją lekturę Dostojewskiego po inwazji Czechosłowacji w 1968 roku: „Drażnił mnie u Dostojewskiego sam *klimat* jego powieści: świat, gdzie wszystko obraca się w uczucie; innymi słowy, gdzie uczucia podnosi się do rangi wartości i prawdy”. Ten „klimat” drażnił również, ba — do furii doprowadzał, Lenina. Ten widocznie „klimat” spowodował zakaz wznawiania *Biesów* w okresie stalinizmu, do momentu gdy po inwazji niemieckiej w roku 1941 utorowała im drogę przedmowa o „wyraźnym w powieści przeczuciu hitleryzmu”. Oskarżycielski ton Kundery zakrawa na kpiny ze zdrowego (sławionego przez niego samego) rozsądku. Można Dostojewskiego lubić albo nie; nie lubił go Nabokow. Można, jak to zrobił Kundera w roku 1968, uciec z ulgą od *Idioty* do *Kubusia Fatalisty* Diderota. Ale oglądać Dostojewskiego przez pryzmat czołgów sowieckich na ulicach Pragi, czy też na odwrót?!

„Był to (pyta Kundera) antyrosyjski refleks Czecha, wstrząśniętego okupacją swego kraju? Nie (odpowiada), bo nie przestałem kochać Czechów”. A jednak (podejrzewam) tak. Zdaje się, że poczynawszy od roku 1968 nowonarodzona rusofobia czeska dogania szybko zakorzenioną polską. A może nawet już ją przegania, zważywszy że najbardziej niegdyś rusofilski naród w tej części Europy przeżył szok zawiedzionej miłości, czego nie da się przecież powiedzieć o Polakach. Fałszywy stereotyp „dostojewszczyzny” zaszczipiony jest na fałszywym — jak wszystkie stereotypy narodowe — obrazie „Rosjanina w ogóle”, który przesłania *sowieckie* oblicze najeźdźcy i wroga. Dlatego odnoszę się także z pewną nieufnością do rozwiniętego nagle przez Kunderę sztan-daru nostalgicznego Środkowej Europy, włączając w nim sposób na ignorowanie Rosjan w imię „naszych związków z Zachodem”. Dla narodów podbitych i zniewolonych przez ZSSR byłby to ciężki, jeśli nie zgubny, grzech krótkowzroczności.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Burczy w brzuchu wieloryba, ale o co chodzi?

Coś zastanawiającego, żeby nie powiedzieć fascynującego — zresztą w przykry sposób — tkwi w powtarzającym się co pewien czas braniu na serio rządu Jaruzelskiego. Ani ten reżim, ani jego poprzednie wersje — zawsze emanacja sowiecka — nie były i nie są reformowalne, co znaczy, że nie ma w nich części wy-miennych: wstawienie nowej śruby powoduje od razu ruinę całej maszyny, to od dawna jasne, już dawno zamienione na truizm. Ale widać nie! Listopadowa *Kultura* piętnuje „syndrom negocjacji”: „Po pięciu latach od wprowadzenia stanu wojennego najbardziej zdumiewającą osobliwością postawy wielu przywódców i działaczy opozycji jest ożywiająca się wciąż nadzieja, że władza wreszcie zrozumie niesłuszność swego postępowania, że przejrzy na oczy... i podejmie dialog”.

To prawda, dostrzegalna nawet mniej na politykę wyrobionym okiem, więc również moim: czytam jakieś wspólne listy nazwisk w *Tygodniku Powszechnym*, czytam tam artykuły Brat-kowskiego zalecające różne ulepszenia gospodarcze, kąśliwe rady Kisiela i pełne rozsądku uwagi Wierzbickiego. W *Paris-Match* fotosy Wałęsy przyjmującego w zakrystii Françoise Sagan i byłego ministra francuskiego, którym się zwierza ze swojej taktyki kontaktowania się z władzami: oni tak, a ja tak, co przyniesie takie a takie zmiany w sytuacji. Rząd partyjny w Warszawie kreowany został na partnera tak zwanej (najfałszywiej w świecie) opozycji polskiej. By użyć modnego od sześciu lat terminu, jest to struktura *par excellence* wymyślona, zwycięstwo wyobraźni nad faktycznym stanem rzeczy. Zawsze byłem po stronie wyobraźni, ale okazuje się, że to światopogląd niebezpieczny. Może przyczyn tych daremnych manewrów należy i tym razem szukać w zdradliwości języka — język chętnie zwodzi na manowce.

Teraz, w dobie wszechstronnej depresji, najmniej zdawałoby się sprzyjającej ewolucjom wewnątrz masy językowej, dwa słowa — co najmniej dwa — wyskoczyły ze swoich starych miejsc w słowniku: struktura i opozycja. Wyraz „struktura”, uwolniwszy się ze swej semantycznej klatki, przefrunął na nowy, specyficznie polski grunt i zmienił się w polityczny idiom. To dialektyka, to żargon „Solidarności” natchnęły go tego rodzaju dynamiką. „Struktura” nie znaczy już budowy, związków konstrukcyjnych, tylko specjalne układy polityczne i to z podziemia. Inaczej z terminem „opozycja”, to mniej zabawne. Nie ma w Polsce opozycji od czasu próby Mikołajczyka! Nawet w mowotwórczej atmosferze solidarnościowej ten termin nie ma prawa zmieniać swoich kwalifikacji, bo grozi pomieszaniem pojęć i dewiacją działań. Słowo to należy ściśle do dykjonarza parlamentaryzmu i tylko w warunkach parlamentarnych, których w Polsce nie ma, może prawidłowo funkcjonować! Wszystko, co się u nas dzieje wbrew złej woli i naciskom, wbrew wszystkim formom imputowanym przez reżim, jest reakcją indywidualnego i masowego protestu, ale nie jest opozycją, bo narzucone przez reżim instytucje wykluczają dialog; ten protest, ta *résistance* dzieje się na poziomie całego, czy *quasi*-całego społeczeństwa, a nie na poziomie instytucji, które usurpują sobie rozmaite nazwy parlamentarne. Najważniejszy jest protest na poziomie indywidualnym i osobistym, co zauważył także życzliwy nam historyk angielski, Norman Davies, który mówi, że to co czyni Polaków tak interesującymi dla niego, to owa konieczność samookreślenia się każdego Polaka w stosunku do systemu władzy w Polsce.

Redakcja *Kultury* też lekkomyślnie przejmuje termin opozycja, co każe zastanowić się nad jej wewnętrzną, koncepcyjną solidarnością i integralnością. Przypisuję to chwili nieuwagi! Jeżeli jest prawdą, że nie tylko język sam w sobie jest środkiem wyrazu, ale i stosunek do języka ma niesłychaną wymowę, to *Kultura* coś przegapiła, coś ją wytrąciło z jej własnych kolein: akceptując słowo opozycja nie można krytykować „syndromu negocjacji”, bo ten leży w samej naturze partnerstwa — gdyby ono istniało. Jestem maniakiem, widziałbym z radością ognistymi zgłoskami zredagowany napis: STRZEŻCIE SIĘ CZASOWNIKÓW, STRZEŻCIE SIĘ KAŻDEGO SŁOWA!

Językowa lekkomyślność może prowadzić do takich właśnie koncepcji jak Rada Konsultacyjna, czyli do nonsensu, bo rząd nie chce być inny, niż jest — dobrze rozumiejąc, że być innym znaczyłoby przede wszystkim być innym w stosunku do swoich instancji w Moskwie, czyli w ogóle nie być. Językowa lekkomyślność wiedzie do nadmiernie selektywnych poglądów, w których — na korzyść wygodnej perspektywy — grzebie się sedno

sprawy, a olśniewający tego przykład można było znaleźć w wywiadzie z Władysławem Bieńkowskim w jednym z dawniejszych numerów *Kultury*. To był dopiero pokaz politycznej egzotyki!

Bieńkowski, choć od ustalenia się rządów komunistycznych mija lat czterdzieści, w dalszym ciągu odróżnia zło rosyjskie od rzekomych zalet ideologii, którymi się ono posługuje, sądzi, że na terenie w wiadomy sposób ograniczonym i zdeterminowanym — w Polsce — działać pozytywnie jednak trzeba i można. Nie ustrój nas dręczy — mówi dosłownie Władysław Bieńkowski — tylko ci, którzy go w pewien sposób realizują, więc wystarczy zmienić sposoby realizacji. Nienawiść do komunizmu to naiwność. Naiwnością jest bowiem „protestowanie przeciw koncepcjom ideologicznym, przeciw marzeniom o przyszłości, których wykreślić się nie da”. Bieńkowskiemu, który, jak z tego widać, również eksperymentuje w warstwie językowej, wydało się, że wystarczy słowu „marzenie” nadać podstawowy odcień semantyczny, zwykle pozytywny, i wszystko będzie w porządku, nawet ten system sowiecki z tego profanacją najprostszych marzeń człowieka o sensownym życiu będzie wtedy w porządku. Ale tak nie jest. Nie wolno wybierać słów z ich kontekstu, jak ptasich jaj z gniazda. Pani Maria Hernandez-Paluch, przeprowadzająca wywiad, nie skorzystała z okazji i nie nadziała swego rozmówcy na szpilę, jak rzadki okaz motyla, którego natychmiast trzeba zachloroformować i sklasyfikować. Dlatego, że nie da się zlikwidować marzeń, były właśnie erupcje pod skorupą bolszewizmu we wszystkich krajach, na Węgrzech i w Polsce w 1956, potem w Czechosłowacji w 1968, potem już parokrotnie w Polsce, aż do otwierającego nowe pole marzeniom, szybko anulowanego roku 1980. Bieńkowski, posługujący się kuszącym (według niego) konceptem kadaryzacji Polski, uczy polityki wyciszenia marzeń. Jego ideą jest przyzwyczajenie narodu do zła, które nabrało u nas łagodnych cech banalności. To na procesie Eichmanna ktoś użył tego wyrazu po raz pierwszy w przerażającym kontekście: banalność zła; zdaje się, że Hannah Arendt.

Ale także i Milan Kundera, który schronił się we Francji, używa tego zwrotu w podobnie zaskakującym kontekście. Wspomina ponury moment powrotu Dubczeka z Moskwy, gdy mówił przez radio jākając się, bredząc i łapiąc oddech. Wtedy „jedna rzecz stała się jasna. Czechy musiały się ugiąć przed zwycięzcą. Odtąd zawsze miały się jākąć, bredzić i łapać oddech. Skończyło się święto. Wchodziliśmy w banalność upokorzenia”.

O NIEREFORMOWALNOŚCI tej władzy można obrazowo dodać, że dlatego nie znosi części wymiennych, bo jest jak wyważona kompozycja artystyczna, jak kwartet Beethovena. Ani jeden motyw nie może być wyjęty z kwartetu, niczego tu zopero-

wać nie można, bo runie równowaga, a wraz z nią istota dzieła. Takie estetyczne porównanie jest nazbyt pochlebne dla agenturalnego rządu w Polsce, wiem dobrze, ale nie znalazłem lepszego dla wyjaśnienia natury systemu, którego wszechstronna niekompetencja wywołuje szyderstwo — a tylko jedna cecha budzi pewien rodzaj podziwu: nienaruszalność jego wewnętrznej kompozycji, nie znoszącej żadnej wstawki czy poprawki, w ogóle przemiany materii. Czy zauważyłeś (odzywam się w tym miejscu do swojego niewidzialnego partnera), czyś zauważył, jak nas wszystkich uwiera definicja tego reżimu? A przecież koń, jaki jest, każdy widzi. Nie, nie byłoby jednak sensowne bronić się przed każdym trochę głębszym, trochę bardziej globalnym zrozumieniem tego fenomenu. Arthur Koestler uważał, że bolszewizm to przypadek myślenia w obiegu zamkniętym, samowystarczalnego logicznie, a tym bardziej etycznie, automat doskonały. Powtarzam własnymi słowami idee Koestlera. Bolszewizm jest rodzajem wyrafinowanej kazuistyki, gdzie każdy szkopuł zostaje natychmiast wyjaśniony, bez wychodzenia na zewnątrz, idealnie tak samo, jak w systemie zamkniętym Freuda. Tam libido jest przedmiotem podświadomych zakazów, tu funkcjonuje libido polityczne, zabraniające wysunięcia się poza koło. Zwierza się freudystom, że cię gnębi myślowo tzw. kompleks kastracji, natychmiast odpowiadają: dlatego cię gnębi, ponieważ sam jesteś wciąż jego ofiarą. Powiedz bolszewikowi, że pakt niemiecko-sowiecki w 1939 do dziś budzi w tobie wątpliwości — usłyszysz w odpowiedzi, że to dlatego, bo jesteś jeszcze niewolnikiem drobniomieszczańskiej świadomości paczącej spojrzenie.

Jest to skleroza na poziomie środków rozpoznawania rzeczywistości i skleroza na poziomie koncepcji życia.

JA TYLKO Z MUSU uprawiam tu monolog. Więc, żeby i to nie upodobiło się do obiegu zamkniętego i aby wprowadzić do szkicu więcej przestrzeni i odstępów, tak zwanego w typografii światła, w ogóle nadać temu formę — rzecz niezbędną — przetransponuję monolog w dialog, zapraszając czytelnika do wzięcia w tym udziału. Każde czytanie jest w istocie dialogiem, bezgłośnym, ale dialogiem, myślowe repliki czytającego uzupełniają i strukturyzują lekturę.

RECTO: — Władysław Bieńkowski jest przeciwny spontanicznemu powszechnemu bojkotowi, program protestu do niczego nie prowadzi (dowodzi Bieńkowski), „to nie jest program społeczny, zwłaszcza koncepcja bojkotu pracy, afiszowania się tym — pomysły zrodzone tylko z odruchów emocjonalnych, a nawet jeżeli także moralnych, to też jest politycznie idiotyczny. Ci, którzy namawiają do eskapizmu, wycofania się, nie brania udziału

— jakby nie rozumieli, że kraj nie może zawiesić swojego życia, ono będzie trwało, będzie istniało, pisarze będą pisali, teatry grały, gazety będą wychodziły, bo to wszystko musi działać. Można bojkot ogłosić na jakiś czas, strajkować tydzień, dwa — z bojkotem jest ten kłopot, że diabelnie trudno się z niego wycofać, bo nie wiadomo, kto ma o tym zdecydować. On się ogłosił, że tak powiem, trybem plotki... (...) Co ma robić Polak w swoim państwie? Żeby nie kolaborować, nie wolno w ogóle niczego robić. Robotnik, który chodzi do fabryki z przymusu, winien pracować tam jak najgorzej. Przecież to szatański pomysł (wykrzykuje Bieńkowski): kolaboracja we własnym kraju! Hasło nie-kolaboracji jest zupełnie bezmyślne! Nie wiadomo, przeciw czemu się protestuje! Przeciwno pracy! Przeciwno normalnemu życiu w kraju!”.

VERSO: — Ten cytat obejmuje prawie wszystko, co Bieńkowski wtedy z siebie, poirytowany, wyrzucił... to chyba znaczy, że w tym tkwi coś prawdziwego — i rzeczywiście. Świadomość — być może — nie znosi, gdy się ją definiuje przez negację. To świadomości szkodzi na zdrowiu, zaczyna chudnąć i kurczyć się, w miarę przyzwyczajania do negatywnej sytuacji. Sam sto razy powtarzałeś, że najtrudniej jest żyć w negacji, tym bardziej narodowi.

RECTO: — Jednak najbardziej mi odpowiada powiedzenie, że odmowa kolaboracji to pomysł szatański: właśnie tak tu jest, wedle prawdy ludowej, kto z kim przestaje, takim się sam staje — w obrębie szatańskich praw i obowiązków systemu, szatańskiej bez wątpienia moralności, również i opór ujarzmionych nabiera tych cech nieprawdopodobnych. Gdybyśmy zaprojektowali opór anielski, to należałoby przyjąć tołstojowską zasadę niesprzeciwiania się złu. Kto się zżyma na skutki okresu „Solidarności”, ten nie ma prawa zapominać, że był to w swej istocie pierwotny odwet, skutek procesów akumulacji pretensji tak ogromnych, jakie tylko w skali doli narodowej się mieszczą. Pasja odwetu przeważała może na początku nad wszystkim innym i niewiele brakowało, aby to się skończyło masakrą, masowe ruchy rzadko są w skutkach obliczalne. Może tylko przypadek zrządził, że zwyciężyła mądrość i jeszcze coś dla wybujałości polskiej typowego: swego rodzaju wspaniałomyślność — tej doszczętnie skompromitowanej władzy ofiarowano szansę współpracy, wymazania przeszłości, zaczęcia wspólnego losu od początku, jeżeli roztanie nie jest do pomyślenia. Miała to być całkowicie oryginalna *tabula rasa*, co oczywiście w ogóle nie było możliwe, cóż by robił sklerotyczny system z tego rodzaju okazją. Bieńkowski o tych uwarunkowaniach zbyt szybko zapominał, gwałtowna rup-

tura ugodowych, sanacyjnych procesów wytworzyła nadmiar go-
ryczy. Czy można sobie wyobrazić potem coś innego, niż bojkot
udziału w życiu, które przestało być własnym życiem, w państwie,
które nigdy własnym nie było!

VERSO: — Niepokojący jest pośpiech w optowaniu całego
społeczeństwa na rzecz nieróbstwa! Jakby tylko na to czekano:
zastanawiam się, z całą ostrożnością, ile w tym tkwi specyficznie
polskiej tendencji do ukarania losu (i samych siebie) za pomocą
bezczynności, krótko mówiąc, ile w tym lenistwa, bo że lenistwo
ma u nas jakieś, gdzie indziej niesłychane, nieprawdopodobne
funkcje patriotyczne, to zdaje się nie ulegać wątpliwości. Cała
produkcja natychmiast omdlała, ludzie byli ciężko porażeni,
sparaliżowani, to jasne, ale i — najdobrowolniej bezrobotni. Ile
w tym nawyku z głębi historii rodem, nikt nie skalkuluje. Wła-
dza na ogół jest dla Europejczyka, może z wyjątkiem Anglików,
pojęciem negatywnym, jako źródło zakazów, charakter represyjny
władzy zatarł inne jej atrybuty. W polskich oczach władza jest
zdyskredytowana podwójnie, jako przymusowy import. Ame-
rykański dyplomata, sekretarz ambasady a potem ambasador w
Moskwie, gdzie w sumie przebywał 26 lat, twierdził, że ani
Amerykanie ani Brytyjczycy nigdy w pełni nie pojęli, do jakiego
stopnia działania w Polsce były operacją NKWD. W rozmowie
z prof. Zawodnym powiedział: „Sekcja polska NKWD była
prowadzona przez Bieruta przez 8 lat... (...) Prezydentem Polski
mianowano agenta sowieckiej policji”. W tych warunkach mówić
o polskim państwie, to nie tylko semantyczna beztroska, to szwin-
del i uzurpacja, może u Bieńkowskiego bezwiedna, z pośpiechu
zacierzawienia.

RECTO: — Nie wiem, jak ta dyskusja nam wyjdzie, zbyt
często się zgadzamy. Jednak podoba mi się ten atak Bieńkow-
skiego na „Solidarność” i jej spuściznę, każe się zastanowić,
pozwala przefiltrować naturalną skłonność do apoteozy. Bień-
kowski wali kuliakiem w ścianę, do której przyłożyliśmy ucho
— jakże to nieźnośnie dudni! Ale słysząc także ripostę, echo
odpowiadające w naszych umysłach, co wspomnienia odświeża
i buduje jakby na nowo poprzednie uczucia, zabarwione już teraz
historią, oprawione w najpiękniejszy rodzaj architektury, jaką jest
czas, perspektywa czasu.

Niedawno czytywałem się w jeden ze smutnych tekstów
epoki — wspomnienia Nadzieży Mandelsztam, żony poety zaszczu-
tego na śmierć w gułagu, gdzieś koło Władywostoku, w 1938.
Przy takiej lekturze analogie same się narzucają, ale raczej trzeba
z nimi ostrożnie. Nie wiem, czy istnieje polski przekład „Hope
against hope” (wydanie amerykańskie, cytuję w swoim tłuma-

czeniu). Podobno na początku Mandelsztam za wszelką cenę pra-
gnął „akceptować rzeczywistość i nawet znaleźć dla niej uspra-
wiedliwienie... czemu towarzyszyły stany nerwowe, przy czym
wydawał się jak zahipnotyzowany, mówił wtedy, że chciałby być
ze wszystkimi i bał się pozostać poza rewolucją, bał się prześlepić
to, co w jej realizacjach było podniosłe i stało się na oczach
wszystkich. Trzeba powiedzieć, komentuje Nadieżda, że wielu
moich znajomych, a byli między nimi ludzie wielkiej wartości,
żywiło podobne uczucia. Mój brat, Jewgenij, mawiał, że decydu-
jącą rolę w okiełznaniu intelektualistów odegrały nie strach i ko-
rupcja, choć nie zabrakło ani jednego ani drugiego, tylko SŁOWO
REWOLUCJA, którego za nic nie chciano się wyrzec... Zwykła
miłość życia skłaniała do akceptacji rzeczywistości”.

VERSO: — Czy to jest dla nas jakieś obowiązujące odniesie-
nie? Słowo „rewolucja” nigdy nie wywoływało u nas specjalnych
dreszczy, chyba w znaczeniu, jakie mu nadawał Mochnacki, ale
to znaczyło wtedy „insurekcja”, a nie rewolucja. Jeżeli po tej
wojnie była jakaś inteligencka skłonność do lewicowania, to z tych
póź szybko zrezygnowano w rezultacie zabiegów reżimu, bezpieka
zaraz to wybiła ze łbów.

RECTO: — Mam na myśli inny człon tego wyznania, ową
naturalną skłonność do akceptacji życia, zwykłą miłość życia, jak
to ujął Jewgenij, czyli coś rudymenarnego w człowieku. Kiepską
legitymację wystawia sobie ten, co się tego odruchu zapiera i chce
go utopić w cieczy dialektycznej, to jak zdrada pierwszego stop-
nia, samego gatunku, który nie mógłby się rozwinąć w uczucio-
wej i geograficznej abstrakcji. Cokolwiek można powiedzieć —
i to wiele rzeczy słusznych — o funkcjonowaniu świadomości
narodowej na wychodźstwie, sprawdzianem wszystkiego pozosta-
nie własny kraj i środowisko językowe, to, co jest odniesieniem
podstawowym: moje i twoje, bracie, miejsce. Na czym
polega nostalgia? Czy nie na zmąconej zdolności wpatrywania się
w horyzonty, wadliwej sile wzroku, który podsuwa jako pewnik,
że tylko jeden punkt, jeden obszar ma wartość magnetyczną.
Wystarczy byle co, aby wzburzyć rozumową równowagę. Nasu-
wają się raptem śmiesznie błahe, jakieś zredukowane do mini-
mum postulaty: byle zobaczyć tamte zielone dachówki w poślizgu
zachodzącego słońca, byle się móc jeszcze raz, na chwilę, oprzeć
plecami o pewien stary mur i poczuć jego zgrzybiałość pod ręką!
Że to jest sentyment, że to są podmywające wody głębinowe wi-
adomych emocji, o tym nie ma co rozprawiać. Istnieje pamięć
umysłu, ale i silna, jeżeli nie silniejsza, pamięć dotyku, pamięć
całego ciała. Nie wiem czy zauważyłeś, jaką w tym rolę gra
powonienie. Nie istnieje jeszcze — chyba na szczęście nie istnieje

— chirurgia chromosomów, która spowodowałaby mutację, fabrykując człowieka obojętnego na fenomen miejsca. Stara kora mózgowa, jak twierdzą neofizjologowie, siedlisko pierwotnych odruchów, pasji, okrucieństwa, ale także tego, co czyni chwałę człowieka, nauki i sztuki, ów nie do zoperowania (jak dotychczas) *cortex* afektywny, zahaczony jest w naturze o czynnik miejsca. A za tym ciągną niezmiernie konsekwencje: pewnego rodzaju oportunizm fizyczno-geograficzny wyłania z siebie oportunizm, do pewnych granic, polityczny. Szukam niewidocznych przyczyn owej gotowości do akceptacji otoczenia, bez względu na jego treść — o czym mówi żona Mandelsztama. W końcu od tego samego punktu zaczyna się także ta dzisiejsza gotowość różnych osobistości do pertraktowania z reżimem.

NIEDAWNO INTERESUJĄCE drgania tego *quasi-fizjologicznego* oportunizmu wywołało nowe hasło propagandy w kraju, tzw. atestacja. Kiedyś podobną wrzawę spowodował termin „reformy gospodarczej”, za czym poszło tzw. „wdrażanie”, wreszcie latem 1986 — owa „atestacja”, co już będę pisał bez cudzysłowu. Rządzący odczuwają co pewien czas, rytmicznie, potrzebę innowacji w tej dziedzinie, i nie bez powodu. Co znaczy atestacja? W zwykłych okolicznościach powiedziałoby się, że chodzi o potwierdzenie autentyczności, ale teraz zostało to celowo prze wartościowane i termin ma sygnalizować rozmaite działania zmierzające do sprawdzenia stanowisk pracy pod względem ich celowości, sprawności, wydajności. Mówiło się o tym bez przerwy i wyświetlało obrazki w telewizji; wartościowanie pracy, metoda analityczno-punktowa, kwalifikatory, siatka płac, ocena cech osobowych, taryfikacja... kubał na śmiecie znowu jest pełny, mam na myśli semantyczną śmieciarnię PRL. Społeczeństwo zna tę pozorowaną twórczość wyśmienie, Polacy stali się ekspertami od mistyfikacji, wynalezienie nowego frazesu w pełni tu zastępuje zmiany postępowania, zwłaszcza w gospodarce, i jakiś chorobliwy entuzjazm towarzyszy każdemu ewenementowi tego rodzaju: ktoś zaprzeczy zresztą, że od czterdziestu lat rządzi się Polską z pewnego punktu widzenia frazesem?

No dobrze, wzruszyć na to ramionami? Akcja odbywa się na oczach publiczności, w druku, w radio, w telewizji, cyrk ma komplety. W końcu najciekawsza jest reakcja, nasza społeczna, naturalna reakcja: w jakiś sposób to wciąga — i tego nie można zlekceważyć, w każdym razie należy się temu specyficznemu zjawisku porządnie analiza. Do zaproponowanej społeczności gry o charakterze sprawczym, prakseologicznym — w imię jego żywotnych interesów (wybrnąć wreszcie z tego arcymarnotrawstwa i nonsensu!) — w pierwszym odruchu jesteśmy przecież gotowi przystąpić. Niech nikt nie próbuje dowodzić, gdzieś na emigra-

cji, że w takim układzie należy odpowiedzieć tylko śmiechem i odpowiednimi gestami: tak można rozumować nie będąc tam, na miejscu. Umysł zaczyna pracować w oznaczonym kierunku... aż następuje nieunikniony szok, wiadomy szok, znany właściwie doskonale z wielu poprzednich, takich samych doświadczeń. Mija moment złudzenia, kończy się faza naturalnego oportunizmu, który uważam za bardzo ważny moment i za bezcenną, w pewnym znaczeniu fazę normalności — gdy ze skacowanego a ściśle mówiąc nieprawdziwego obywatela tej zmistyfikowanej Rzeczypospolitej wyłazi na krótki czas zwykły człowiek, głodny sensu, celu, wszystkich efektów życia. Tego, czego PRL nigdy nie ma do ofiarowania.

Następna, krytyczna faza jest moim zdaniem znacznie mniej ciekawa. W świetle najprostszego rozumowania akcja atestacyjna robi wrażenie musztardy po obiedzie. Dlaczego dopiero teraz, po czterdziestu latach, zabrano się do sprawdzania, czy wóz ma cztery koła? Po drugie, gdy się taki przegląd robi na serio, to należałoby go robić od góry do dołu i w poprzek, na wkoś, a nie na wrywki, impreza atestacyjna traktowana poważnie musiałaby mieć charakter medycznego *check-up*, bo organizm państwa albo jest całością, albo tylko udaje, że jest organizmem. W takim razie atestacja musiałaby dotyczyć wszystkich stanowisk pracy, naturalnie zaczynając od głowy, czyli od partii.

VERSO: — Czy w ogóle istnieje cokolwiek, w przekroju tych rządów, co godziłoby się nazwać dobrą robotą na rzecz społeczeństwa? Gdyby sporządzić jakieś podliczenie na podstawie prasy, to należałoby uznać, że było to pasmo nieustających sukcesów z bagatelными szparkami, zwanymi eufemistycznie „okresami błędów i wypaczeń”. Polacy są zdania, że w ciągu czterdziestu lat były wyłącznie błędy i wypaczenia — rząd jest zdania, że było na odwrót: ale ta kontrowersja jest syntetyczna, ilustruje cały stosunek wzajemnych poglądów na państwo, poglądów narodu i opinii rządzących. No dobrze: ale coście zrobili godnego pochwały, w przerwie między błędami a wypaczeniami, panowie stamtąd? Jak w biblijnej przypowieści o talentach, trzeba się rozliczyć z użytku, jaki się zrobiło z twórczych okazji. A to była okazja: opanowanie starego narodu z jego siłami regeneracji, naiwnością historiozoficzną, która jest zawsze potencjalną energią do wyzyskania. Nie ma wątpliwości, że zaraz po wojnie, przez kilka lat, społeczeństwo, w dużej mierze, było do pozyskania — mimo całej nieufności do Sowietów, mimo lekcji, jaką stanowiło wyrugowanie Mikołajczyka.

RECTO: — Gdyby pobrać próbki tej polskiej tkanki po 1945, okazałoby się jedno na pewno: że tylko samo społeczeństwo,

mimo całego chaosu w nowym kontekście, zostało autentyczne. I tylko jego praca dla siebie, podstawowa — jak pisał Osmańczyk, „praca Polaków” — miała wtedy i ma wciąż witalną wartość. Rząd nie zrobił niczego, czego by nie zrobił każdy najgorszy nawet rząd powołany po wypadkach wojennych i w okolicznościach odbudowy Europy, z tą różnicą, że poza tymi minimami rząd ów zachowywał się jak banda gangsterów w opanowanym miasteczku na amerykańskim pograniczu.

VERSO: — Sobie i tylko sobie — stwarzając pozory, że w żadnych innych okolicznościach nie byłoby to możliwe — przypisał takie rzeczy, jak odbudowa Warszawy, jak reforma rolna, zniesienie (rzekome) analfabetyzmu, zagospodarowanie tzw. Ziem Odzyskanych, upowszechnienie nauczania wszystkich stopni, rozwój uniwersytetów. Ten rząd zaprowadził wreszcie „sprawiedliwość społeczną”, tak stoi na jego wizytówce. Tupet takiego postawienia sprawy jakiś ślad w zmęczonych głowach zostawiał, trochę tego czadu — a była to dodatkowa forma opresjonowania — podziało. Niesłusznie przyjęło się, że opresja to więzienie, to podsłuch czy inwigilacja: gdy w witrynie księgarni widzę książki Rakowskiego i nie mam prawa tego wyszydzić, a personel księgarni nie ma prawa oddać tego na przemiał, to też jest przypadek opresji. Rząd Bieruta zaczął od rozpowszechnienia fałszywego autoportretu, co się wlokło jeszcze czas jakiś, jako rzeczy rozumiejące się same przez się, właśnie ta reforma rolna i odbudowa stolicy i różne inne.

RECTO: — Straszne! Warszawa mogła być zostać odbudowana jako miasto nowoczesne, mózgiem i wyobraźnią takich architektów, jak Maciej Nowicki, nie wstałaby wtedy z gruzów w postaci solennej rupieciarni. Co do reformy rolnej, leżała ona w naturze rzeczy po wojnie, dokonałby jej każdy rząd, równając do Zachodu, do stosunków i pojęć niedawnych aliantów, to było absolutne minimum — a nastroje samego społeczeństwa, definitywnie zdemokratyzowanego w okresie okupacji, nie dopuściłyby do innego rozwiązania. Ale reforma zostałaby w normalnych warunkach zrobiona po ludzku, z sensem ekonomicznym i bez tych kolosalnych szykan, przecież bierutowcy urządzili natychmiast polowanie na czarownicę, wedle sowieckiego szablonu. Na wieś wyprawiały się całe hordy zetempowców w ciężarówkach, istne rajdy na chałupy tak zwanych „kułaków”, indoktrynowane szczeniaki rabowały najędzniejsze mienie, wyciągając za ogon ostatniego prosiaka, obrażając chłopą polskiego i bijąc. Opowiadają o tym filmowe kroniki tamtych lat. Był umazany błotem kułak i było AK, oplwany karzeł reakcji, zgodnie z duchem całkowicie w Polsce nowego słownictwa. Do cudów, w ścisłym znaczeniu

tego wyrazu, należał fakt, że nie doszło do kolektywizacji wsi: wciąż prawie nietknięty temat do wspaniałej książki, w której tyle rzeczy można by wyjaśnić, konflikt między imputowanym krajowi diabelstwem i naturalną siłą jego oporu.

Za to przerażający obraz wyłania się z pobieżnego choćby przeglądu wykonywanych w Polsce zawodów. Jest to wykres upadku. Skorumpowani są dziennikarze, robotnik i kelner, ich styl pracy stał się karykaturą. Robotnik nic nie robi, niszczy materiał i narzędzia, mści się na całym otoczeniu. Dziennikarz kłamie. Kelner nienawidzi klienta i czasem go bije. A taka pozycja zawodowa, jak student, otoczona w tradycji polskiej niemałą aureolą, wręcz romantyczną? W ostatnich latach względnie szeroko ankietowano studentów, zaskakując ich nawet na ulicy i widąc z tego, że maksymą ich jest zadowalać się trójką, nie mają najmniejszej ciekawości naukowej, a po dyplomach nie obiecują sobie niczego, nawet wykonywania wyuczonego zawodu: stopy nieodebranych dyplomów leżą w sekretariatach uczelni, a inżynierowie, nawet elektronicy, nie mówiąc o prawnikach czy filologach, szukają zarobku w stacjach benzynowych albo otwierają budki z zagraniczną tandetą. To jest laurka wystawiona szkolnictwu wyższemu w PRL. A nie mów mi czasem o wojsku, to dopiero tragiczna w swej bezużyteczności służba społeczna, szydercza fikcja obowiązku, który wyprano z sensowności! Niby przeciw komu ćwiczą i musztrują tych naszych chłopców! Widziałem w Gdańsku 1970 obłąkane oczy jednego z nich, gdy kierował lufę w stronę tłumu, a potem natychmiast targnął tym do góry. Czy to wojsko ma się kiedyś bić z Francuzami, Anglikami, Amerykanami? Sytuacja warta greckiej tragedii. Również zagadnienie tzw. Ziem Odzyskanych warte jest pióra wielkiego historyka-moralisty i poety, w stylu Mickiewicza, w stylu Mi-cheleta.

VERSO: — Gdy się o tym zaczyna mówić, wśród najuczciwszych rodaków zapada głucho milczenie, słysząc nawet, jak się od środka barykadują, słysząc zgrzyt krat i zamków.

RECTO: — Nie dotyczy to wszystkich, może filipika Lipskiego przeciw megalomanii narodowej uczyni wiosnę, czy trochę wiosny — ale wiem, że to granat z zegarowym mechanizmem.

VERSO: — Czy naród do tego stopnia zgnieciony, wybity, oszukany i upokorzony nie ma prawa do politycznego, terytorialnego zadośćuczynienia?

RECTO: — Z łaski Stalina, decyzją Stalina, wedle moralności i w duchu kłamliwej mowy Stalina? W orbicie jego imperium?

Zobacz, ile tu paradoksów! Pozostaje sprawa historycznej prawdy i moralności. To tylko powoduje ucisk serca. Wstyd może być powodem zawału, zresztą wstydem obejmuję i siebie samego, ileż razy sam siebie przyłapuję w tym załganym miejscu. *Kultura* opublikowała ostatnio wywiad z Normanem Daviesem, autorem „God’s Playground”, niepospolitego eseju historiofilozoficznego, którego autor okazuje nam wnikliwą sympatię. Mowa w tej dyskusji o pewnego rodzaju nacjonalizmie jeszcze sprzed wojny, nadal lansowanym dziś przez bolszewików w Polsce. Ewa Berberysz, która indaguje angielskiego historyka, stwierdza w pewnym momencie, że propaganda nie pokrywa się z opinią społeczną.

„Norman Davies: — Niestety, w tym jednym punkcie pokrywa się. Jako historyk jestem szczególnie uczulony na to zjawisko. Otóż bardzo często słyszy się od młodych Polaków, że np. Gdańsk był zawsze miastem polskim. Absurd! Według mnie jest się czym szczycić, że właśnie miasto niemieckie, Danzig, było tak lojalne wobec Rzeczypospolitej, że ci dawni Niemcy w Gdańsku — choć antypruscy, to byli jednak Niemcy — czuli się dobrze przy Polsce. Jest nonsensem to, czego dziś uczy się w polskich szkołach, że Gdańszczanie to byli patrioci polscy, albo Niemcy polakożercy. Nic podobnego! To się stało dopiero w wieku XIX i XX... O ile nacjonalizm miał swoje racje w XIX wieku, kiedy wśród ludności mieszanej każdy żywioł musiał się bronić, o tyle nie ma ich dziś. Dziś żaden nacjonalizm nie ma sensu, zamyka oczy na własną sytuację, oślepia, pozwala sobą manipulować w dowolnym kierunku. Polska opinia „kupiła” od oficjalnej propagandy „legendę piastowską” oraz ujęcie sprawy Ziem Zachodnich i Kresów Wschodnich. Proszę zapytać młodego Polaka, każdy powie, że Ziemie Zachodnie są odzyskane, a Wschodnie nigdy nie były nasze...”

VERSO: — Co do Kresów, to Norman Davies się myli, zresztą świadomość młodzieży nie wyrastała na sztucznej działce nauki szkolnej, tylko z gruntu autentycznego, z domu — i rezultaty ujawniły się szybko, zaskakujące dla zmonopolizowanych instytucji nauczania. Ale haczyk Ziem Odzyskanych został połknięty, nie mam tej, co ty, nadziei, że to się jeszcze odbije echem zwrotnym i że przyjdzie czas na kontrolę moralną tego stanowiska nie całkiem historycznego. Naturalnie problem jest olbrzymi, można go nazwać probierzem własnej tożsamości, niech kto udowodni, że to zbędna przesada! Stosunek do Ziem Zachodnich ma charakter zasadzki i to skomplikowanej: koncepcyjnej, etycznej, taktycznej — mieści się na linii pradawnego stosunku między narodem polskim a rosyjskim, z jego azjatycką podstępnością. Sprowadza się to teraz do tego, że jeżeli akceptujemy jakikolwiek manewr sowiecki, to natychmiast przestajemy, w od-

powiedniej części, być sobą i sądzę, że dla ilustracji tego ciemnego zakamarka polityki można by chyba wyprowadzić coś na kształt równania z jedną niewiadomą, więc stosunkowo prostego, na poziomie gimnazjalnym. Jeżeli niewiadoma będzie miała treść sowiecką, to znaczy, że cały problem w ogóle, od początku, nie był polski. Historia tzw. odzyskania Ziem Zachodnich i Prus Książęcych od początku nie była polską, to się tylko tak społeczeństwu wydawało (Stalin zacierał ręce). Naturalnie artykuł Lipskiego trafił w płuć, był najpewniej przedwczesny.

RECTO: — Albo nie był przedwczesny, tylko desperacko miał wytyczyć drogę pewnej najtrudniejszej w naszej sytuacji postawie, ta jaskółka nie czyniła wiosny, musiały zginąć w locie, a przecież nie bez śladu. To w Polakach zostanie, o ile odmawiam gotowości wierzenia w różne programy (jak to gadanie z władzą), to coś każe mi wierzyć w te wyższego rodzaju prognostyki przyszłych koniunktur.

VERSO: — Na każdym kroku potwierdza się teza, że istnienie polskie jest wieloznaczne, że to jakaś wypadkowa ruchów pozorowanych i rzeczywistych i że nie ma żadnej siły, by powiedzieć temu: stop! — czas na synchronizację. Nie dopuścimy do synchronizacji, kto wie, czy w tym pojęciu nie jest zawarta cała metafora postępowania, jeżeli na program w normatywnym znaczeniu słowa wciąż nie ma miejsca. Bo co tu jest prawdą, a co nią nie jest? Prawdą jest, gdy profesor Gierowski w Krakowie otwiera międzynarodowy kongres kultury Żydów polskich, nieprawdą — gdy generał Jaruzelski wita fałszywy kongres nikomu w świecie nieznanymi „intelektualistów” w tzw. obronie pokoju, która nie wiadomo na czym ma polegać. Przykłady są błahie, ale już można przez tę dziurkę od klucza zobaczyć całe okropne wnętrza. Gdzie wypada nam żyć!

RECTO: — Czterdzieści lat życia w tak sztucznej przestrzeni nie może nie doprowadzić do spaczenia umysłów, to wykluczone. Na czym polega nasz szwank na zdrowiu umysłowym? Gdyby to się komuś udało oświecić i naświetlić, mielibyśmy trochę szans na dalsze jakie takie życie.

VERSO: — Może pierwszą cechą jest fakt, że mniej więcej wszystko sprowadza się tu do jednej myśli, do monomanii, co może być siłą, dopóki otaczające barbarzyństwo wymaga jednokierunkowego, nawet ślepego oporu. Przystaje to być siłą, gdy podczas pauz w tym mocowaniu się z bestią wychodzimy gdzieś na pas światła i musimy siebie konfrontować z całym światem i jego

znacznie szerszymi, tysiącrotnie szerszymi parametrami i problemami, a te są dziś bez przesady wręcz ostateczne i kosmiczne, nigdy sprawy zajmujące dotąd tylko filozofów nie były tak bliskie życia gatunku ludzkiego, który od pewnego czasu musi istnieć ze świadomością, że teraz śmierć nie jest już tylko sprawą każdej jednostki, ale stała się także realną perspektywą dla całego rodzaju. W tej skali zagadnień, nasze zagadnienie przetrwania w brzuchu wieloryba wydaje się minimalne, nawet niestosowne (przynajmniej tak ktoś to może sobie — niesłusznie — przedstawiać) i nasze narzędzia intelektualne są w tych proporcjach jak zabawki w grze konstrukcyjnej dla dzieci. Gdy Polak wychynie na światło międzynarodowe, jego całe przygotowanie myślowe i emocjonalne okazuje się niewystarczające i na tym polega nasze spaczenie. Dlatego taką cenę według mnie mają wystąpienia publicystyczne w stylu Lipskiego, jeżeli można mówić w liczbie mnogiej, bo któż jeszcze tego próbował? Parł ku temu, póki żył, Gombrowicz. W przypisywaniu sobie losu szczególnego leży groza samotrzasku, samoudławienia się rzekomą innością, bo każda inność, nawet ta wynikająca z nieszczęścia, powoduje dziwną zarożumiałość.

RECTO: — A nie jest on szczególny, ten los? Jest! Również ścisły, bystry Davies z tym się zgadza. „Wiele można o Polsce powiedzieć, ale nudna ona nie jest” — mówi Davies. „Co czyni każdego Polaka interesującym, to konieczność samookreślenia się w stosunku do systemu rządów. Nikt nie może się wyizolować, każdy musi zająć stanowisko. Głębokie konflikty moralne na tle tej konieczności samookreślenia, zachodzące nie tylko w grupach, ale i w każdym człowieku indywidualnie, to jest pasjonujące...”

VERSO: — Więc może wspólnymi siłami uda się nam tu zrobić konspekt, brulion konspektu przyszłego słownika polskich idiomów egzystencjalnych, a za punkt wyjścia proponujemy hasło: „spaczenie nasze”. Jest to prawdopodobnie spaczenie profesjonalne, gdybyśmy, postępując dotychczasowym tropem, doszli do wniosku, że w ogóle być Polakiem to nie przypadkowa kondycja historyczna, ale specjalność zawodowa. Zobacz tylko, ile musimy w tej wąskiej specjalności umieć: rozmowy z cudzoziemcami wyglądają jak gadanie do dzieci, bo i cóż oni mogą zrozumieć w takiej dziedzinie, pozbawionej w ogóle cech obiektywizmu? Zobacz, jaki jest nasz stosunek do historii, którą mnóstwo Polaków czyta jak osobisty rodowód, zatracając do szczytu poczucie swej prywatności! Dowiedziałem się teraz, że w Anglii, tak tradycyjnej, wychodzi tylko jedno pismo poświęcone popularyzacji historii, o małym nakładzie 30 tysięcy. Takie same

pisma, nie jedno, we Francji mają nakłady o wiele wyższe. Ale ile miałyby, proporcjonalnie, w Polsce, gdyby tam wychodziły tego rodzaju prawdopodobne pisma? Polak, ten niesforny indywidualista, rozumie siebie najlepiej w liczbie mnogiej, na mianowniku historycznym. Nie dom polski jest podmiotem świadomości, jest nim historia, rodzaj areny.

RECTO: — Jednak może takie ramy osobliwości polskiej, w jakich ją ukazujesz, są za szerokie, to jest udziwnienie, a gdy wszystko dziwne, to w końcu niczemu nie można się dziwić. Jakże się dziwić Wałęsie, Turowiczowi, Bratkowskiemu, Kisielowi, że zwracają się do władzy jak do potencjalnego partnera? Kto tam wie, czy ci publicyści nie mówią sobie: — Jeżeli tamci nawet nie posłuchają naszej zachęty do ułożenia wspólnego (z konieczności) podwórka, to niech to jednak będzie w druku utrwalone. Czytają nas ludzie zatroskani i uczciwi, co sobie zapamiętają, że niektórzy, samorzutnie ze społeczeństwa wyłonieni, zgłaszali poprawki i w ogóle gotowość do konsultacji. — Nie znaczy to, być może, że dają się nabrać na tzw. fundusz.

VERSO: — Na fundusz kłamstwa, niewyczerpany w tym dziurawym budżecie kapitał. Ja też myślę, że to są zapisy świadków, ryty na skale.

RECTO: — Czyli publicystyka na wszelki wypadek, coś w rodzaju publicystyki parasolowej, dla ocalenia własnej biografii? Sam tę kwestię wyciągałem, bo nie widzę w niej żadnej atrakcji, żadnego prawdopodobieństwa. Przemawianie do sfałszowanego rządu jest jak przemawianie do sfałszowanego obrazu, diad do obrazu, to wielka metafora, użyłem jej kilkanaście lat temu. Jest to obiektywnie szkodliwe pod jednym co najmniej względem, robi wrażenie, że można z otwartym, a to jest złudzenie, bo mamy do czynienia z systemem zamkniętym koncentrycznie. Parasolowa publicystyka, chce czy nie chce, podtrzymuje mylące wrażenie, narusza podstawowy wzajemny stosunek, który polega na mijaniu się w ruchu. Sycić nieporozumienie między obiema stronami i robić swoje, nie dopuszczać do synchronizacji — bo to grozi pułapką! Ja w każdym razie do tej koncepcji nie przystępuję, mój parasol jest dziurawy i niech będzie dziurawy: tylko takie mogą być dziś warunki publicystyki — nie na wszystko niesie ona radę, ale za to strzeże swojej integralności.

VERSO: — Brak złudzeń — obok nadziei typu Nadzieży Mandelsztam, czyli *Hope against hope*. Konflikt logiczny, psychiczny nie do wytrzymania.

RECTO: — Innej formuły nie ma. Myślę zresztą, że sami

spreparowaliśmy sobie tę krańcową sytuację, co nie znaczy, że to rzecz sztuczna, tylko znaczy, że odpowiada talentom polskim, duchowym, rozumowym, polskiej wyobraźni o tak zwanej, w sztuce, perspektywie odwróconej. Prawdopodobnie w innym położeniu są Węgrzy, Czesi i Słowacy, Rumuni, Niemcy wschodni. Rozróżniamy tam niejasno jakiś inny wynik sowietyzacji, zresztą wszędzie stosującej te same ordynarnie szablonowe metody. Tam niepowodzenie sowietyzacji, bo wszędzie skończyło się to niepowodzeniem, ma jednak czy inny stopień czy inny charakter, albo jedno i drugie. Na ten temat również należałoby zamówić u kogoś studium, ale musi on mieć bardziej pedantyczne, niż my, bardziej komputerowe usposobienie. Bo w takim razie należałoby skalkulować niezliczone parametry miejscowej specyfiki, usposobień, zaśloności historycznych i wszystkiego, co tkwi w języku, w nałogach językowych tworzących świadomość, całe to mrowie czynników odróżniających Polaka od Czecha czy Węgra. Łatwo coś takiego zaprojektować, ale to robota podobna do kręcenia biczy z piasku, które diabeł wymusił na Twardowskim. Tamtej jesieni, w Krynicy, na śnieżnej zalanej księżycem drodze, szliśmy sobie głośno rozprawiając, w zacnej przyjaciół gromadce; wiesz, że do osobliwości polskich, nad czym się tu zastanawiamy, należy właśnie ta możliwość gadania, do pewnego stopnia, bez względu na otoczenie i przypadkowych świadków. Zastanowił mnie wtedy jeden okrzyk — z ust młodej a spontanicznej pani, która najpierw wyrzuca z siebie słowa, a potem im się przypatruje, jakby należały nie całkiem do niej. W połowie dyskusji krzyknęła: — Ale tego akurat nikt nigdy wyraźnie dotąd nie sformułował! Nawet u Giedroycia, w *Kulturze*!

— Czego? — spytaliśmy chóralnie.

— Tej różnicy! Cholernej, niebezpiecznej jak samo życie różnicy, tego wyróżnika naszego, pychy naszej i zguby!

Wiesz, co sobie wtedy pomyślałem? Że mamy mnóstwo kompleksów, ale ten nie należy do najmniej ważnych: owa niecierpliwość, z jaką znosimy niedostatki w zdefiniowaniu samych siebie. To istotnie jest przypadek pychy. Osoba, o której wspominałem, długo jeszcze nie mogła się uspokoić, twierdziła, że odmienność polska jest tak samo widoczna, jak nos w środku twarzy. Ze swej strony myślałem, że chociaż ta żądza samozdefiniowania jest sama w sobie ciekawa, to może by jednak dać temu spokój, zostawić w spokoju tę polską różnicę specyficzną. Na przykład ze względów taktycznych. Raczej może przemilczeć i ukryć ją, wreszcie się zdobyć na odrobinę chytrkości, aby właśnie nie rzucała się w oczy, jak nos na twarzy — a to dlatego, że rozgłos nam nic dobrego nie da, może tylko spowodować jeszcze szczelniejsze zamknięcie paszczy wieloryba. Pisałem kiedyś: sycić nieporozu-

mienie! Analogicznie teraz: zatajać przerosty osobliwości, bo i tak są zbyt natrętne. Niech sobie polska *differentia specifica* spoczywa i fermentuje we własnym naturalnym środowisku.

NIKT Z POKOLENIA, które o te najdroższe rzeczy dobijało się z bronią w rękę, walnej zmiany w Polsce nie zobaczy na własne oczy, nie znikną do tego czasu parszywe nazwiska z nazw ulic, jak Dzierżyński, jak Wanda Wasilewska i Róża Luksemburg. Coś z tego musi wynikać. Wystarczy się wpatrzeć dobrze w tę gwałtownie zwężającą się przed nami perspektywę, w ten skrócony kalendarz, aby pojąć czy wyczuć — raczej wyczuć — że w takim razie mnóstwo spraw domaga się redukcji. Idea, w największym skrócie, pozostaje jedna: ta reszta życia nie może być kiczem.

Nie dostrzegam szans na to, co się zwykle nazywa programem postępowania, i może nie jest to tak konieczne, jak się wydaje, na szczęście jesteśmy ochotnikami w polityce, a nie zawodowcami. Ma to wszystko jakby ostrą pionową budowę, każdy z nas, by przypomnieć spostrzeżenie Daviesa, prowadzi politykę najpierw we własnej głowie i na własną rękę: jest to w istocie rodzaj minimum egzystencjalnego. Jeżeli się w ocenie nie pomyliłem, to niebywałe wagi nabiera kwestia właściwej, celnej ekspresji. Co mówić, to przede wszystkim — ale i jak to mówić?

Do *Kultury* piszę nie tyle z przekonania, co z tej właśnie pilnej i sprawiającej ból potrzeby typu egzystencjalnego. Zino-wiew, autor „Promiennej przyszłości”, uczynił ciekawą, choć nie rewelacyjną uwagę, z której da się wywieść niejedną refleksję. — „U nas wszystko, co może być przedmiotem literackim, sprowadza się do opisu naszej bezlitosnej rzeczywistości — tym samym wyklucza prawdziwą literaturę”. Jest tak u Rosjan, ale analogicznie, z pewnymi ilościowymi różnicami, jest tak i u Polaków. Sprowadzić wszystko do obsesji nieżnośnej rzeczywistości i wykluczyć pracę czysto literacką: mielibyśmy w takim razie do czynienia z formą, jedną z form auto-restrykcji, jakiej właśnie organy represyjne sobie życzą. Każda myśl upolityczniona, wszelki odruch tylko w jedną stronę zorientowany — to nic innego, jak rezultat przymusu, klasyczny produkt policyjny. W *Kulturze*, w innych pismach na Zachodzie (choć nie we wszystkich) dysponujemy forum bez cenzuralnych ograniczeń, w tych warunkach dobrowolne skrupowanie siebie nakazem polityczności jest bardziej wyrafinowaną, oczywiście bezwiedną, formą kolaboracji i akcentowania wrogich intencji.

Tylko w jeden sposób można się temu przeciwstawić, nie zwężeniem, a rozbudowaniem swego świata ekspresji, jej celów, ale i jej form, aby głos nie uległ atrofii. Niebezpieczne jest i nie

ma żadnego sensu redukowanie swej mowy do tzw. opinii niewątpliwych i frazesów-wytrychów, które wywołują powszechną zgodę — zgoda narodowa uzyskana drogą komunałów, truizmów i mowy mechanicznej jest jednak czymś okropnym i wodą na młyn przeciwnika. Publicystyka ambitna i swobodna instynktownie wystrzega się tego, co się nazywa duchem dziennikarstwa, jak ognia unika dziennikarskiej mentalności. Jeśli kiedykolwiek z dziennikarstwa wyrastało coś godnego uwagi, było to zawsze przewyżczenie dziennikarstwa, geniusz tego zawodu ma pewnie różne zalety, ale jednej przynajmniej rzeczy ani dostrzec, ani uszanować nie potrafi: czynnika tajemnicy, tej prawie niedostrzegalnej deformacji, jaką niewiadome uzupełnia każde zjawisko, każdą kwestię, tym bardziej istotną i skomplikowaną kwestię. Taką jak polska. Niechże mi nikt nie perswaduje, że w tej sprawie wszystko jasne i uporządkowane, bo jest akurat odwrotnie, jak na minach stąpamy po polu wartości utajonych, rzeczy w trakcie stawania się, a to wszystko nie jest zależne od naszej inteligencji (co zresztą winno być dopingiem dla inteligencji). Nie chodzi o tak zwane trudne pisanie, lecz o stawianie trudnych problemów — przy jednoczesnym oganianiu się od łatwych, które się łąszą do kolan jak domowe zwierzęta. W tej epoce w ogóle rozpanoszył się (zapewne przez *mass-media* sprostakowany) mit tzw. jasności stawianej przeciw trudności pisania, żąda się niby tylko przejrzystości sformułowań, ale naprawdę oczekuje się po pisarzach łatwych myśli, sprzyjających dobremu trawieniu. Jednak forma rzadko da się oderwać od skomplikowanej treści, a teraz nadmiar informacji, skażonej tendencyjnością, każdą sprawę piętrzy, czyni niedostępną i wielokrotnie, wielostronnie strukturyzuje. Strzeżmy się tych, którzy żądają w książkach i esejach prostoty, bo pod tym się kryje kapitulacja, niechęć do analizy, na próżno dziś próbować pocziwego mocium-panie, czyli swojego kiczu: a słowo to, do którego przywiązuję wagę, raz już padło.

Terminu tego używa się na ogół tylko w strefie estetyki, ale okazuje się on niesłychanie przydatny w różnych innych dziedzinach. Wcieleniem kiczu jest żargon dziennikarski, krępujący umysł, przeobrażający nawet ludzi bardzo inteligentnych w automaty ze sloganami, Jean-Paul Sartre jeszcze po pacyfikacji Węgier w 1956 utrzymywał, że tzw. urzeczywistnienie idei rewolucyjnych w dalszym ciągu nie jest możliwe poza obrębem Sowietów. Joliot-Curie miał się odezwać do jednego z przyjaciół (o czym pisze Alexandre Koyré do Raymonda Arona): — *C'est si bien d'être du Parti, on n'a plus besoin de penser*".

Intuicja poety, mądrość pisarza — przeciwieństwo mentalności żurnalistycznej — polegają na usunięciu z języka pewników,

a szlachetna obsesja poety i pisarza polega na przeobrażeniu twierdzeń w pytania. I to jest, wbrew pozorom, kryterium realizmu, tylko taką metodą można przedstawić świat jakim jest naprawdę — jako zagadkę i paradoks. Życie ludzkie — zawsze ledwie brulion tego, ku czemu się dąży — naznaczone zostało pierwotnie niemożnością skutecznego i ostatecznego doświadczenia, jest esencjonalnie i na zawsze niedojrzałe. Zdaje mi się, że takie rozumowanie zbiega się z *idée fixe* Gombrowicza. Po jego śmierci otworzyła się pustka w piśmiennictwie. W tak zwanej (niedorzecznie) literaturze pięknej utwór naładowany pewnikami jest kiczem niewątpliwym, ale i literatura polityczna z niesłychaną łatwością, jakimś naturalnym spontanicznym odruchem, ześlizguje się na ten sam poziom, więc należy uznać, że w typowych standardowych przypadkach — a nas to dotyczy w pierwszym rzędzie, oszczędźmy sobie przykładów! — publicystyka funkcjonuje wyłącznie na prawach kiczu, jako formy świadomie wybranej. Argumentacja i egzemplifikacja, ton cały, chciałoby się rzec: głęboko w językową strukturę sięgając, aż do składni i gramatyki — wszystko jest przeniknięte kiczem, splata się w łańcuch niemiłosiernych oczywistości, w rodzaju imputowanych bez litości dzieciom „kilku prawd z dziejów naszych”. Polityka — istny matecznik prawd rytualnych!

Co na terenach państw policyjnych traci cały uczuciowy wdzięk i do reszty traci uczciwość, tę przynajmniej intencjonalną, wystarczy przypomnieć sobie model hitlerowski: jednak nie w praktyce hitlerowskiej, tylko w praktyce sowieckiej styl ów (choć jak się zaraz okaże słowo styl zupełnie tu nie wystarcza) nabiera perfekcji i sublimuje się, przy czym na tę wysoką ocenę sowieckiego kiczu nie wpływa przepyszne, samo w sobie, zjawisko realizmu socjalistycznego w sztukach pięknych i w literaturze. W istocie jest to strefa obszerna, rzecz w pewnym sensie głęboka — rodzaj wszechobejmującej wizji świata, krótko mówiąc, filozofia. Tak jak w estetyce, również w ekspresji politycznej obowiązuje szczególna mieszanina sentymentalizmu i demagogii, uniemożliwia to oczywiście podstawowe funkcje informacji i porozumienia między obywatelami, między obywatelami a władzą. Takie zdeformowanie języka powoduje natychmiast wykoślawienie wewnętrznych parametrów w strefie ogromnej, w niezmiernym świecie znaczeń. Oba rodzaje kiczu, proszę na to zwrócić uwagę, estetyczny i polityczny, mają się wzajem ku sobie, naturalny magmatyzm je sprzęga. Raymond Aron napisał: „... polityka nie odkryła jeszcze tajemnicy, jak w praktyce uniknąć gwałtu, ale gwałt staje się szczególnie nieludzki, gdy gwałciciele sobie wyobrażają, że służą prawdzie historycznej i zarazem absolutnej”. Sowiecki realizm łągłów, prawd stosowanych i znaczeń odwró-

conych jest wewnętrznie, dialektycznie identycznej natury, co realizm socjalistyczny obrazów z przodownikami pracy i pomników, choć ten drugi tylko duchową ułomność powoduje. Po tej wojnie (znalazłem to u Milana Kundery) w akademiach sztuk pięknych w Rosji tłumaczono studentom, że miarą dojrzałości sowieckiego systemu jest wyeliminowanie odwiecznego konfliktu zła i dobra; już tego nie ma, pozostał tylko konflikt dobrego z czymś jeszcze lepszym! Kicz jest pełen inwencji niewyczerpanych.

To postawa z gruntu tchórzliwa i kapitulanka w stosunku do prawdy, ale i w stosunku do piękna, do formy w ogóle — z czego należałoby wyprowadzić nieskomplikowany imperatyw, rodzaj wzoru, jak w fizyce na kicz nie możemy sobie pozwolić, bo żywo jesteśmy do prawdy, piękna i do formy przywiązani, a powołam się tu raz jeszcze na poetycką filozofię Witolda Gombrowicza, który nam to legował w testamentie. Postulat odrzucenia, jak zarazy, mentalności kiczu — tylko na pozór sprowadza się do negacji, to wymaga wielkich prac, wielkich i trwałych napięć. O co chodzi? W końcu zawsze chodzi o zachowanie honoru, który bynajmniej nie należy do repertuaru frazesów, i taka postawa wystarcza bodaj na każdą trudną okoliczność. Zresztą nie tak łatwo odpowiedzieć na lapidarną kwestię: O CO CHODZI? — prawdopodobnie dlatego, że wyczuwamy złożoną treść tego bezceremonialnego pytania, jest w nim coś prowokującego. Nie zawsze chodzi o to, co zostało desygnowane jako bezpośredni cel, jeszcze coś tam wygląda zza pleców trzech wyrazów, a nie wiadomo dokładnie, co.

KWESTIA PRZYPOMINA dwie telefoniczne rozmowy przeprowadzone z Kremla, w dwóch różnych epokach, które jednak cechuje pewne wyjściowe podobieństwo. Prasa donosi, że pierwszy sekretarz Gorbaczow kazał się połączyć z profesorem Sacharowem w Gorki, aby mu oznajmić, że Politbiuro zwraca mu ograniczoną wolność. Na co Sacharow miał, mniej więcej, odpowiedzieć: — Dobrze, ale ta łaskawość już nie zdążyła objąć Anatolija Marczenki, który w swoim więzieniu umarł. Nie wiadomo, co na to odrzekł Gorbaczow, nic mądrego nie mógł odrzec.

Mniej więcej pięćdziesiąt kilka lat wcześniej Stalin dostał od Bucharina list wzmiankujący, że Pasternak jest głęboko wstrząśnięty aresztowaniem i zsyłką Mandelsztama. Stalin kazał się połączyć z wielorodzinnym mieszkaniem Pasternaka w Wołkonce. O przebiegu rozmowy natychmiast się dowiedział Erenburg i całe literackie środowisko moskiewskie, Pasternakowi zezwolono o tym powtarzać. Żonie Mandelsztama, Nadieżdzie, potwierdziła treść rozmowy jej znajoma, którą nazywa inicjałami N.M. Za-

wołano Pasternaka do telefonu, uprzedzając, kto będzie mówił, Pasternak już od pierwszych słów począł się skarżyć, że źle słyszy, bo no korytarzu hałasują dzieci. W tamtej epoce Pasternak podobno każdą rozmowę rozpoczynał w ten sposób (w intencji zmiany lokalu). Stalin powiedział, że sprawa Mandelsztama jest w stadium rewizji i że wszystko będzie dobrze, ale potem wystąpił z niespodziewanym wyrzutem: — A dlaczego pan się nie zwrócił do organizacji pisarzy, albo wprost do mnie, i w ogóle nie poczynił żadnych starań na rzecz Mandelsztama? Gdybym ja był poetą i gdyby jeden z moich przyjaciół-poetów znalazł się w nieszczęściu, to wszystko bym zrobił, broniłbym go rękami i nogami! — Pasternak odrzekł, że organizacja pisarzy nie zajmuje się tym już od 1927 roku i że gdyby on, Pasternak, nic w tej sprawie nie robił, to Stalin w ogóle nic by o sprawie Mandelsztama nie wiedział. Po czym coś dorzucił w związku ze słowem przyjaciela, usiłując sprecyzować charakter stosunków łączących go z Mandelsztamem, które nie mieściły się w pojęciu przyjaźni. Ta uwaga (komentuje Nadieżda) była zupełnie w stylu Pasternaka i nie miała związku ze sprawą, toteż Stalin przerwał: — Ale to jest geniusz, prawda? To przecież geniusz? — Na co Pasternak: — Nie o to chodzi... — *Da w czom dieło?* — spytał Stalin. Pasternak odpowiedział, że chciałby się z nim spotkać i porozmawiać. — O czym? — O życiu i o śmierci — odpowiedział Pasternak, a Stalin odłożył słuchawkę i już potem przyszły autor „Doktora Żiwago” nie uzyskał z nim połączenia.

Mandelsztamowa kończy tę niezwykłą relację uwagą: — W mniemaniu niektórych odpowiedzi Pasternaka może świadczyć przeciw niemu, ale w istocie była całkiem niewinna, choć prześlada przez nią egocentryzm, a nam, którzy Pasternaka znaliśmy, wydawała się po prostu śmieszna.

Nic w tym śmiesznego ani egocentrycznego nie widzę, choć nie znałem Pasternaka. W tego rodzaju wyjątkowo trudnej rozmowie przez telefon i to z kim, ze sfinksem jakim był Stalin, między rozmawiającymi wytwarzało się ciasne przejście, następował moment niemożliwego napięcia i wtedy trzeba było się zdobyć na słowa rozpaczliwe, quasi-ostateczne.

KONTEKST PYTANIA: o co chodzi — bywa trywialny czy banalny, ale bywa niepospolity, jak w naszym przypadku, a przecież nie dyskutujemy w abstrakcji, wręcz przeciwnie! Znamy stan zamknięcia — nie identyczny z systemem sowieckim, ale z tego samego materiału, więc dostatecznie podobny do tamtego. Otóż człowiek nie znosi ciasnoty, wisi tam smród kłamstwa, jak smród machorki przenikający aż do kałesonów i aż do butów, odór kiczu, z czego po czterdziestu latach nie wychodzi się w poprzedniej formie i treści.

Nienawiść do bolszewizmu (żeby podjąć niezręczny aforyzm Władysława Bieńkowskiego) to nie naiwność, tylko rezultat doświadczeń, pointa, uwieńczenie dzieła, które sami bolszewicy postawili, dojrzały owoc z drzewa ich własnymi rękami zasadzonego. *Veto*. Ten kicz do polskiego użytku się nie nadaje.

PELIKAN

GŁOS KATOLICKI

TYGODNIK POLSKIEJ EMIGRACJI

wydawany przez

POLSKĄ MISJĘ KATOLICKĄ WE FRANCJI

Pismo porusza zagadnienia natury religijnej, społecznej, kulturalnej i historycznej.

Pismo informuje o życiu polskich wspólnot na Zachodzie i życiu Kościoła w krajach, w których istnienie Jego i działalność są zagrożone lub represjonowane.

Pismo nabyć można w polskich parafiach na terenie Francji, Belgii, Niemiec Zachodnich oraz w księgarniach polskich w Paryżu.

Cena egzemplarza: 4,50 F (we Francji), 25 FB (w Belgii), 1,50 DM (w Niemczech Zachodnich).

Ceny prenumeraty rocznej: 190 F (we Francji), 1100 FB (w Belgii), 70 DM (w Niemczech Zachodnich).

Adres redakcji: 263 bis, RUE ST-HONORÉ, 75001 PARIS
(numer konta — CCP 12 777 08 U).

Przedstawicielstwo w Belgii: P. AUGUSTIN MULLER
RUE DE MONTIGNY 84, 6000 CHARLEROI
(numer konta — CCP 000-0249081-82).

Przedstawicielstwo w Niemczech Zachodnich:
KÖNIGSTEINER VOLKSBANK eG, BLZ 500 925 00,
KATOLISCHE STIMME (numer konta — 1462.18).

Ruch Społeczeństwa Alternatywnego

Jeżeli historia uczy nas czegoś istotnego, to pokazując daremność polityki nastawionej wyłącznie na zniszczenie rządów, klas panujących, ekonomicznych systemów.

Theodor Roszak

Pierwszomajowe, niezależne demonstracje w Trójmieście, w 1985 roku, miały przebieg inny niż zwykle. Liczne przybyłe grupy młodych ludzi po raz pierwszy próbowały zorganizować bezbronny tłum w rozsądnie broniącą się zbiorowość, nie dopuścili do rozproszenia manifestantów przez pały ZOMO. Walki były do tego stopnia zacięte, iż właśnie na tej podstawie Lech Wałęsa wystosował do władz PRL-u raport diagnozujący stan nastrojów społecznych. Całość demonstracji miała, przy okazji, dość niezwykłą oprawę zewnętrzną. Bojówki tworzyła ubrana na czarno młodzież, z twarzami zasłoniętymi niebieskimi okularami, dominowały fantazyjne, cudaczne fryzury w nienaturalnych, tęczyowych kolorach. Nad tłumem, prócz emblematów „Solidarności”, powiewały czarne transparenty sygnowane literami RSA — Ruch Społeczeństwa Alternatywnego.

Właśnie od tamtego 1 maja zrobiło się wokół Homków (tak nazywają samych siebie członkowie — a raczej uczestnicy — RSA) głośno. Oczywiście istnieli i wcześniej, wydali kilkadziesiąt numerów własnego pisma pod tytułem *Homek*, gdzie oprócz nacisku na kształtowanie świadomości opartej na neoanarchistycznych przesłankach i recept na efektywne — ich zdaniem — najbliższe działania, pełno było artykułów atakujących powszechnie szanowane osoby i instytucje. Być może to właśnie sprawiło, iż Homków potraktowano w najlepszym razie jak bandę nawiedzonych wyrostków. Tymczasem ów 1 maja spowodował, że z jednej skrajności popadnięto w drugą — upatrując w nich nowe zjawisko na polskiej scenie politycznej. Niewiele osób zdawało się dostrzegać, iż pierwsze symptomy zbliżenia niektórych grup polskiej młodzieży do anarchizmu można było odkryć już kilka

lat wcześniej, u schyłku minionej dekady. A wszystko zaczęło się od przeszczepienia na rodzimy grunt tradycji kontrkultury lat sześćdziesiątych oraz młodzieżowych subkultur tamtego i późniejszego okresu, początkowo głównie poprzez ich zewnętrzne objawy, a więc muzykę i zawarte w niej uniwersalne dla wszystkich młodych treści, następnie zaś przez ideologię.

Zbuntowane dzieci

Gdy w końcu lat siedemdziesiątych pojawił się w Polsce punk i wraz z nim apologia anarchistycznego wyzwolenia jednostki ludzkiej, prawdopodobnie nikt nie przypuszczał, iż szokujące stroje i szalony rytm piosenek staną się czymś więcej niż prześmiewczą modą. W postępującym rozkładzie gierkowskiej „drugiej Polski” sama artystyczna prowokacja plus kilka ogólnikowych hasel, odwołujących się do powszechnej równości i totalnej wolności, były czymś niezwykłym, godnym uwagi. Podobnej propozycji nie podawała młodym — z oczywistych zresztą względów — ani opozycja, ani Kościół. Obie te instytucje bazowały na autorytetach i historii, zaś pewnej, wcale niemałej grupie młodych było potrzebne coś zupełnie innego. Rzecz jasna, nie wchodziły w ogóle w grę jakiegokolwiek oficjalne organizacje młodzieżowe. Te zostały odrzucone spontanicznie i *a priori*. Nie mogli zaakceptować systemu i oficjalnie serwowanego wzorca osobowościowego, gdyż krępowało to ich mit o wolności. Nie mieli ambicji tworzenia nowej ideologii, ale także nie chcieli żyć przeszłością lub codzienną szarżyzną. Nie budowali związków, organizacji, lecz grupy towarzyskie, często skupione wokół jakiegoś zespołu muzycznego, wyznające szeroko pojęty anarchizm, a równocześnie — programowo apolityczne.

Rok 1980 i niebываła wprost aktywność młodzieży właśnie — młodych robotników, studentów — czas legalnego działania „Solidarności”, wybiły społeczeństwo z letargu, zmusiły ludzi — nawet kilkunastoletnich — do głębszej refleksji nad losami kraju i ich samych. Co wcale nie przeszkadzało, iż część uczącej się podówczas młodzieży robiła to w ramach subkulturowych konwencji, programowo „na luzie”. Zarazem moda na subkultury i kontestację przerodziła się w trwały element polskiej rzeczywistości. Jednak dla ówczesnych nastolatków nie nadszedł jeszcze czas działania, pokazania się na ogólnokrajowym forum. Dopiero lata liczone od 13 grudnia 1981 roku stały się także ich historią. Dorośli na tyle, by zrobić coś na własną rękę.

Czy można określić tych młodych ludzi, członków Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, mianem „dzieci Solidarności”? I tak, i nie. Tak, gdyż właśnie te szesnaście miesięcy rozbudziło w nich zainteresowanie polityką, chęć uczestniczenia w zmianach. Dziś w swoich deklaracjach RSA powołuje się na uchwały I Krajowego Zjazdu Delegatów, związkowe koncepcje samorządnej Rzeczypospolitej, przyjmując zatwierdzony tam program jako drogę do realizacji części własnych celów.

Obiektywnie jednak okres pomiędzy podpisaniem Porozumienia a 13 grudnia bardzo niewiele zmienił w ich życiu. W dalszym ciągu chodzili do autorytarnej, nielubianej szkoły, a w zrewoltowanym społeczeństwie nie było miejsca dla deklarowanej przez kontestującą młodzież odrębności. Choć zmieniły się tematy rozmów przy rodzinnych stołach, to jednak akceptowane przez większość zwyczaje i zachowania społeczne pozostały takie same. Widok długich, kolorowych włosów, nagiej czaszki, ozdobionej jedynie indiańskim grzebieniem, kolczyka wbitego w ucho młodego chłopaka, tak samo szokował i powodował podobne reakcje u nauczyciela — członka „Solidarności”, co u dyrektora szkoły — członka egzekutywy partyjnej. Dla pierwszego było to zwykłe, nikomu niepotrzebne marnowanie czasu i głupawa poza, dla drugiego — import „niebezpiecznych” zachodnich wzorców. Dla członków subkultur zmieniła się tylko skala represyjności systemu. Podczas gdy urządzony w Toruniu w 1981 roku festiwal muzyki alternatywnej był prawdziwym świętem kontestującej młodzieży, ta sama impreza, zorganizowana w roku następnym, bardziej przypominała regularne polowania milicji na punków niż muzyczne występy. Również przed Sierpnem za dziwny wygląd można było zdrowo oberwać. Prócz tego dzisiejsi uczestnicy RSA, czy grono ich młodych sympatyków lub podobnie myślących rówieśników, z czysto biologicznych względów nie dorosło w tamtym czasie do wagi wydarzeń. Mieli zaledwie po kilkanaście lat i chyba niezbyt rozumieli lub może nie chcieli zrozumieć co naprawdę w Polsce się dzieje. Ich zamknięty świat pozostał nietknięty, a sami mieli za mało sił, by go skutecznie reformować. W Polsce „Solidarności” było im po prostu za ciasno.

Nowy kaganiec

Jeśli dla ówczesnych trzydziestolatków przeżyciem pokoleniowym były sierpniowe strajki 1980 roku, to dla Homków i ich generacji stał się nim stan wojenny. Z pewnością odczuli bardzo boleśnie zniszczenie świeżych nadziei rodziców i starszego rodzeństwa, lecz ich własne doznania były nieco innego kalibru. 13 grudnia w przerażający sposób rozmnożył poprzednio istniejące restrykcje. Doszła godzina milicyjna, szkoły powróciły do modelu instytucji indoktrynującej i pętającej zbuntowaną świadomość, za niecodzienne uczesanie można było wyładować w areszcie i zaliczyć kilka pał. Nie należą do rzadkości przypadki, iż członkowie młodzieżowych subkultur choć raz w miesiącu spędzali 48 godzin w celi — wynik niemalże niedościgły dla większości przed-sierpniowych opozycjonistów. Tak więc ci, którzy po Sierpniu zaczęli dostrzegać dziejącą się wokół nich politykę, sięgnęli do powielaczy, inni — robocie politycznej programowo niechętni — w dalszym ciągu trzymali się gitary.

Dostrzeżenie polityki nie musi wcale oznaczać potraktowania jej serio. Homki mówią o sobie, że bawią się w politykę i jest

to najprawdziwsza prawda, gdyż ich konwencja i styl bycia wymagają traktowania najpoważniejszych rzeczy z lekkim przymrużeniem oka — „olewająco” i „na luzie”. Choć RSA często powołuje się na racjonalizm, rzetelną analizę sytuacji, gdzie wszystkie emocje są zbędne, to jednak w rozmowach z uczestnikami ruchu odnosi się wręcz przeciwne wrażenie. Twierdzą oni, iż nie są od nawracania ludzi, lecz często właśnie coś takiego sugerują ich wypowiedzi. Dzieli świat dwubarwnie — albo coś jest czarne, albo białe — nie ma miejsca dla półcieni. Po jednej stronie barykady stawiają każdą władzę, nawet taką, która pochodzi z wolnego wyboru, po drugiej — społeczeństwo, świadomą, lecz szarą masę bez elit i przywódców. Elita, autorytet — nawet opozycyjnie nastawiony — to też władza, tyle że nad ludzkimi duszami, a w ich mniemaniu każdy powinien myśleć i odpowiadać wyłącznie za siebie.

Siebie też nie uważają za elitę kontestacji. W *Homku* każdy artykuł jest głosem indywidualnego człowieka i tylko on winien bronić przedstawianych tam sądów — ich gazeta nie jest teoretycznie czasopismem o sprecyzowanym programie, lecz wielogłosem, trybuną otwartą dla najróżniejszych wypowiedzi. Z tego tytułu dochodzi niekiedy do zabawnych sytuacji. Można więc spotkać się i z takimi sugestiami członków, a przede wszystkim sympatyków ruchu, iż ten, kto pisuje w *Homku* nie jest prawdziwym *Homkiem* — nawet laik musi dostrzec opiniotwórczą funkcję jakiegokolwiek gazety, zaś serwowanie na piśmie swoich własnych poglądów nosi znamię wychowywania, zaprzecza więc alternatywizmowi.

Dziwne, lecz postawy związane z „gitarowym” protestem były w początkowym okresie jakby akceptowane przez władze. Ktoś, znający młodzież tylko z opowiadań lub raportów ZSMP musiał uwierzyć, iż właśnie wywodząca się z subkultur muzyka uspokoi wzburzone umysły. W środkach masowego przekazu aż zaroilo się od wszelkiego rodzaju zespołów, zresztą bardzo szybko ustawionych przez kontestującą młodzież w tym samym rządzie co Dziennik Telewizyjny. Jednak koniunktura na rock nie osłabła. Jak grzyby po deszczu wyrastały nowe zespoły, które — jeżeli tylko grały autentycznie — zyskiwały od razu wierną publiczność. Rzecz ciekawa, duża część owych kapeli prezentowała bardzo skromne umiejętności muzyczne, lecz mimo to była słuchana przez fanów, częstokroć chętniej niż zachodni profesjonaliści. Śpiewali bowiem tym samym, codziennym językiem, śpiewali o życiu bez perspektywy, o niechęci do wojska i wojny, do wszelkich nakazów, narzucanych przez znienawidzony system, krępujący indywidualność oraz uznane normy sterujące społeczeństwem. Śpiewali niemal tak samo, jak przed laty, lecz sytuacja nadawała prostym i szczerym tekstom zupełnie inny wydźwięk. Dla nich równie niezrozumiałą i obcy jest tradycyjnie skrojony garnitur, zabijanie się dla kilku groszy kosztem zdrowia, nudna praca, restryktywna szkoła, pokazywanie „zajączków” podczas mszy za Ojczyznę, określanych ironicznym mianem „jasełek”. Stąd też propozycja RSA, by organizować skutecznie bronię

manifestacje uliczne, trafiła nad podatny grunt — już samo hasło dawało młodzieży swoisty rodzaj równouprawnienia, nie tylko wątpliwy przywilej zbierania cięgów, za które nie można odpłacić.

Oryginalne teksty piosenek prawdopodobnie nigdy nie trafią do masowego rozpowszechniania. W zdecydowanej większości są one „anty”, dosadnie wyrażają stosunek młodych do oficjalnej peerelowskiej rzeczywistości, a przy okazji szermują pojęciami idealnej wolności, równości, braterstwa. Trudno więc dziwić się, że na takim podglebiu znalazło się miejsce dla politycznej alternatywy tak wobec panującego systemu, jak i dominujących w opozycji kierunków. Alternatywa ta — mimo negacji i totalnego protestu, który sam w sobie dla młodych jest już wartością — nie nakazuje wszystkim zgodnego z własnym światopoglądem uniformizmu, a wręcz woła o pluralizm. Homki i mniej upolitycznione odłamy młodzieży nigdy nie zaakceptują państwowego kolektywizmu, gdyż niszczy on indywidualizm, zabrania żyć na swój własny sposób, lecz jeśli ktoś ma własne przekonania, całkowicie odrębne od anarchizmu i nie narzuca ich innym, „jest w porządku”. Przy całej ostrości artykułów, publikowanych w pismach z kręgów RSA, przy mnogości dosadnych określeń, a nawet niewybrednych pomówień, zadziwia tolerancja, szacunek dla obcych poglądów i autentyzm postulatu „zabrania się zabraniać”.

Wolność ponad wszystko?

Właśnie o ideologię mają do RSA najwięcej pretensji członkowie innych struktur opozycyjnych. Dla jednych jest ona nie-spójna, dziecinna, dla drugih zbyt prymitywna, pozbawiona teoretycznego podkładu i głębszej refleksji, a są i tacy, którzy widzą w RSA fanatycznych, krwiożerczych lewaków spod znaku Frakcji Armii Czerwonej i podobnych, zbrodniczych organizacji.

Prawdą jest, że Homki uznają terror, że twierdzą nawet, iż popierają akcje Irlandczyków z IRA czy Basków z ETA. To jedna z wielu wewnętrznych sprzeczności ich światopoglądu, który przede wszystkim zakłada metody aktywnej, lecz pokojowej walki. RSA mówi o terrorze — co samo w sobie może już być niepokojące — jednak zakreśla tak sztywne i klarowne ramy jego ewentualnemu stosowaniu, że słowo „terror” lepiej zamienić na wyraz „samoobrona”. Bronionej przez sprawne bojówki demonstracji nie wolno zaliczać do akcji terrorystycznych, a i od pochwał IRA do własnoręcznego podkładania bomb jeszcze daleko. Działania z kalkulowaną śmiercią przeciwnika mogą być jedynie odpowiedzią na identyczne, o masowej skali, posunięcia władzy. Czy do czegoś takiego dojdzie — nie wiadomo, lecz istnieje w dzisiejszej Polsce swego rodzaju niepisana umowa, iż władza bije i wsadza do więzień, lecz w zasadzie nie zabija, zaś społeczeństwo odmawia posłuszeństwa, organizuje się w niezależne związki i również nie strzela. Reguły tej gry obowiązują wszystkich, także RSA.

Czym RSA zdobywa sobie największą popularność wśród ró-

wieśników, a także w grupie ludzi zdecydowanie starszych? Na pierwszym planie niewątpliwie znajduje się totalna negacja służby wojskowej. Homki twierdzą, iż celem na dziś jest zastąpienie służby wojskowej konkretnie ustaloną pracą — podobnie jak w większości krajów Europy, w perspektywie zaś pełne jej zniesienie. Wojsko służy do pozbawienia ludzi przyrodzonej im indywidualności, uczy drylu i posłuszeństwa, lansując przy okazji model człowieka, który wprawdzie popełnia wykroczenia, lecz nie daje się złapać przełożonym. Z drugiej strony wszystkie organizacje militarne i paramilitarne poprzez wychowanie swoich członków w duchu swoście pojętej chytrności, kamuflowanej brutalności, kształtują osobowości przestępcze, nieprzydatnych społeczeństwu oszustów i cwaniaków. Taka interpretacja służby wojskowej daleko wykracza poza koncepcje, wyznawane przez inne polskie niezależne ruchy pacyfistyczne, odrzucające tylko przysięgę na wierność koniunkturalnym układom politycznym i obcemu mocarstwu.

Następna sprawa kryje się pod pojęciem „akcji bieżącej”. Chodzi tutaj przede wszystkim o demonstracje uliczne, oczywiście wcześniej przygotowane i odpowiadające na agresję sił porządkowych zorganizowaną samoobroną. Najlepszym przykładem był właśnie ów 1 maja 1985 roku. Jednak do „akcji bieżącej” wlicza się nie tylko uliczne — rocznicowe lub rewindykacyjne — protesty. Manifestacje winny być organizowane jak najczęściej, gdyż są — poza strajkami — jedynym sposobem na zmobilizowanie społeczeństwa, ukazanie jego siły. Zdaniem RSA istnieją w naszym kalendarzu pewne daty i dni — 1 maja, 22 lipca, wybory — kiedy wyjście na ulice jest bezpieczne, gdyż mocniejsza reakcja władz, strzelanie do tłumu, staje się automatycznie kompromitującą klęską polityczną państwa.

Do „akcji bieżącej” trzeba zaliczyć również inne spektakularne formy oporu, na przykład akcje ulotkowe. RSA doskonale orientuje się, gdzie może szukać zwolenników, więc ulotkowanie — podobnie jak manifestacje — jest starannie przygotowane. W 1985 i 1986 roku ulotki o ironicznej treści: „Głosuj za ochotniczą służbą wojskową” posypały się na jarocińskim festiwalu — imprezie rockowej, będącej istnym magnesem, przyciągającym członków młodzieżowych subkultur z całego kraju. Akcja znakomicie komponowała się z antywojennymi i antywojskowymi tekstami śpiewanych tam piosenek. Trudno zgodzić się z niektórymi notkami, zamieszczonymi w prasie niezależnej, iż działania RSA nie spotkały się z mocniejszym odzewem zgromadzonej w Jarocinie, zbuntowanej przeciwko wszystkiemu, dwudziestotysięcznej widowni. Homki znakomicie wiedzą, jak wpłynąć na kontestującą młodzież, gdyż po prostu są jej częścią. Wiele cech w akceptowanych przez obie strony światopoglądach jest takich samych, a w najgorszym wypadku bardzo podobnych. RSA przemawia więc nie tylko do potencjalnej klienteli — rówieśników, lecz głównie do kolegów, przyjaciół, dalszych lub bliższych znajomych, zaś forma rozmowy tylko uatrakcylnia głoszone treści. Wiele starszych wiekiem działaczy opozycyjnych

nie dostrzega, iż uczestników polskich ruchów subkulturowych nie pozyska się „dla sprawy” patriotycznymi pieśniami, nabożnymi hasłami i cytatami z dzieł narodowych wieszczów. Z tego powodu właśnie wrocławskie alternatywne pismo młodych, *Zero*, nie rozpoczyna swoich numerów od powielania kolejnego komunikatu TKK, lecz daje recenzję koncertu autentycznych idoli młodzieżowych — „Butaprenu”, „Israela”, „Moskwy”. Są to bowiem sprawy wspólne zarówno dla tych, którzy sprzeciwiają się oficjalnemu życiu poprzez muzykę i gitarę, jak i dla obsługi powielaczy drukujących *Homka*.

Jak zatem określić światopogląd działaczy i zwolenników RSA? Jest to z pewnością daleko posunięty anarchizm, lecz bez odwoływania się do początków, doktryn Kropotkina, Bakunina, Sorela (choć jego anarchosyndykalistyczną koncepcję związków zawodowych Homki traktują niemal jak własną, dając przy tym mniej lub bardziej adekwatne do pierwowzoru przykłady niektórych TKZ-ów, na przykład Huty Lenina). Ojcowie anarchizmu tworzyli bowiem ideologię, a każda ideologia jest organicznie sprzeczna z wolnością, indywidualizmem, alternatywą wobec obowiązujących form, gdyż wcześniej czy później człowiek prawdziwie wyznający jakąś ideologię staje się jej niewolnikiem, traci zdolności samodzielnego myślenia i działania. Jednak z myśli anarchistycznej przejęta została całkowita negacja państwa jako organizacji przymusowej i ograniczonej terytorialnie, a także negacja władzy, która nigdy nie może być dobra. RSA postrzega doskonałe społeczeństwo w formie federacji autonomicznych w pełni jednostek, cieszących się równymi swobodami i przywilejami, z możliwością identycznego startu życiowego.

Głoszony przez RSA światopogląd w wielu istotnych kwestiach pokrywa się z ideologią Nowej Lewicy i kontestacji schyłku lat sześćdziesiątych. Oba nurty zakładają nie tylko konieczność reform zastanych systemów politycznych i społecznych, lecz idą znacznie dalej, podkreślając niezbędność wyzwolenia jednostki ludzkiej, przełamania alienacji wobec społeczeństwa, produkcji, sztuki itp. Ale droga do osiągnięcia celów jest krańcowo różna. Gdy Nowa Lewica widziała realizację swoich postulatów w rewolucji, RSA — mimo posądzeń o terrorystyczne ciągotki — zakłada ewolucjonizm, powolne i uparte budowanie alternatywnych, niezależnych instytucji i świadomości, obok państwowej oficjalności i centralnych organów opozycji. Stąd też pochwała Homków dla różnorodnego podziemnego ruchu wydawniczego i mnogości struktur, stąd krytyka TKK, Wałęsy, dominującej w wielu środowiskach roli Kościoła.

Negowanie roli powszechnie uznanych autorytetów nie wynika wyłącznie z przyjętej przez RSA zasady obalenia autorytetów i elit. Homki są bystrzymi obserwatorami, potrafią znakomicie wyczuć wahania, napiętnować niefortunne decyzje, które — w ich przekonaniu — całkowicie przekreślają dotychczasowy dorobek ludzi i instytucji. Liczą się tylko dzisiejszy dzień i klarownie opisana najbliższa przyszłość, efektowne pomysły na skuteczne działanie.

Ruch Społeczeństwa Alternatywnego wywodzi się z Trójmiasta. Sami o sobie mówią, że zaczęli działać jeszcze przed Sierpniem, lecz bez konkretnego zabarwienia politycznego. Dziś sympatyków RSA można spotkać w całej Polsce. Z reguły są to młodzi lub bardzo młodzi ludzie, pochodzący ze środowisk robotniczych, uczący się w szkołach zawodowych. Takie określenie jest bardzo nieścisłe, gdyż trudno w precyzyjny sposób zdefiniować członka lub sympatyka ruchu. Nie jest to bowiem zwarta organizacja, lecz luźna grupa podobnie myślących ludzi. Homkiem może być każdy z grona kontestującej młodzieży, sympatykiem każdy członek subkultur, negujący nawet zasadność zajmowania się polityką. Najliczniejsi są w Trójmieście, Wrocławiu, a także — rzecz mocno zastanawiająca — w małych miasteczkach, gdzie subkultury są najsilniejsze.

Razem czy osobno?

Prócz wspólnych poglądów i pochodzenia społecznego łączy ich jeszcze jedna sprawa. Otóż nikt nie znalazł i chyba nie próbował znaleźć sposobu na sensowne porozumienie się z Homkami. Władza ich nie lubi, od Kościoła odeszli sami i trudno przypuszczać, by tradycyjne formy aktywności duchownych wśród młodzieży (na przykład grupy Oaz) zdobyły sobie uznanie RSA, zaś opozycja zabiera się do ruchu jak do przysłowiowego jeża. Wielekroć pojawiały się plotki, iż jest to agenturalna robota SB, przerywano kanały kolportażu *Homka*, padały obelżywe — w mniemaniu ich autorów — opinie, że RSA to Żydzi, masoni lub inne tajemnicze i podejrzane siły. W poważnych pismach wystawiano RSA surowe cenzurki, jakoby ci młodzi ludzie pragnęli zastąpić jeden totalitaryzm drugim, w bardzo podobnym wydaniu. Jeszcze inni starają się Homków „wychowywać”, stosując wobec nich ograne chwytły, przemowy na patriotyczno-religijno-narodową nutę. Nawet zbliżone wiekiem generacje nie potrafią zrozumieć, iż mogą istnieć w Polsce ludzie wyżej stawiający anarchistyczną frazeologię od oświadczeń TTK, bardziej ceniący punkowe piosenki niż wiersze Herberta i Miłosza. A oni właśnie tacy są i z takimi postawami pewnej części polskiej młodzieży trzeba się po prostu pogodzić. Więcej, jest to najczęściej młodzież bardzo wartościowa, prawdziwie zaangażowana. Czy warto niesłusznymi oskarżeniami lub belfrowskim moralizatorstwem przerywać z nimi kontakt? Być może rażą niekonwencjonalne ubiory, z pewnością razi zdyskredytowany język lewicowych pojęć, uproszczony styl myślenia. Lecz Homki nikomu nie wadzą, a jeśli w ostrości swojej krytyki lub deklaracjach bez realnego pokrycia posunęli się czasem za daleko, od tego są ci z większym doświadczeniem, by im to spokojnie i rzeczowo wyjaśnić, ale i zrozumieć gdy tłumaczenia nie przyjmą do wiadomości. Bunt jest przyrodzoną cechą młodości, trudno więc kierować tak spontanicznymi reakcjami, lepiej zaś spokojnie obserwować, co się też z tego wszystkiego wykluje.

Co dalej?

Czym będzie RSA za kilka lat? Trudno o jednoznaczną odpowiedź na to pytanie. Skutecznie przeprowadzona samoobrona pierwszomajowych demonstracji przyczyniła się do znacznej mitologizacji siły i popularności ruchu. W następnym, 1986 roku, ulice Trójmiasta wyglądały już zwyczajnie — Homki nie miały sił lub zapachu, by ponownie zorganizować walczące z ZOMO bojówki. Lecz podczas festiwalu jarocińskiego pojawiły się sygnowane godłem ruchu ulotki. Tak więc z ubiegłorocznej operatywności coś zostało.

Trudno też przewidzieć skalę i kierunki akcji represyjnej ze strony władz. Z pewnością powielacze drukujące *Homka* będą tropione, podobnie jak wszystkie inne elementy poligrafii niezależnej. Co jednak zrobić z nastrojami kontestacji? Sposoby są różne. Można złapać animatorów ruchu i zwyczajnie wytoczyć im proces. Można wyrzucać ze szkół i uczelni, za kolorowe włosy wsadzać do więzień. Można też próbować pacyfikować niezależny styl myślenia od wewnątrz. Na jarocińskim festiwalu pojawiła się nieformalna grupa, używająca nazwy „Mandragora”. Jest to formacja jak na razie nieliczna i bez większych wpływów, za to znakomicie operująca metodami socjotechnicznymi, służącymi na przykład rozbijaniu zebrań czy dyskusji. Ideologia „Mandragory” zawiera się w stwierdzeniu, że państwo i rząd są dobre, tylko młodzież — nieświadomie i bezmyślnie kopiująca zachodnie zepsute wzorce — zła. Prócz odwoływania się do pozornych dokonań i obiecująco-straszących deklaracji władzy, „Mandragora” łączy w sobie elementy ideologii nacjonalistycznej, zachwyty dla filozofii azjatyckiego Wschodu i antysemityzmu. Kto zna polskie realia i choćby otarł się o naskórek światopoglądu kontestującej (i nie tylko) młodzieży przyzna, iż ten pozorny eklektyzm jest sprytnie pomyślaną pułapką. Dla jednych jest coś z myśli narodowej, dla kontestujących pozostaje Wschód, jeszcze innych być może przyciągnie nawiązanie do fobii antyżydowskich. Całość zaś znajduje się w „znakomitych” rękach: twórcami „Mandragory” są członkowie filialnych do PZPR organizacji młodzieżowych, którzy poprzez rezygnację z czerwonych krawatów chcą wypełnić nieprawomyślność. W tym przypadku Homki po raz kolejny stają się naturalnymi sojusznikami członków młodzieżowych subkultur. Lansowany alternatywizm, pochwała dla odrębnych i krańcowo różnych recept na życie są najskuteczniejszym antidotum na takie działania.

Przyjmijmy jednak, że za Homkami nie zatrzasną się bramy więzień i — co jest niemal pewne — nie złapie ich okraszona kung-fu, narodowo-rasistowska, obywatelsko-posłuszna ideologia. Co z nimi będzie w takim przypadku? Część porzuci głoszony dziś alternatywizm, odejdzie w naturalny sposób od polskiego wydania neoanarchizmu, mówiąc językiem starszych „wydorosłeje”, odstawi na bok buntowniczą frazeologię. Również ci, którzy

pozostaną przy obecnych poglądach RSA, nie będą reprezentatywni dla ruchu. Koncepcje Homków są bowiem immanentną cechą młodości, zaś akceptujący je ludzie starsi siłą rzeczy muszą znaleźć się poza nawiasem, zasilić pokolenie „zgredów”. Pewne jest natomiast, iż RSA jest określoną szkołą odpowiedzialności za losy własne i całego kraju, że jest jedną z form niezależnego — w pełnym tego słowa znaczeniu — myślenia. Być może, Homki zostaną liczącym się fragmentem tej generacji, której w przyszłych negocjacjach z władzą nie wystarczy podpisanie umów, popartych przez rząd wątpliwej jakości słowem, lecz realne i weryfikowalne w całej praktyce społecznej, politycznej i ekonomicznej ustępstwa.

Ale już dziś przyczynili się do czegoś bardzo ważnego. Powstanie RSA, ich śmiałe i agresywne deklaracje są kolejnym krokiem na drodze do pluralizacji polskiego społeczeństwa. Oceniając Homków trzeba pamiętać, iż w znacznej mierze czerpali oni swe wzorce z ideologii kontestującej młodzieży Zachodu lat sześćdziesiątych oraz dzisiejszych subkultur. Jeżeli więc traktujemy tamte kraje i społeczeństwa jako coś bardziej zbliżonego do normalności niż wschodni kolektywizm, musimy zauważyć, iż tam właśnie narodził się neoanarchizm i nikomu to nie zaszkodziło, a może ociupinkę pomogło. To i tak dużo w naszym zwarowanym świecie.

Tomasz JERZ

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Wiersze

Tadeusz CHABROWSKI

ODCISKI PALCÓW MATKI

Na ścierce od kurzu w laboratorium
znaleziono odciski palców matki,
słowa które mimochodem spadły jej z ust,
ciepły zdyszany oddech,
przedziwnie splecione wątki myśli,
z grubej wełny tkane dywany zmartwień,
róże niegdyś pomyślnych wiatrów
i blednący punkt
utkwionego w zaświatach wzroku.

ZAMIAST SONETU

Zamiast sonetu plama z atramentu na obrusie.
Zamiast Białego Obłoku Jego Obecności
pod baldachimem, mydlana bańka na krzywej słonce.
Zamiast apokaliptycznych koni z pianą w nozdrzach
siwe chłopskie szkapy zaprzęgnięte do pługów.
Zamiast słów po zęby uzbrojonych w logikę,
zdania bez przecinków, kropek i wykrzykników,
bowiem w wielkim mechanizmie kosmosu nawet Bogu
Ojcu rdzewieje broda i niestrzyżone włosy.

Tadeusz CHABROWSKI

Brooklyn, N.Y., listopada 1986

Adam BĄKOWSKI

BEZSENNY DZIEŃ

Idąc spać, obawiałem się, że będzie to znów
 bezsenny dzień
 Słuchałem melancholijnych piosenek z Polski,
 biało-czerwonego kraju, w którym coraz mniej bieli.
 Tryska czerwień.
 Biel jest zmęczona, poddaje się.
 Zachwiane proporcje.
 Czasem coś mi się śni, ale zapominam.
 Z wyjątkiem tego, bo się powtarza:
 Polska zginęła, a my
 bełkoczemy splątany językiem
 „ale co to za życie, ale co to za życie”.

Za ścianą rozwijała się choroba umysłowa
 mojej sąsiadki, uciekiniarki z Laosu.
 Nic nie wiem o kolorach jej kraju, ale z niego też uciekają.
 Śpiew sąsiadki był jak szeroka rzeka, spokojna,
 mętna o brzegach z białych, ostrych kamieni; na jednym z nich
 bezgłośnie dogorywał egzotyczny ptak.
 Potem śmiech, od którego przechodziły
 mi ciarki po plecach.

WYSPA
ŚWIĘTEGO LUDWIKA

Gdy zaczyna zapadać zmierzch,
 Wyspa Świętego Ludwika
 jest ciemnym klejnotem,
 który skupia płynące z daleka
 światła wszechświata,
 wszechświatła.
 A jeśli chcesz,
 możesz ją porównać, maleńką,
 do olbrzymiej arki
 z niebotycznym masztem mroku,
 z żaglem gwiazd.
 To zresztą zależy od dnia.

Adam BĄKOWSKI

Archiwum polityczne**Wybory i kilka spraw obok**

Rzadko kiedy kampanie wyborcze w Republice Federalnej bywały tak serdecznie nudne, wymieniane argumenty tak ogólnikowe, a osoby dramatu tak mało podejrzane o zdolność do błyskotliwych niespodzianek. Przewidywania, co chwila wspierane przez demoskopię, uważano za arcyłatwe, a znaczniejsze zmiany za nieprawdopodobne.

Tymczasem już w wieczór wyborczy, 25 stycznia, okazało się, iż przesunęły się siły wewnątrz koalicji rządzącej. Nazajutrz zaś zaczęto mówić o możliwości nowych układów w opozycji¹.

Werdykt wyborców zatwierdził dotychczasową większość, ale w *nowych proporcjach*. Unia CDU/CSU straciła przeszło dwa miliony głosów, uzyskując 44,3 % zamiast 48,8 % w roku 1983. Jest to jej najgorszy wynik od roku 1949. FDP wzrosła o przeszło 2 % (uzyskując 9,1 % zamiast 7 %). Po stronie opozycji SPD straciła 1,2 % (z 38,2 % spadła na 37 %), natomiast Zieloni wzrosli o 2,7 % (zdobywając 8,3 % zamiast 5,6 %).

Wstępny wniosek: po raz pierwszy w RFN obie wielkie partie równocześnie straciły głosy. Częściowo ich kosztem wzrosły dwie mniejsze partie, i to we wszystkich „Landach”. Nacisk tych mniejszych na większe nasili się po obu stronach. W tutejszych, raczej statycznych, układach zwiastuje to pewien ruch.

Po kolei. Globalnego obrazu osiągnięć gospodarczych mogłaby Republica Federalnej pozazdrościć — i zazdrości — większość krajów wysoko uprzemysłowionych. Ożywienie koniunktury światowej gospodarka tutejsza potrafiła wykorzystać dla siebie

1. Do nowego Bundestagu zostały wybrane następujące partie: Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna (CDU) i sprzymierzona z nią we wspólnej frakcji parlamentarnej bawarska Unia Chrześcijańsko-Socjalna (CSU), partia liberalna (FDP), partia socjaldemokratyczna (SPD) i partia Zielonych.

z wyjątkową konsekwencją i inwencją. Nieistniejąca prawie inflacja, mocna waluta, wzrost dochodów i spożycia, zawrotny wzrost eksportu, wzmożony ruch inwestycyjny, spadek zadłużenia wewnętrznego — oto rejestr aktywów, składających się np. w ubiegłym roku na niebagatelny przyrost gospodarczy w wysokości 2,5 %.

Oczywiście podejmując ostry kurs oszczędnościowy, skądś na to wszystko trzeba było brać, czyli gdzieś ciąć. Przy spektakularnym niekiedy wzroście zysków, a także zagranicznych majątków przedsiębiorstw, udział płac pracowniczych w całokształcie dochodów spadł o pokaźnych kilka procent. Częściowo już rozpoczęta, ale w zasadniczym rzucie dopiero projektowana reforma podatkowa przewiduje nieproporcjonalnie większe obciążenia dochodów najwyższych, niż średnich i niskich. Udział świadczeń społecznych w dochodzie narodowym spadł o prawie 2 % i zmieniło się ich ukierunkowanie. Zmniejszono zasiłki dla bezrobotnych, gratyfikacje pracownicze (np. świąteczne), pomoce dla uczniów i studentów (tu jednak dokonano później częściowej korektury), uległ wreszcie radykalnemu zahamowaniu tzw. dynamiczny wzrost rent starczych. Podwyższono natomiast świadczenia dla rodzin, dodatki — w różnych formach — na dzieci oraz zasiłki mieszkaniowe dla niezamożnych.

Najważniejszą pozycją ujemną blyszczącego na ogół w porównaniu z innymi krajami bilansu czteroletniej działalności gospodarczej rządu Kohla pozostaje oczywiście bezrobocie (na dzień dzisiejszy: 2,5 miliona bezrobotnych i pół miliona zatrudnionych w niepełnym wymiarze). Nie pomogło tu kilkaset tysięcy nowych miejsc pracy, gdyż trudności rozkładu regionalnego, a przede wszystkim czynnik demograficzny — zwiększona podaż siły roboczej — niwelują ich znaczenie. Prawda, przy wysokim dobrobycie, z którego korzystają szerokie warstwy tzw. środkowego obszaru społeczeństwa, traktuje się bezrobocie jak rodzaj chronicznej choroby gospodarczej, a nie jak groźbę polityczną — ze świecą szukać by tu niepokojów o jakiegokolwiek weimarskie analogie. Ale prawdą jest również, że rząd nie podjął żadnych kroków, ażeby bezrobocie chociaż w pewnej mierze i stopniowo rozładowywać.

Zarówno ten właśnie fakt, jak i nierównomierny dla różnych warstw rozkład ciężarów w finansowej i społecznej polityce rządu kosztowały Unię wiele głosów. Mimo to podstawową przyczyną ponownego wyboru partii rządzących pozostało nadal materialne zadowolenie znacznej większości społeczeństwa. Tym bardziej, że rozdarła wewnętrznie SPD nie potrafiła przedstawić żadnej przekonującej, spójnej alternatywy gospodarczej.

W ogóle zresztą ani w ciągu ubiegłej kadencji, ani w kampanii wyborczej nie toczyła się naprawdę między stronami konfliktu

realna debata o jakieś dramatyczne alternatywy. Wyraźniej ścierały się ze sobą tonacje niż koncepcje. Nie tyle sporami o przyszłość tętnił ten okres, ile raczej dochodziły zza kulis uprzednio tylko podskórne, a teraz ośmielone pogłosy przeszłości. Zarówno w bawarskiej CSU², jak i na prawym krańcu CDU dawano raz po raz upust tęsknotom do „silnej ręki” z jednej strony, i intonowano nacjonalistyczne odzewki z drugiej. A rząd Kohla nie zdecydował się rzucić na szalę w tej walce swego autorytetu (jak to uczynił i czyni bezustannie prezydent von Weizsäcker). Nie wszedł w rolę ponadpartyjnego ciała zbiorowego, by podeprzeć bez lawirowania dotychczasowy *consensus* społeczny w ocenie przeszłości i wszelkich starych wątków, odgrzewanych w nowym sosie.

Ponieważ nie idzie o Polinezję lecz o Niemcy, trzeba pewnie sprzeczności przypomnieć, wyjaśniając zarazem różnice wewnątrz koalicji. Zatem z CSU i z krańców CDU wieje wiatr na zaostrezenie kursu represyjnego w prawie karnym i kursu restryktywnego w pewnych przepisach (np. w zakresie uprawnień policji podczas demonstracji, w dziedzinie prawa azylu itd.). Hamulcem dla tendencji zaostrażających stała się FDP, korzystając z szerokiego poparcia społecznego. Wbrew wszystkim bowiem podziałom w społeczeństwie, i przy jaskrawym zróżnicowaniu poglądów — chociażby właśnie w stosunku do cudzoziemców — tkwią tu głęboko wspomnienia niedawnej przeszłości, z czego bierze się strach przed podważaniem liberalnego charakteru państwa. Nie należy się więc dziwić, że znaczna część opinii publicznej i prasy reaguje alergicznie na wszelkie ustawodawcze czy proceduralne zaostrezenia.

Lecz znacznie wyraźniej zarysowała się w koalicji niejednolitość poglądów na stosunki Niemiec ze światem zewnętrznym. Nie o orientację podstawowe chodzi, nie o Sojusz Atlantycki, o NATO czy strategię wojskową. Tu koalicja twardo trzymała wspólny kurs. Przypomnę w tym miejscu, że wiele razy sygnalizowałam w *Kulturze* groźbę strategicznego rozmiękczenia, zawartą w koncepcjach przeważających części SPD, pomijając już nawet Zielonych. Podkreślałam i podkreślam nadal pewne refleksy tego rozmiękczenia w niemieckiej psychice zbiorowej. Jednak nie wierzyłam nigdy, że w chwili trzeźwego rachunku większość Niemców zaakceptuje podmycie sojuszu zachodniego i postanowi zbiorowo się utopić. Toteż nie o tym mowa. Mowa o systematycznym, choć szczególnie gorliwym właśnie w okresach przedwyborczych, mąceniu ogólnospołecznej zgody na terytorialny *status quo*,

2. Żadna partia w RFN nie jest monolityczna, toteż i w CSU podnoszą się głosy przeciw pewnym elementom polityki Straussa. Ostatnio wybitny polityk CSU, były minister Nauki, Oświaty i Kultury, Hans Maier, wystąpił z ostrą krytyką nacjonalistycznych tonów Straussa w kampanii wyborczej.

innymi słowy na uznanie polskiej granicy zachodniej za defini tywną.

Kakofonii nie ma końca. Wiadomo od poprzednich wyborów, że prosperuje tu w propagandzie tzw. zastrzeżenie prawne wobec układu RFN - Polska w sprawie granic. Układ — według tego zastrzeżenia — ma wiązać wyłącznie Republikę Federalną, nie zaś przyszłe, zjednoczone Niemcy. A więc pamiętamy — ziomkostwo Ślązaków urządza zjazd pod projektowanym hasłem „Śląsk pozostaje nasz”, zapraszając kanclerza Kohla. Ponieważ Kohl zagroził, że nie przyjdzie, hasło ulega zmianie. Kanclerz podkreśla prawomocność układu i wyrzeczenie się siły w regulowaniu konfliktów — lecz nie odcina się od „zastrzeżenia prawnego”. Równocześnie wbrew zdeklarowanej linii Genschera, ministra Spraw Zagranicznych (FDP), podtrzymują je skwapliwie Strauss (przewodniczący bawarskiej CSU) i jego zwolennicy w CDU. Tymczasem rozgrywa to wszystko po swojemu oficjalna propaganda polska. Nie trzeba dodawać, że cała sprawa utrudnia wysiłki opozycji polskiej na rzecz porozumienia z Niemcami. Z kolei tumultowi w Niemczech przeciwstawia się wiceprzewodniczący frakcji parlamentarnej CDU, Rühle, oświadczając, że wbrew „zastrzeżeniu prawnemu” Układ Warszawski posiada wiążącą na przyszłość moc polityczną. W znanym przemówieniu uzasadnia tę myśl prezydent von Weizsäcker, analizując ją na szerokim tle odpowiedzialności niemieckiej za wojnę. Przez jakiś czas wyciszenie. CDU nie wstawia Hupki — przewodniczącego ziomkostwa Ślązaków — na listę kandydatów do nowego Bundestagu. Jednak strzały z określonej strony nie milkną — im bliżej wyborów, tym więcej hałasu. Wreszcie Strauss zbiera owe tony w efektowny akord i występuje z projektem kandydatury przesiedleńców do... pokojowej Nagrody Nobla. Po czym tuż przed wyborami kanclerz Kohl zadziwia widzów stwierdzeniem, iż nie widzi wewnątrz koalicji żadnych różnic w poglądach na tematy zagraniczne.

Ów wątek niemiecko-polski stał się w kilku ostatnich latach jednym z istotnych przedmiotów kontrowersji zarówno wewnątrz koalicji rządzącej, jak też między koalicją a opozycją. Oczywiście coraz głośniejszy w miarę zbliżających się wyborów spór Straussa z Genscherem dotyczył i innych problemów. Strauss żąda np. większej tolerancji dla rządu południowo-afrykańskiego, oraz rozszerzenia eksportu broni. Przede wszystkim jednak usiłuje wzbudzić wrażenie, że uprawiałyby inaczej czyli ostrzej politykę wobec Sowietów. Czy rzeczywiście? Przypomnijmy: to Strauss załatwił po poprzednich wyborach miliardowy kredyt dla NRD, to on wypowiadał się — po powrocie z Polski — za zrozumieniem dla Jaruzelskiego i rezerwą wobec „Solidarności”. To on wreszcie — na równi z innymi — obserwuje życzliwie toczące się obecnie

pertraktacje na temat niemieckiej pomocy w modernizacji sowieckich siłowni atomowych. Wykształciła się z czasem pewna — jak mi się zdaje — strukturalna niezmiennność polityki niemieckiej wobec Wschodu³. Werbalne wybuchy bawarskiego mistrza w epatowaniu należy więc rozumieć jako spekulację na głosy ze skrajnej prawicy, nie zaś jako zapowiedź rzeczywistych zmian. Na razie jednak zaniepokoiły one opinię, niechętną podważaniu *status quo* nawet w słowach. Przysporzyło to strat Unii, a zysków FDP.

Ale w społeczeństwie sprawdza się zwykle zasada naczyń połączonych, toteż obok sporów politycznych na górze i obok statystyk wyborczych trzeba uwzględnić kilka innych spraw. Przebiły się bowiem na powierzchnię także inne nurty. Zamiar wystawienia we Frankfurcie sztuki Fassbindera (w której spekulant budowlany, nazwany „Bogatym Żydem”, występuje nie jako zindywidualizowana postać, lecz jako symbol zbiorowy) wywołał gorącą kontrowersję i spalił na panewce. Równocześnie jednak jawnie antysemicka enuncjacja w ustach posła do Bundestagu, czy antysemicki niby-dowcip w ustach prowincjonalnego burmistrza — wszystko to w krótkich odstępach czasu — dowodziły, że w niektórych głowach minęła „epoka ochrony dla Żydów” i „już znowu wolno”. Margines, który chce się tylko wyszumieć w *Stammlokalach*? Margines zapewne — ale jak szeroki? Jak głęboki? Ukryte nurty w społeczeństwie nie dadzą się wymieścić w centymetrach i nie pomiary są naprawdę ważne. Ważne jest to, że w określonej atmosferze politycznej mętna woda — bluznęła. Oczywiście, kokieteria niektórych tutejszych polityków z neo-nacjonalistycznym marginesem wyłączała w intencji jakąkolwiek pobłażliwość dla antysemityzmu. Mrugając do przesiedleńców, czy urządzając osławioną ceremonię na cmentarzu woj-skowym w Bitburgu⁴, próbowano wyselekcjonować do rehabilitacji pewne tylko wątki przeszłości przy trwającym potępieniu *innych*. Ale każdy polityk niemiecki powinien wiedzieć, że złe duchy mają instynkt stadny. Gdy się je przywołuje, nigdy nie wiadomo, kogo ze sobą przyprowadzą.

Na szczęście nie skończyło się na kotłowaniu w *Stammlokalach*. Wywiązała się szeroka kontrowersja na temat stosunku do przeszłości. Trzeba się wreszcie wydobyć z mroku Hitlera, dwanaście lat to nie cała historia Niemiec — twierdzą jedni, wtórując

3. Tak np. we wspólnej deklaracji zaraz po wyborach partie koalicji rządzącej ogłosiły, że żadna z nich nie poddaje w wątpliwość „realistycznej i wolnej od złudzeń polityki odprężenia”.

4. W 40-lecie zakończenia wojny kanclerz Kohl udał się razem z prezydentem Reaganem na cmentarz wojskowy w Bitburgu, by zadokumentować symbolicznie, że byli wrogowie, Amerykanie i Niemcy, są dziś sojusznikami i przyjaciółmi. Jednakże wybór miejsca tej imprezy był w Niemczech surowo krytykowany, gdyż na cmentarzu w Bitburgu pochowani są również SS-mani.

refrenowi Straussa, iż „czas najwyższy, by Niemcy przestały się uważać za kozła ofiarnego dla świata”... „Jak bezsensowny jest postulat chodzenia we włosienicy, tak nieodpowiedzialne jest żądanie, by zakończyć rozrachunek z przeszłością” — mówi prezydent von Weizsäcker, dodając, że najgorszą przysługę oddano by w ten sposób młodzieży.

Spór wtargnął także do nauki. Oto znany historyk występuje z tezą, że zagłada oświęcimska nie była *jednorazowym* wydarzeniem w najnowszej historii. Wcześniej niż Hitler sięgnął do ludobójstwa Stalin, a zbrodnie Stalina służyły w jakiejś mierze za przykład Hitlerowi. Podnosi się gwałtowna riposta ze strony innych historyków, socjologów, publicystów, działaczy społecznych. W największym skrócie przedstawia się ona tak: porównywalne są rozmiary zbrodni hitlerowskich i stalinowskich — nieporównywalne rozmiary poparcia dla obu dyktatorów w każdym ze społeczeństw. Toteż rachowanie się „kto wcześniej” i „kto gorzej” pociąga za sobą skutek uboczny lecz niedopuszczalny — relatywizuje winę niemiecką.

W społeczeństwie debata pomnożyła jeszcze przedmioty sporu, przywołała na plan nowe pytania. Jak zrobić, by umieszczenie hitleryzmu w centralnym miejscu pamięci narodowej nie podkopywało trwale możliwości narodowej identyfikacji? Tłumiona przez dziesięciolecia, najprzód programowo, potem już mechanicznie, rozprawa z przeszłością wybuchła nagle teraz, z gwałtowną siłą, w formie drastycznej, prowokującej do zajmowania jasnych stanowisk. Nigdy jeszcze nie mówiono tu tyle i z takim napięciem o zbrodniach hitlerowskich, nigdy nie było tak wielu dyskusji, publikacji, prelekcji, audycji telewizyjnych na temat winy i odpowiedzialności za przeszłość. Sprawa wykroczyła poza elity. Manipulacja pamięcią narodową w określonym kierunku wywołała skutek niezamierzony. Dokonało się jak gdyby odizolowanie marginesu nacjonalistycznego od reszty społeczeństwa. Nie, żeby miał się on zmniejszyć. Ośmielony, podbudowany przyzwoleniem pewnych kręgów politycznych, manifestuje się bardziej hałaśliwie, ale równocześnie osłabia jego zdolność przenikania *poza własne granice*. Może służyć nadal za instrument nacisku w targach i rachubach politycznych. Lecz próba *nobilitowania* go w świadomości zbiorowej nie wyszła.

Tu nawias osobisty. Uważałam od dawna — dawałam temu wyraz na łamach *Kultury* — że Niemcy w Republice Federalnej wykazują raczej niedowład niż przerost poczucia narodowego. Przekonania tego ani o jotę nie koryguję. Pytanie o potencjalny nacjonalizm niemiecki w nieprzewidzianych warunkach pozostanie za życia naszych pokoleń nierozstrzygnięte, toteż wszelkie do niego apele są, rzecz jasna, igraniem z ogniem. Ale nie muszę tłumaczyć przecież na tych łamach, że nacjonalizm a troska o

autentyczną godność narodową to dwie różne rzeczy — co właśnie zarysowało się ostro we wspomnianych tu debatach i nastrojach. Twierdząc nadal bez wahania, że u ludzi tutejszych, najpierw dotkniętych powojennym szokiem, a potem wstawionych w torpedę gospodarczego sukcesu, poczucie narodowe uległo przytępieniu. Że wolność pełni tu w większym stopniu funkcję dodatkowej wygody życiowej, niż aktywnie strzeżonej wartości. Tym bardziej więc uważam, że Niemcom, jak każdemu innemu narodowi, potrzeba historycznie ugruntowanej identyfikacji narodowej — istotnie owych dwanaście lat to nie cała historia Niemiec. Tylko że w tym dążeniu na nic się nie zda szukanie w hitlerowskiej maszynierii części niby to hitleryzmem nie skażonych. Niezależnie od intencji mąci to rozeznanie, czego się we własnej historii wstydzić, a czym szczycić. To przecież właśnie *opór wobec hitleryzmu* — jakkolwiek nie byłby on słaby i w jakichkolwiek ujawniał się okolicznościach — wskazywać by należało jako przedmiot identyfikacji. Narodową tożsamość niemiecką utwierdzać bowiem mogą tylko takie przykłady wydarzeń czy procesów historycznych, w których wolność człowieka i zbiorowości stała się nadrzędnym kryterium narodowego losu Niemców.

W otwartą walkę z tolerancją wobec wszelkich pogłosów nacjonalizmu zaangażowała się w ciągu ubiegłej kadencji opozycja — SPD i Zieloni. Ale stan wewnętrzny socjaldemokracji niemieckiej i obraz Zielonych w społeczeństwie redukują z natury rzeczy siłę ich oddziaływania. SPD przeżywa od kilku lat kryzys typu prawie strukturalnego, zaś wzrostowi głosów na Zielonych większość społeczeństwa przygląda się z niepokojem, co z kolei podważa skuteczność ich perswazji nawet w tych wypadkach, kiedy mają rację.

Finansowe załamanie się koncernu budowlanego „Neue Heimat” (własność związków zawodowych), spowodowane przez nadużycia w wyniku całkowitego braku kontroli, uderzyło nie tylko w same związki, ale i w najbliższą im partię, a więc w SPD. Był to, zwłaszcza w obliczu wyborów, cios potężny — ale cios z zewnątrz. Istotne źródła kryzysu współczesnej socjaldemokracji niemieckiej tkwią gdzie indziej i głębiej.

Przynajmniej od ostatniej recesji gospodarczej, a więc od okresu bezpośrednio poprzedzającego upadek rządu Schmidta, kiedy to własna partia zaczęła mu przeszkadzać w działaniu — następował w oczach społeczeństwa regres ekonomicznej kompetencji SPD. Prawda, nie stosowała ona nigdy nadmiernych ingerencji państwowych i uniknęła — w porównaniu np. z pierwszymi posunięciami francuskiego rządu socjalistycznego — nacjonalizacyjnego impetu, czy też przerostów planowania. Ale rozdarta walką wewnętrzną, zaostrzoną jeszcze od przejścia do opozycji, coraz wyraźniej zatracala to, co w dobrych latach Schmidta było

jej wielkim atutem — codzienne wycucie praktyki gospodarczej. Wówczas, łącząc umiejętnie stymulację zarówno rynku jak i inwestycji z gwarancjami dla warstw ekonomicznie słabszych, amortyzowała rzeczywistość napięcia społeczne. Dziś żądania sprawiedliwszego podziału, wysuwane przez Raua, jej kandydata na kancle-rza, brzmiały raczej jak refleks słusznej teorii, niż zapowiedź skutecznej praktyki. Trzeba przy tym pamiętać, że wbrew uproszczonemu wyobrażeniom nie ścierają się tu ze sobą dwie filozofie ekonomiczne — Friedmana czy Keynesa — w czyste postaci: rząd musi zachować podstawowe struktury państwa opiekuńczego i nie wolno mu całkowicie puścić na żywioł rynku — zaś socjaldemokracja u władzy musiałaby, w warunkach malejącego wzrostu, utrzymywać i pobudzać nadal operatywność sił rynkowych. Nie chodzi zatem o dwie ogólne koncepcje, lecz o tysiąc szczegółowych zabiegów. Pomimo rozczarowania szerokich grup społeczeństwa kierunkiem cięć budżetowych rządu Kohla (o czym mowa była powyżej), czy pewnymi zmianami w ustawie o strajkach, większość uznała partie koalicji za sprawniejsze niż SPD.

Rozbicie SPD w sprawach obronności, energii atomowej i związanego z tym stosunku do Zielonych jest dobrze znane. Wzrastający wpływ lewego skrzydła w tej partii i bezustanne kłuczenie Brandta między skrzydłami, wreszcie jego głośne spekulacje personalne na temat swej sukcesji podkopywały w ciągu długich miesięcy wiarygodność Raua, przekonującego wyborców, że udział w Sojuszu Atlantyckim i w NATO jest podstawowym dla Niemców warunkiem bezpieczeństwa. Rau nie zdążył jeszcze uisąść po niezmiernie wyczerpującej kampanii wyborczej, a już niekoronowany pomazaniec Brandta, Lafontaine, zwołał w ów powyborczy poniedziałek konferencję prasową, by oświadczyć, że kategoryczną odmowę współpracy z Zielonymi uważał ze strony Raua za fałszywą. Czytam właśnie wywiad radiowy Brandta, gdzie twierdzi on, że wyłączenie się RFN z NATO, na wzór Francji czy Hiszpanii, nie wchodzi w rachubę, i że nawet w wypadku, gdyby w Sowietach Gorbaczow zdołał się „całkowicie przebić”, NATO musi nadal istnieć. Melodia zupełnie inna niż ta, w której takt podskakiwała przecież coraz częściej — i co tu mówić, pod patronatem Brandta — lewica SPD. W dodatku melodia zaintonowana tak późno, że nie może zaradzić dezorientacji społeczeństwa co do istotnych poglądów socjaldemokracji na temat obronności. Jeśli partia ta pragnie naprawdę odzyskać w przyszłości zdolność rządzenia, musi czym prędzej odrzucić swoją żelazną zasadę, iż co dzień kto inny mówi co innego — oraz ustalić kurs jednolity i wiarygodny. „Co będzie z SPD?” — pytają niemieccy publicyści, dziennikarze, a także niektórzy politycy, niekiedy z wielką troską. Poważna część tutejszej opinii, od liberalnej po konserwatywną, uważa bowiem — niezależnie od indy-

widualnych preferencji wyborczych — istnienie silnej SPD w niemieckiej strukturze politycznej i społecznej za „konieczność życiową”. Świetny znawca socjaldemokracji, Helmut Herles, analizując sprzeczności między linią Raua a linią lewicy partyjnej, nazwał niedawno na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung* toczącą się kampanię „walką o duszę SPD”.

Dokąd ta dusza powędruje teraz? Tendencja *otwarcia się* w stronę Zielonych opiera się na przeświadczeniu, że nie są oni naprawdę dojrzałi do realnej współpracy i że albo się zmieniają, albo doszczętnie zatracą we własnych, fanatycznych i abstrakcyjnych utopiach — a wtedy SPD zagarnie obszar ich wpływów. Wizja niesprawdzalna, kto komu co zagarnie, nie sposób dziś wiedzieć. Skądinąd przypomnijmy najkrócej dotychczasowy bilans Zielonych: zasługi w wyniesieniu rangi problemów ekologicznych, skuteczne wykrywanie nadużyć i korupcji, niewątpliwa wrażliwość społeczna — ale to wszystko przy nieustającym skłóceniu personalnym, przy rozbiciu poglądów na konkretne sprawy, przy nieopisanym chaosie w pojmowaniu demokratycznych mechanizmów, przy zupełnym braku koncepcji gospodarczych, przy awanturniczych pomysłach w dziedzinie bezpieczeństwa zewnętrznego i wewnętrznego.

Lecz ponieważ nic nie jest albo czarne albo białe, trzeba uznać, że Zieloni wołają pełnym głosem o prawa człowieka, nie tylko w Chile, ale i w bloku sowieckim. I nie jest to dla nich figura retoryczna. Jeżdżą do Polski na spotkanie z opozycją⁵, solidaryzują się, mimo różnic w wielu poglądach, z „Solidarnością”, gdy rozmawiają w Moskwie z przywódcami sowieckimi, ranią ich uszy dopominaniem się o wolność dla więźniów politycznych i ogłaszają to potem publicznie, ślą otwarte protesty do rządów Rumunii, Węgier, Czechosłowacji. I takiej samej postawy żądają od SPD, która jeśli w ogóle coś w tej materii robi, to tajnie lub wręcz „mafijnie”.

Jakiś dramatyzm kryje w sobie porównanie Zielonych z SPD. Zieloni, jedyni dzisiaj wśród tutejszych partii, potrafili wskrzesić — jako część politycznego działania — apel do uczuć, wyobraźni i wrażliwości moralnej. Dlatego przyciągają młodzież. Jednakże ileż to razy idą pod tymi sztandarami w fałszywą stronę, obsuwając się w abstrakcje, zarówno grzaskie, jak i w swych skutkach wcale nie szlachetne.

W sumie: łatwe do sztywnej klasyfikacji nie jest po tych wyborach — nic. Prasa tutejsza trafnie wykryła, iż przetasowały się środowiskowe orientacje, osłabiły tradycyjne powiązania

5. Ob. „Zieloni w Polsce” — streszczenie i tłumaczenie wewnętrznego sprawozdania z wizyty czterech przedstawicieli Zielonych w Polsce, w kwietniu 1986 roku. *Kultura* nr 11/470, 1986.

określonych grup z określonymi partiami, ożywiły się krańce polityczne. Ostatnio optymizm gospodarczy drgnął w dół, niewykluczone więc, że przybędnie tu nieco gwiazda gospodarczych sukcesów i nasilą się procesy polaryzacji. Tak czy inaczej, dla obserwatora, a zwłaszcza takiego, któremu nie są obojętne skutki niemieckich układów politycznych dla Polski, nic nie byłoby bardziej fałszywe, niż przypisywanie wszelkich blasków jednemu społeczeństwu polskiemu z jedną tylko ze stron. Białe-czarne schematy zasługują na odrzucenie. Wiem, że maci to często własny spokój, zakłóca własną gnuśność ocen, że jest to intelektualnie niewygodne. Ale jest bliższe prawdy.

Kamila CHYLIŃSKA

6 lutego 1987

Widziane z Brukseli i z Australii

„MOURIR POUR KIRIBATI”?

Motto:

„Sytuacja na Dalekim Wschodzie, w Azji i na Oceanie Spokojnym, to znaczy w rejonach gdzie jesteśmy obecni od bardzo dawna, jest kwestią naszego interesu narodowego, kwestią interesu naszego państwa”.

Michaił Gorbaczow, lipiec 1986.

„Przyszłość świata zadecyduje się na Pacyfiku”.

Ronald Reagan, październik 1984.

Obaj panowie mają rację. Z punktu widzenia ściśle historycznego, aspiracje rosyjskie na Pacyfiku są nawet bardziej uzasadnione. Sięgają one XVII wieku: w 1639 roku Kozacy w służbie cara, też Michała, ale Romanowa, doszli do brzegu Oceanu Spokojnego w miejscu, gdzie dziś leży miasto Ochock. W 1820 roku Rosjanie, poprzez Alaskę, sięgnęli do Kalifornii a nawet do Hawajów, zanim w ogóle jakiś biały Amerykanin się tam pokazał. W 1860 roku, kiedy pierwszych kilkuset yankesów koczowało i biegało za mustangami w Kalifornii, Mikołaj Murawiew, generał-gubernator Wschodniej Syberii, już kontrolował ziemie nad Ussuri i zakładał na brzegu Oceanu miasto pod nazwą Władywostok, co znaczy, jak wiemy, „władać Wschodem”. Ale fortuna kołem się toczy. W ciągu lat następnych Rosja i

Ameryka wchodziły do historii wzdłuż zupełnie odmiennych krzywych. Stany Zjednoczone zainstalowały się na dobre na Hawajach, na Filipinach (po rozbiciu Hiszpanii) itd. Rosja zagrabiła co się dało z rozkładających się Chin, ale wplątała się w wojnę z Japonią: pod Czusimą Rosja straciła wszystkie złudzenia włącznie z flotą, nawet... bałtycką. Kiedy Japonia — nowe mocarstwo azjatyckie — zastopowała ekspansję Rosji na obszarze Pacyfiku, Stany Zjednoczone kończyły już zamieniać Ocean Spokojny w „amerykańskie jezioro”. Michaił Gorbaczow uznał ten stan rzeczy za historyczną krzywdę i postanowił przywrócić sprawiedliwość. Nie jest to żadna tajemnica, taki był głęboki sens jego przemówienia w lipcu ubiegłego roku we Władywostoku (naturalnie), w którym ogłosił swoją doktrynę o historycznej i politycznej misji i roli ZSSR w Azji i na Pacyfiku.

Proporcjonalnie do odległości

Patrząc z południowego Pacyfiku, Moskwa jest bardzo daleko. Nowa Zelandia np. jest równie oddalona od ZSSR co najbardziej południowy punkt Ameryki Łacińskiej. Ponad 6.000 km (w locie ptaka) dzieli północ Australii od najbliższego skrawka terytorium sowieckiego, a mianowicie... Władywostoku. Odpowiada to mniej więcej odległości Brukseli od Nowego Jorku, albo, żeby nadać temu porównaniu *couleur locale*, to znaczy fason azjatycki, dystansowi między Moskwą a Pekinem.

Podróżnik przybywający z Europy powinien więc być przygotowany na niespodzianki. I rzeczywiście. Ale na inne niż myśli i inne niż te, którymi go straszono. Kiedy lądowałem w Australii po 26 godzinach lotu, sześciogodzinnym spóźnieniu, pięciu międzylądowaniach (w tym jedno najzupełniej nieprzewidziane — na drugim niż to było przewidziane końcu Australii), okazało się, że wbrew temu co zapowiadał Janek W. ludzie nie chodzą do góry nogami i samoloty nie wpadają do morza, bo pas na lotnisku jest za krótki. Mieszkańcy antypodów są bardzo do nas podobni. Różnią się jedynie wysokością białych skarpetek do szortów (niezależnie od kształtu nóg i ich owłosienia), obowiązkowym białym strojem przy bowling'u — rytualny element nieznanym przy naszych normalnych kręglach lub francusko-hiszpańskiej *pétanque*, wielodniowym szaleństwem przy oglądaniu sportu (?) zwanego krykietem. Jest to coś w rodzaju niezrozumiałego misterium, odpowiadającego, na pierwszy rzut oka, zabawie zwanej grą w kizkę, jakiej oddawałem się z entuzjazmem na boisku szkoły ukraińskiej we Lwowie. Nikomu normalnemu nie przyszłoby jednak do głowy nazwać tego sportem, zdolnym ponadto opanować i oszłomić masy, a młodych ludzi, umiających lepiej od innych trafić palantem w piłkę, przekształcić w bohaterów narodowych i milionerów. Ktoś mi tłumaczył, że krykiet (obok tenisa i żeglarstwa) stanowi w istocie rodzaj miejscowej *katharsis* czy kolektywnej zemsty na Wielkiej Brytanii za czasy kolonialne, ale nie było to bardzo przekonujące, albowiem żadna

z zaproponowanych wersji nie tłumaczy innej destruktywnej pałki australijskiej, a mianowicie powszechnego i także obowiązującego w tym kraju niszczenia mięsa przy pomocy *barbecue*: befsztyki lub baranina są w wyniku tego procederu i twarde i zimne, chociaż w stanie surowym wyglądały jak prawdziwe mięso.

To wszystko jednak detale. Nie wystarczyłyby na wytłumaczenie autentycznego pocucia inności jakie nawiedza, po postawieniu pierwszych kroków na australijskiej ziemi, przybysza z naszej europejskiej, wschodniej czy zachodniej, planety, przyzwyczajonego do życia w cieniu sowieckich SS-20 czy ich amerykańskich odpowiedników. Wszystko staje się jasne po kilku dniach, po kilku rozmowach, po kilku spotkaniach z emigrantami z Polski i urzędnikami z Canberra, pod względem diagnozy w tej sprawie (i chyba tylko w tej) nie ma między nimi w zasadzie różnicy. Najlepiej to ujął pewien tzw. ekspert, wysoki urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych Australii. Kiedy się przed nim wyświadałem — z zażenowaniem zresztą — z mojej zazdrości wobec pocucia bezpieczeństwa, a może nawet beztroski z jaką potrafią żyć, pijąc duże ilości piwa, mieszkańcy Australii, ekspert, przyzwyczajony widać do pobłażliwego traktowania dzikusów z antypodów, powiedział: „Nasze pocucie bezpieczeństwa jest wprost proporcjonalne do geograficznej czy geo-politycznej odległości, jaka nas dzieli od głównych frontów i ognisk konfliktów światowych. Nie jesteśmy neutralni, wprost przeciwnie. Należymy naturalnie do obozu demokracji. Co nie przeszkadza nam jednak w uznaniu, iż nic nam obecnie nie zagraża i że podstawową osią naszej polityki zagranicznej powinno być utrzymanie Australii, dzięki tej odległości, poza sferą współzawodnictwa, konkurencji, globalnej gry obu super-mocarstw”.

Bardzo trafna doktryna, pomyślałem z podziwem, sam bym na to nie wpadł. Prawdziwe wyzwanie. Życzyć Australii, mimo białych skarpetek i *barbecue*, jak najlepiej, ale pomyślałem, że warto się temu wyzwaniu przyjrzeć z bliska...

To tylko handel...

Pewnego marcowego dnia (schyłek lata w tych stronach) 1984 roku, w worku pocztowym jaki mały samolot przywozi raz na tydzień z Australii do miasta Tarawa (22.000 mieszkańców), stolicy wyspiarskiego i suwerennego mikro-państwa Kiribati (dawnej wysp Gilberta) na południowym Pacyfiku, nadeszła elegancka koperta. Adresat: rząd państwa Kiribati; nadawca: ambasada państwa ZSSR w Canberze, stolicy państwa Australia, stanowiącej główny punkt oparcia dyplomacji (i nie tylko dyplomacji) sowieckiej w południowej strefie Pacyfiku. Koperta zawierała propozycję rządu ZSSR zawarcia z rządem z Tarawa umowy zezwalającej sowieckim trawlerom na połowy tuńczyka w wodach terytorialnych otaczających 33 wyspy stanowiące archipelag Kiribati.

Tak naprawdę nie była to rewelacja. Władze sowieckie od

dawna już proponowały podobne układy — rybackie, naukowo-badawcze w dziedzinie oceanografii czy ichtiologii — państwu Kiribati i innym mikro-państwom na południowym Pacyfiku. Ale propozycje te były albo ignorowane, albo odrzucane. Doradcy australijscy, nowo-zelandzcy czy amerykańscy czuwal nad mikro-państwami, pozbawionymi większego doświadczenia politycznego, zwłaszcza w dziedzinie sowieckiej techniki łowienia ryb, ichtiologii i w ogóle. Ich bicie na trwogę przed „czerwonym niebezpieczeństwem” było przez dłuższy czas skuteczne. Mikro-państwa dawały się nastraszyć: marynarze i rybacy sowieccy mogli tylko z daleka zachwycać się boskimi plażami i pejzażami, ale bez możliwości bezpośredniego ulegania wdziękowi mieszkańek Kiribati.

Świat się jednak zmienia. Kryzys gospodarczy nawiedził nawet raj na Pacyfiku. Głód zajął w oczy 65.000 obywateli Kiribati. Złóża fosfatu, ongiś miejscowego kruszcu, wyczerpały się, topiąc w lazurach wodach 80 % wpływów eksportowych wyspy. Pozostała tylko jedna szansa: amerykańskie dolary w zamian za prawo połowów tuńczyka, stanowiącego ostatnie bogactwo autochtonów. Tak, ale „American Tunaboat Association”, to znaczy Stowarzyszenie tuńczykowych rybaków amerykańskich to nie jest Towarzystwo przyjaciół matki Teresy. Zamiast więc natychmiast podpisać umowę, amerykańscy rybacy, mało subtelni politycznie, nadal beztłannie łowili kiribatiowego tuńczyka, gwizdząc sobie na suwerenność mikro-państwa.

Gwizdać już właśnie przestali. Prezydent Kiribati p. Jeremiasz Tabai powiedział nie bez racji: „Amerykanie nigdy nie szanowali naszych granic, naszej suwerenności, a teraz na dodatek jeszcze okradają nas z naszego tuńczyka”. I w 1985 roku udzielił po raz pierwszy pozytywnej odpowiedzi na sowieckie umizgi rybackie. Suwerenne mikro-państwo podpisało umowę z Moskwą: w zamian za garść 2 milionów dolarów, 16 sowieckich trawlerów otrzymało prawo połowów tuńczyka przez cały rok w wodach terytorialnych Kiribati. Z jednym, ale ważnym ograniczeniem, bardzo niechętnie zaakceptowanym przez ZSSR: rybacy sowieccy mogli opływać wyspę, ale nie mogli wysiadać na ląd i nadal byli odcięci od dyskotek i innych rozkoszy Kiribati. Kiedy — mimo tego odcięcia — w kotłach ekspertów i doradców, którym wszak nieobce było przeznaczenie wysokich anten i urządzeń nasłuchowych zainstalowanych na sowieckich statkach rybackich, zapanało jednak podniecenie, prezydent Tabai ich uspokoił: „Ja się nie znam na rywalizacji supermocarstw — powiedział prezydent — podpisaliśmy zwyczajny układ handlowy. I to wszystko”.

Ale tak się tylko prezydentowi zdawało. To wcale nie było wszystko. Tzw. „domino” zagrało. Ośmielone przez przykład Kiribati, inne wyspo-mikro-państwa weszły do gry. Niedawno, kiedy jeszcze z rozkoszą przemierzałem plaże Australii, śledziłem kilka spraw fascynujących równocześnie miejscową prasę i opinię publiczną. Najważniejsze były regaty „America Cup”, w które Australijczycy zaangażowali wszystkie swe ambicje i bardzo dużo milionów dolarów. Potem był „test-match” krykietowy z Wielką

Brytanią, nielegalny wyrąb lasów przez stanowy rząd Tasmanii, no i wreszcie fantastyczna operacja finansowa, w wyniku której Rupert Murdoch, taki amerykańsko-australijski Giedroyc, chciał sobie, mimo ostrej konkurencji miejscowych milionerów i rekinów wydawniczych, zapewnić — kosztem ponad 2 miliardów dolarów — kontrolę nad 75 % prasy australijskiej. Nic dziwnego, że w takiej konkurencji to, co się działo na mikro-wyspach, interesowało już tylko nielicznych maniaków. Interesowało, co nie znaczy, że niepokoiło.

A działo się nienajgorzej. Niewielkie wzmianki w prasie informowały o rokowaniach prowadzonych w Sydney między delegacją państwa Vanuatu (ongis Nowe Hybrydy, administrowane łącznie przez Anglię i Francję), a przedstawicielami ambasady sowieckiej w Canberze. Rząd Vanuatu poszedł dalej, niż władze Kiribati. Nawiązał był już przedtem stosunki dyplomatyczne z Moskwą, a właśnie teraz, w chwili pisania tych słów, dowiedziałem się z prasy amerykańskiej, że podpisał nie tylko umowę o rybołówstwie (za 1,5 miliona dolarów rocznie), ale także zgodę na cumowanie trawlerów w porcie, obsługę i konserwację sprzętu, a nawet — jak zapowiadają tzw. dobrze poinformowane źródła — lądowanie charterów Aeroflotu, wyłącznie, naturalnie, dla wymiany załóg. Premier Vanuatu, pastor anglikański Walter Lini, zmiótł nawet najłżejsze wątpliwości: „To zwyczajny handel — powiedział — i to wszystko”.

Ale to nie było wszystko.

Krążowniki za trawlerami

Okolo 4,5 miliona ludzi zamieszkuje ziemski raj, bardzo wyraźnie widoczny z nieba, to znaczy atole i wyspy, rozrzucone w oszałamiającej przestrzeni 26 milionów km² południowego Pacyfiku. Kiribati i Vanuatu to tylko dwa z dziewięciu mikro-państw, które uzyskały niepodległość w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Jest to ciekawy i pouczający obiekt studiów nacio-geo-kulturo-politycznych. Na wyspach tych notuje się obecnie — rzecz w zasadzie zrozumiała — coś w rodzaju przebudzenia narodowego, lub raczej nacjonalistycznego. Kieruje tym zjawiskiem nowe pokolenie przywódców, ludzi dynamicznych, ale, niestety, „ideologicznych”, to znaczy pozostających pod wpływem bardzo nieprecyzyjnej, ale wybuchowej mieszanki, składającej się z „teologii wyzwolenia”, zachodnioeuropejskiego markso-lewactwa, zwłaszcza pochodzenia protestancko-kościelnego, ludzi zafascynowanych nie ekologią a ekologiczno-politycznym bełkotem, językiem trzecio-swiatowych pseudo-neutralistów i przeciwników energii nuklearnej we wszystkich postaciach, a tak się dziwnie składa, że tu, w tych okolicach, chodzi o postacie tylko amerykańskie i francuskie.

Otóż ci dynamiczni przywódcy — w tym także nie ma nic dziwnego — są wyjątkowo uczuleni na zewnętrzne i prestiżowe aspekty ich świeżutkiej niepodległości. W rezultacie Ocean-Spo-

kojny, czyli „amerykańskie jezioro”, jest nieco mniej spokojny i nieco mniej amerykański, jego wody już lekko falują, a przede wszystkim są już nieco mętne. Jest więc rzeczą najzupełniej normalną, że Michaił Gorbaczow nie pozostał obojętny wobec tych nowych okoliczności. Mnie się po prostu zdaje, że jemu się wydaje, że czas ochrony minął, że można już zacząć łowić. Nie tylko tuńczyka.

Spoza trawlerów wyłania się cień krążowników. Niewinni rybacy, ich sieci oraz radarowe anteny zaczynają niepokoić niektórych lokalnych strategów. Niektórzy dopiero teraz przeczytali przemówienie Gorbaczowa we Władywostoku. I dopiero teraz dowiedzieli się, że większość terytorium ZSSR leży — jak to przypominał Gorbaczow — w Azji i nad Pacyfikiem, że reszta Azji nie leży poza zasięgiem zainteresowania Kremla. Azja południowo-wschodnia stanowi najbardziej dynamiczną część kapitalistycznego świata. W okresie *pierestrojki* nie jest to aspekt — jak mówią dziennikarze w Warszawie — bagatelny. Podczas kiedy ZSSR musi ponosić koszt utrzymania Wietnamu, Kambodży i Laosu, pogrążających się w nędzy i wojnie, handel Stanów Zjednoczonych z krajami Dalekiego Wschodu jest już od kilku lat bardziej rozwinięty niż z krajami Wspólnoty Europejskiej. Po Kanadzie największym partnerem handlowym USA jest Japonia. Okazuje się, że roku 2000 dwie trzecie wszystkich „konsumentów” na całym świecie zamieszkiwać będą właśnie Azję południowo-wschodnią. Gorbaczow chciałby uzupełnić tę konsumo-geografię o Azję sowiecką. Gorbaczow wie, że klucze do przyszłości ZSSR — i jego własnej — zakopane są w syberyjskiej zmarlinie. Dlatego ogłasza Azję i Pacyfik za coś w rodzaju sowieckiej *new frontier*, za wielkie wyzwanie przejścia z XX do XXI wieku.

Oczywiście, powoli. Najważniejsze w tym planie są Chiny, a potem Japonia, Korea południowa, Sjam itd. Ale i na innych przychodzi kolej. Indonezja, Malazja, aż po Singapur, no i Australia i Nowa Zelandia też figurują w planie. 28 stycznia — to prawdziwa premiera — odbyło się posiedzenie wiceministrów spraw zagranicznych Paktu Warszawskiego na temat sytuacji „w rejonie Azji i Pacyfiku”. Ministrowie, według agencji TASS, „wymienili poglądy na temat zagadnień związanych z utrzymaniem pokoju i bezpieczeństwa w tym rejonie”. Drobną rzecz, a cieszy. Ta progresja nie powinna zresztą stanowić zaskoczenia. Przygotowania trwają już od pewnego czasu. Specjalny departament Pacyfiku został w tym celu utworzony w sowieckim ministerstwie spraw zagranicznych. Minister Szewardnadze już był w Tokio i wybiera się na Pacyfik, aż po Canberę.

Aby dyplomaci nie czuli się osamotnieni, w ślad za nimi posuwa się flota sowiecka. Jest ona — naturalnie i na szczęście — ciągle jeszcze znacznie słabsza niż VII flota USA, ale liczy jednak — to nie drobnostka — 850 jednostek, w tym dwa lotniskowce, 88 łodzi podwodnych, ponad 2.000 samolotów. Bazy we Władywostoku, Petropawłowsku, na Sachalinie (któż nie pamięta koreańskiego Boeinga 747 strąconego z 269 pasażerami przez MIG'a z tej bazy?) są w pełnym rozwoju. Dla obrazu całości należy do

nich teraz dołączyć dwie ogromne bazy w Da Dang i Cam Ranh, wspinałomyślnie pozostawione w doskonałym stanie przez Amerykanów wycofujących się z Wietnamu.

Na środku jeziora

Zainteresowanie tą strefą świata nie jest, jak już powiedziałem, ani spontaniczne, ani bezinteresowne, ani lekkomyślne. Kilka sztabów w Moskwie troskliwie śledzi od pewnego czasu „pozytywne” dane nadchodzące z tego rejonu. Czerwone światło miga coraz częściej. Kilka wyjątkowo interesujących elementów zwróciło uwagę Kremla. Po pierwsze, panuje w tym rejonie bardzo wyraźna atmosfera anty-amerykańska, spotęgowana przez piractwo rybaków amerykańskich, gwałcących 200-milową strefę wód terytorialnych i odmawiających płacenia za prawo połowów. Francuzi nie cieszą się większą popularnością. Wprost przeciwnie, można powiedzieć. Z dwóch różnych powodów. Z jednej strony Francja upiera się przy obecnym statucie Nowej Kaledonii, odmawia przyznania jej niepodległości, podczas kiedy wszystkie państwa tej strefy jednomyślnie popierają aspiracje Kanaków. Fakt, iż większość mieszkańców tej wyspy woli prawdopodobnie należeć do Francji, nie stanowi argumentu. Dla moich rozmówców australijskich musi tutaj dojść do katastrofy. To, że niepodległościowcy z Nowej Kaledonii kształcili się w Libii jest, według moich rozmówców, absolutnie zrozumiałe, to jest wina Francji. Z drugiej strony Francja upiera się także przy kontynuowaniu prób atomowych na atolu w Mururoa. Sprawa jest delikatna, Francja, mocarstwo atomowe, bardzo przywiązane do swej *force de frappe*, nie dysponuje po prostu innym poligonem. Mogłaby naturalnie, według niektórych miejscowych ekspertów, dokonywać prób nuklearnych na Champs Elysées w Paryżu, ale na razie rząd francuski jest innego zdania, tym bardziej, że Mururoa znajduje się w bezpiecznej odległości od zaniepokojonych wyspiarzy, a nieistniejący opad z podziemnych czy raczej podmorskich prób jeszcze ani razu nie dotarł do surfishistów na plażach w Sydney. No, ale autochtoni, a oni tu gospodarze, Australia i Nowa Zelandia *compris*, są przeciw.

To nie wszystko. Inne elementy destabilizacji także nie uszły uwagi Moskwy. Prozachodnia pani prezydent Aquino na Filipinach budzi się codziennie przy odgłosach — nieudanego na szczęście — zamachu stanu. Ale nawet ona w swej nowej konstytucji zapowiedziała, że bazy amerykańskie będą ewakuowane najpóźniej w 1991 roku. W Malazji islam jest w ofensywie. Islam fundamentalistów i ayatollów: wiadomo, o co chodzi. Emisariusze pułkownika Kadhafi, serca i portfele szeroko otwarte, są już w terenie, dziesiątki „stypendystów” kształcą się w Libii, lub od razu w ZSSR.

Ktoś by pomyślał, że problemy istnieją, bo to młode państwa, delikatne i wrażliwe, no i specjalnie uczulone na kolonializm. Ba, poważniejsze problemy ujawniły się na najbardziej nieocze-

kiwanym styku, w stosunkach USA z Australią i Nową Zelandią. ANZUS, sojusz tych trzech krajów, taki rodzaj NATO na Pacyfiku, leży na dnie oceanu. W skrócie poszło o to, że Nowa Zelandia ogłosiła się strefą absolutnie bezatomową i zabroniła statkom US Navy o napędzie atomowym albo z bronią atomową na pokładzie cumować w swoich portach. Amerykanie się na to nie zgodzili, ogłosili, że wolą sojusz we dwoje, że lepszy mniejszy ale prawdziwy, niby co to za sojusznik, co nie wpuszcza sojusznika. Nowozelandczycy poczuli się wtedy pokrzywdzeni. Premier Lange słusznie stwierdził, że świat nie powinien stanowić własności potęg nuklearnych i ogłosił, że Nowa Zelandia „nie jest już kolonią” i że nie będzie żaden Amerykanin płuć jej w twarz. Nic dziwnego że, jak ktoś powiedział, Amerykanie traktują ich jeszcze jako przyjaciół (bo w narodzie ich lubią), ale już nie jako sojusznika.

Australia nad Syberią

I wtedy zaczęło się z Australią. Ten kraj-kontynent przedstawia dla Stanów Zjednoczonych wartość strategiczną, mało widoczną z wielkiej odległości. Stanowi znakomitą i bezpieczną bazę zaopatrzeniową, transferową i tranzytową, jak się to np. okazało, kiedy Japończycy zniszczyli Pearl Harbour. Jest to aspekt tym ważniejszy dziś, kiedy sowieckie bazy w Wietnamie bardzo przybliżyły możliwości operacyjne czerwonego lotnictwa i kiedy — przy chwilowej sytuacji na Filipinach i małej obronności baz na Diego Garcia czy Gwam — USA potrzebują bardziej niż kiedykolwiek solidnych tyłów dla zapewnienia obsługi swej floty na Oceanie Indyjskim. Australia, która leży na takiej samej długości geograficznej co Syberia, odgrywa ważną rolę w utrzymaniu równowagi strategicznej poprzez utrzymywanie nazimnych stacji obserwacyjnych, jak np. w Pine Gap, które pozwalają notować i analizować dane zebrane przez satelity-geo-stacjonarne nad terytorium ZSSR i Chin.

Otóż w takim właśnie momencie Waszyngton wypowiedział Australii wojnę zbożową. Prezydent Reagan, prorok nieinterwencji państwa w sferę gospodarki, bardziej dba o stosunki ze stanem Iowa czy Arizona, niż z Australią, i wprowadził do absolutnie wolnego handlu, uprawianego przez prywatnych farmerów amerykańskich, dotacje państwowe, tak aby mogli oni, bez strat, sprzedawać swe nadwyżki zboża za pół ceny konsumentom w ZSSR czy w Chinach. Ponieważ rząd australijski sobie na takie dopłaty nie może pozwolić, więc pozostało mu tylko obliczyć straty wynikłe z wysiudania jego farmerów z niektórych rynków zbożowych. Według miejscowych statystyk straty te wyniosły około 700 milionów dolarów, co nawet dla bogatej Australii stanowi już problem. Jak to zauważył politolog z Melbourne, Colin Rubinstein, rząd z Canberry może dziś dojść do wniosku, iż, odwrotnie niż w Nowej Zelandii, Amerykanie traktują Australijczyków jeszcze jako sojuszników, ale już nie jak przyjaciół.

A inny obserwator, Michael Danby, doszedł do wniosku, że z inspiracji nie lewicy komunistycznej, a farmerskiego *lobby* w Waszyngtonie powstała w Australii zupełnie nowa formacja polityczna: konserwatywna grupa antyamerykańska, złożona z przedstawicieli farmerów i kupców.

Moskwa wszystko skrupulatnie notowała i zastanawiała się, jak i od której strony się wmeldować, tak aby nikogo nie przerazić, a jednak nie przegapić okazji. No i okazała się nadarzyła i Moskwa jej nie przegapiła. Najbardziej popularną ideą tej strefy jest bowiem strefa bezatomowa. Pierwszy koncept narodził się w 1970 roku w Nowej Zelandii (naturalnie), ale jego kształt definitywny powstał dopiero 13 lat później, już w Australii. Rezultat: ogromna większość państw tego, jak mawiają w Moskwie, regionu, podpisała „układ z Raratonga” o utworzeniu na Południowym Pacyfiku strefy bezatomowej, w skrócie SPNFZT, albo jeszcze krócej „Spinfist”. Jego sygnatariusze ogłaszają totalne atomowe dziewictwo: ani broń, ani próby, ani odpady. Takie atomowe nic. Mniejsza o szczegóły, na nic zdało się tłumaczenie przez ludzi inteligentnych, że nie ma broni atomowych dobrych i złych, że decyduje, kto trzyma i w jakim celu palec na atomowym guziku, że jeden palec jest zły, chociaż płaci za tuńczyka, a drugi dobry, mimo, że zachowuje się ten „palec” czasem idiotycznie, że ślepotą prowadząca do *moral equivalence* czyli nie odróżniająca jednego palca od drugiego, zaciera różnice między atomowym szantażem a atomowym odstraszaniem.

No to już teraz łatwo zgadnąć, kto się zameldował przy tej okazji, kto pierwszy — i na razie jedyny z atomowych mocarstw podpisał „Kartę z Raratonga”? Związek Sowiecki, naturalnie. Dla Moskwy operacja „Południowy Pacyfik” jest mało kosztowna i właściwie bez ryzyka.

Po pewnym czasie Amerykanie zresztą zorientowali się, że coś jest nie tak jak być powinno, że określone elementy sytuacji umykają ich kontroli, że powinni, tak jak inni, otworzyć oczy i portfele. Wysoki emisariusz Departamentu Stanu, Edward Derwinski, „bawił” niedawno w tej okolicy i przekonał się, że niezależnie od politycznej obecności ZSSR, zawsze niebezpiecznie, kiedy można łowić w mętnej wodzie, sowieckie „trawlerzy” będą mogły z dużą łatwością przechwytywać amerykańskie sygnały telekomunikacyjne, a także śledzić próby z rakietami lądującymi na poligonie Kwaialen na wyspach Marshalla. P. Derwinski „uruchomił” więc natychmiast 12 milionów dolarów, mających przez 5 lat opłacić amerykańskie rybołówstwo w wodach 16 mikropaństw. Ale było już za późno, suwerenność miejscowa już zrozumiała, że można brać dolary i kapitalistyczne i komunistyczne, brać gdzie się da, tym bardziej, nieprawdaż, że chodzi tu tylko o handel.

Dolary pana Derwinskiego utrudnią zapewne sowieckie manewry i umizgi. Ale już można stwierdzić, że za garść dwóch milionów dolarów i jeden podpis bez — jak wszystkie takie podpisy — żadnego znaczenia, Związek Sowiecki miękko wylądował w samym środku „amerykańskiego jeziora”, w miejscu, w którym

jeszcze rok temu nawet największy pesymista nie mógłby sobie wyobrazić dumnie łopoczącego sztandaru z sierpem i młotem.

Drugie odkrycie ZSSR

Po raz pierwszy Australia odkryła Związek Sowiecki 3 kwietnia 1954, kiedy Włodzimierz Petrow, sekretarz ambasady ZSSR w Canberze poprosił o azyl polityczny. Petrow miał bardzo szerokie zainteresowania, był odpowiedzialny za sprawy konsularne i kulturalne, a przede wszystkim, jak się okazało, za sowiecką sieć szpiegowską w Australii i okolicy. Z racji swych oficjalnych i mniej oficjalnych zadań, Petrow często jeździł, znał — i rekrutował — sporo ludzi w bardzo rozmaitych kołach politycznych i kulturalnych Australii. Rewelacje Petrowa, które dzisiaj, po tym co już wiemy z licznych późniejszych ucieczek, brzmią jak opowiadania dla dzieci, spowodowały prawdziwe trzęsienie ziemi w Australii, kraju który wówczas (a jak jest dzisiaj — nie wiem) nie miał pojęcia o tej specjalności ZSSR. Specjalna komisja badała sprawę przez dwa lata, wysmażyła raport na 500 stron, przepytowała ponad 100 świadków.

Ziemia trzęsa się bardzo długo. Stosunki dyplomatyczne zostały zerwane (na kilka lat), lewica australijska, nie tylko komunistyczna, wśród której Petrow rekrutował swych świadomych i nieświadomych agentów, wyszła z tej afery ciężko porażona. Niektórzy eksperci australijscy uważają, że skandal Petrowa odsunął Labour Party od władzy na 25 lat.

Czy pojawienie się ZSSR na Pacyfiku południowym może stanowić drugi etap odkrywania Związku Sowieckiego przez Australię? Czy Vanuatu lub Kiribati mogą przekształcić się w regionalną Kubę czy Angolę? Na pierwszy rzut oka bardzo niewiele osób z niezbędnym wykształceniem traktuje poważnie taką wizję. Z trzech rozmaitych źródeł (wszystkim bardzo dziękuję za pamięć i polecam się na przyszłość) otrzymałem ten sam wycinek z *The Australian*, chyba najbardziej trzeźwego dziennika australijskiego, póra jego też bardzo trzeźwego korespondenta amerykańskiego, Petera Samuela, na temat książki chyba nieco mniej trzeźwego Paul Dibba. Dibb jest jednym z czołowych przedstawicieli australijskiej myśli strategicznej. Jest także, według Samuela, dyrektorem „Joint Intelligence Organisation”, czyli ma dużo wspólnego z, nazwijmy to delikatnie, analizą i oceną polityczną strategii przeciwnika. Książka Dibba nosi dziwny, ale ciekawy tytuł: „Soviet Union: the Incomplete Superpower”, czyli „niepełne supermocarstwo” lub „niedokończzone”, coś tak jak symfonia Schuberta. W przedmowie do książki Dibb pisze (streszczam za Samuelem), że świata nie należy dzielić na siły dobra i zła, że podstawowym problemem między ZSSR i USA jest brak zaufania do intencji drugiej strony i że ich wrogość wynika przede wszystkim z wzajemnej niewiedzy. Dibb traktuje ZSSR jak normalne państwo, o wyschniętej ideologii, które właściwie nie marzy o niczym innym jak tylko o tym, aby je inni zostawili

w spokoju, a jeżeli się mimo wszystko intensywnie zbroi, okupuje *de facto* (dodaje już od siebie) pół Europy, najeżdża Afganistan i kolonizuje Angolę, Nikaraguę i Etiopię, to z powodu kompleksu niższości, no i tragicznych doświadczeń przeszłości. Nie warto dużo cytować, wszystko to znamy, w lepszym wykonaniu, z Europy zachodniej i z USA. W Australii, sam się o tym przekonałem, Dibb ma na ogół dobrą opinię, znacznie lepszą w każdym razie, niż by to mogło wynikać ze streszczenia jego książki. Jest to jednak głos o tyle znamienity, że odpowiada właściwie temu, co słyszałem w kilku kompetentnych ministerstwach w Canberze, kiedy dzieliłem się moimi wątpliwościami co do bezinteresownych intencji „niedokończonego supermocarstwa” na południowym Pacyfiku, czyli w środku już nie amerykańskiego, a australijskiego jeziora.

„Niech się pan nie martwi — powiadali — my im patrzymy na ręce i na anteny”. *Everything is under control*, powiedzieli. Jeden z moich rozmówców, wybitny profesor uniwersytetu, lewicowy politolog, który znał moje polskie doświadczenia, dodał nawet ze znaczącym uśmiechem: „Tylko bez paniki. Za Kiribati nie trzeba będzie umierać”.

Tak jak za Gdańsk?

Leopold UNGER

Pisane 6 lutego 1987

P.S. Artykuł ten powstał, jak wynika z tytułu, po powrocie do Brukseli z podróży do Australii. Inaczej jednak niż po innych podróżach, tym razem chciałem przekazać czytelnikom kilka słów wyjaśnienia. Do podróży do Australii i do napisania tego artykułu doszło w wyniku zaproszenia autora „Widzianych z Brukseli” i „Orla i reszty” przez rzucone na antypody różne pokolenia czytelników *Kultury*. Było to dla mnie prawdziwe odkrycie Australii, przede wszystkim poprzez spotkania z dziesiątkami, a nawet z setkami ludzi ciekawych, serdecznych, gościnnych, sprawnych i oddanych szczerze *Kulturze* i kulturze.

Oczywiście nie jestem w stanie podziękować wszystkim tym, którzy kosztem ich czasu — tak potrzebnego na przetrwanie się przez emigracyjny tor przeszkód — przyczynili się do zapewnienia organizacyjnego i „sentymentalnego” sukcesu mojej tury odczytowej z Sydney do Melbourne przez Canberę i Adelaide. Chciałbym więc za pośrednictwem *Kultury* wszystkim im powiedzieć, że wizyta u nich była dla mnie głębokim przeżyciem zawodowym i ludzkim (mam nadzieję, że dla niektórych moich słuchaczy także), tak interesującym, że mimo kolosalnej odległości i *barbecue* na piknikach jestem gotów, aby ich ponownie spotkać, znowu objechać połowę świata. Może nie od razu, ale jak zawsze pod warunkiem, że honorarium będzie znowu opłacane w pierogach.

L. U.

Polonika we Wspólnym Rynku

ROZMOWA Z JASIEM GAWROŃSKIM

Jak wygląda pomoc humanitarna EWG dla Polski? Co stało się z pieniędzmi przeznaczonymi na Fundację Rolniczą? Trwają rokowania pomiędzy EWG i RWPG (czyli COMECON-em, jak brzmi zachodni skrót tej Rady) w sprawie wzajemnego, dyplomatycznego uznania — jakie perspektywy wynikają stąd dla Polski? Te i podobne kwestie stanowiły przedmiot mej rozmowy z Jasiem Gawrońskim*, postem do Parlamentu Europejskiego z ramienia Włoskiej Partii Republikańskiej (PRI). Był on projektodawcą uchwalonej przez ten parlament w grudniu 1986 roku rezolucji, dotyczącej stosunków między EWG i Polską. Rezolucja ta kładzie nacisk na uzależnienie kontaktów gospodarczych od ewolucji wewnętrznej w Polsce w kierunku rozszerzania swobód obywatelskich oraz na popieranie rozwoju kultury niezależnej, z czym wiąże się możliwość udzielania stypendiów na Zachodzie dla przedstawicieli polskiego świata nauki i kultury. Trzeba zaznaczyć, że rezolucja ta zawiera ważne *novum*: zaleca wprowadzanie do umów handlowych klauzuli o wymianie naukowej i kulturalnej. Jest to wymóg dość nierealny, jeśli stroną w umowach są firmy prywatne — co innego jeśli jest nią rząd. Ważne jest jednak — podkreśla Gawroński — by strona zachodnia była wyposażona w środki umożliwiające nadzór nad realizacją umów, tzn. weryfikowanie, czy import nowoczesnej technologii i urządzeń przemysłowych przyczynia się skutecznie do poprawy gospodarczej, a zwłaszcza do podnoszenia stopy życiowej w Polsce.

Sprawa 2 milionów dolarów przeznaczonych przez EWG na oświatę rolną w Polsce? Z budżetu na rok 1985 suma ta, przeznaczona pierwotnie na kościelną Fundację Rolniczą, przepadła. Natomiast z budżetu na rok 1986 przyznano 1 milion 900 tys. dolarów na szkołę agronomii (inżynierii rolnej) w Oświęcimiu, prowadzoną przez Zgromadzenie Salezjanów oraz cztery inne, podobne ośrodki kościelne, 100 tys. dolarów zaś na stypendia dla młodzieży akademii rolniczych i ośrodków kształcących fachowców dla obsługi gospodarstw indywidualnych. Stanowisko Kościoła, a zwłaszcza Ks. Prymasa, postulujące poszukiwanie innych środków dopomożenia tym gospodarstwom — po odrzuceniu przez władze projektu Fundacji Rolnej — znalazło tym samym pozytywny oddźwięk. Dalsze plany związane z modernizacją polskiego rolnictwa, a w szczególności z rozwojem gospodarstw rodzinnych, Ks. Prymas będzie miał okazję przedstawić w czasie swej

* Używa zdrobniałego imienia Jaś w odróżnieniu od ojca, śp. Jana Gawrońskiego, przedwojennego dyplomaty i autora kilku książek, m.in. „Moja misja w Wiedniu” i „Wagary dyplomatyczne”.

wizyty w Belgii od 20 do 26 lutego bież. roku. Przewidziane jest bowiem jego spotkanie z grupą parlamentarzystów europejskich „Friends of Poland” (której Gawroński jest współprzewodniczącym), i funkcjonariuszami Komisji Wykonawczej EWG. Zadanie będzie miał ułatwione wobec spodziewanego wkrótce już uznania EWG przez ZSSR i inne kraje bloku. Ks. Prymas będzie interpelowany w sprawie możliwej wymiany delegacji pomiędzy Parlamentem Europejskim i Sejmem w Polsce oraz „wypytowania kwestii szczególnie ważnych dla Kościoła w związku z tymi spotkaniami”. Parlament Europejski planuje utrzymanie, a nawet zwiększenie sum przeznaczonych na rozwój polskiego rolnictwa, co byłoby znacznie ułatwione — stwierdza Gawroński — „jeśli rząd wznowi rokowania z Kościołem na temat uruchomienia Fundacji Rolnej”. Niezależnie od tego przedstawiciele EWG przedyskutują z Ks. Prymasem sprawę dalszej pomocy charytatywnej w postaci lekarstw i środków sanitarnych, które do tej pory wysyłane były za pośrednictwem ks. bp. Domina, przewodniczącego Komisji Charytatywnej Episkopatu. Pomoc ta będzie utrzymana tym bardziej, że jest nią osobiście zainteresowany Sir Henry Plumb, nowy przewodniczący Parlamentu Europejskiego, którego żona była bardzo czynna w organizowaniu transportów leków do Polski. Gorzej przedstawia się sprawa nadwyżek żywnościowych EWG (poza mlekiem w proszku dla dzieci) — kierowane są one bowiem do niedorozwiniętych krajów Trzeciego Świata, gdzie potrzeby są na pewno znacznie większe.

Rokowania w sprawie zawarcia „układu ramowego” pomiędzy EWG i RWPG natrafiają na przeszkody obiektywne, niezależne od sowieckiej decyzji formalnego uznania Europejskiej Wspólnoty jako „politycznej całości”. Chodzi głównie o to, że struktura EWG jest ponadnarodowa i oparta na wspólnej polityce gospodarczej. Odmienne jest też mechanizm funkcjonowania i podejmowania decyzji w obydwu tych organizmach. Normalizacja stosunków pomiędzy nimi nie powinna jednak — precyzuje Gawroński — dochodzić do skutku kosztem zasady zawierania przez EWG umów bilateralnych z poszczególnymi krajami wchodzącymi w skład RWPG. Dla przyniatającej większości europejskich deputowanych jest to punkt nader istotny. Trudność w pertraktacjach polega ponadto na tym, że „Zachód zawsze traci w stosunkach gospodarczych z krajami bloku sowieckiego — system bowiem handlu państwowego jest mniej elastyczny”. Trzeba też zwracać uwagę — stwierdza Gawroński — na tendencję rządów Europy Wschodniej rozgrywania jednego kraju zachodniego przeciw drugiemu; rządy te są bowiem zdolne do wyciągania korzyści z rozbieżności w stanowisku państw zachodnich. „Nawet jeśli czujemy się wykorzystywani, pomagamy jednak tym, którzy nie z własnej winy odcieci są od Europy Zachodniej”. Sedno rzeczy polega na tym, by cenę za „aport” technologii zachodniej stanowiło w krajach bloku poszerzenie swobód obywatelskich i prawidłowe funkcjonowanie gospodarki.

Dominik MORAWSKI

Pisane 5 lutego 1987 r.

Wielki terror roku 1987

Jest pierwszy luty 1987 roku. Liczba zakładników amerykańskich i zachodnioeuropejskich porwanych w Libanie wzrasta z każdym dniem. 28 stycznia było ich około 20. Dokładnej liczby nikt nie zna. Rzecznik Departamentu Stanu oświadczył, że Amerykanie powinni opuścić Liban, ponieważ Stany Zjednoczone nie są w stanie ich chronić. Sens tego oświadczenia jest jednoznaczny. Jeśli na ulicach miasta grasuje bandycki gang, przedstawiciele prawa znajdują jedyne rozwiązanie: nie wychodzić na ulice. Nie ma zresztą w tym nic szczególnie nowego. Od dawna, na długo przed Reaganem, policja wielkich miast amerykańskich zalecała ofiarom napadów w metrze jedno wyjście: oddać pieniądze. Był to jedyny sposób zagwarantowania im bezpieczeństwa. Taki był i jest nadal amerykański ideał życia. Chronić je za wszelką cenę. Ten styl rzutował na politykę. Pasażerów publicznych środków komunikacji i samotnych przechodniów uczono, by ulegać rzeźmieszkom; w polityce międzynarodowej obowiązywały te same kryteria. Ustępować przed sowiecką agresją, ponieważ cena, którą trzeba było płacić za opór była zbyt wysoka. Stanowisko takie znajdowało uznanie u kolejnych prezydentów — Nixona, Forda i Cartera — i w obydwu Izbach Kongresu, w których poza jednym czterolecie w Senacie dominowali demokraci.

Myślę, że każde społeczeństwo terroryzowane długo i bezkarnie zaczyna się w pewnym momencie buntować. Gdy Reagan wybrany został po raz pierwszy prezydentem, było to wyrazem buntu przeciwko wielkiemu oszustwu *détente*, które usuwało wszelkie hamulce na drodze do opanowania świata przez Sowiety. Skuteczny zbrojny opór Afgańczyków pouczył Amerykanów, że podległe Sowietom narody mogą się nie tylko buntować, jak to bywało w przeszłości, ale nawet zadawać im ciosy i zmuszać do odwrotu. Wojna afgańska nie jest jeszcze zakończona, ale myślę że przywódcy sowieccy przeklinają dzień, w którym Breżniew zdecydował się na interwencję. Ameryka mogła sobie pozwolić na przegranie wojny wietnamskiej bo — jakiegokolwiek interpretacji będziemy szukać — była to klęska, która spowodowała długotrwały szok. Sowiety nie mogą sobie pozwolić na przegranie żadnej wojny. Tak jak pisał Michał Heller w grudniowym numerze *Kultury* z 1986 roku, „skazani są na totalne zwycięstwo”.

* *Kultura* nr 12/471. Michał Heller, „Plan Gry” Zbigniewa Brzezińskiego, str. 50.

Zimą 1941 roku Rosjanie powstrzymali pochód armii hitlerowskich na Moskwę. Mit o niezwyciężonej armii niemieckiej przysł. Dlatego sądzę, że porażki militarne, które ponoszą Sowiety z rąk źle uzbrojonych Afgańczyków mogą stać się podniecią dla imaginacji tych ludzi w krajach podległych i na Zachodzie, którym potęga sowiecka wydaje się niezniszczalna, przynajmniej za życia obecnych pokoleń. Gdzieś w niedalekiej przyszłości Sowiety przeżyją swój Stalingrad. Następstwa tego będą jednak inne niż w czasach podboju Europy przez III Rzeszę, ponieważ Breżniew i jego następcy, a zwłaszcza Gorbaczow, są ludźmi nieporównanie bardziej trzeźwymi od Hitlera. Strategia ekspansji przy pomocy zagłady nuklearnej załamała się z wielu powodów. Opór w coraz szerszych warstwach społeczeństwa (zwłaszcza wśród młodych pokoleń, które wyrosły już po latach sześćdziesiątych) przeciwko dominacji sowieckiej rośnie mimo tzw. ruchu pacyfistycznego. Tysiąckrotne powtarzanie tych samych kłamstw, które miało wydrenować mózgi ze zdolności samodzielnego myślenia i wymodelować ludzi na obraz i podobieństwo sowieckiego obywatela, zaczyna wreszcie po wielu latach dawać skutek przeciwny do zamierzonego. Młode pokolenia na Zachodzie oczekują większej intelektualnej finezji. W rezultacie stały się zbyt krytyczne, aby akceptować slogany z czyjejkolwiek strony. Drugim, chyba najważniejszym czynnikiem, który toruje drogę do globalnego odwrotu Sowietów, jest pozbawienie ich możliwości nuklearnego szantażu, dzięki nieustępliwości Stanów w kwestii Strategicznej Inicjatywy Obronnej (Wojny Gwiazdne). Twierdzę, że przewidywany przez Sowiety koniec nuklearnego szantażu, któremu położy kres SIO, spowodował gwałtowną eskalację indywidualnego terroru. Grupy terrorystów działające w Libanie są w moim przekonaniu instrumentem Sowietów. Prawdopodobnie w większości wypadków nieświadomym. Emisariusze sowieccy mają wielorakie powiązania ze światem Islamu i eksploatują jego patologiczną nienawiść do Zachodu, a w szczególności do Ameryki. Niełatwo jest dostarczyć dowodów materialnych dla uzasadnienia tych oskarżeń. Trzeba by znać mnóstwo faktów i powiązań, które są poza zasięgiem najoperatyniej pracujących służb wywiadowczych świata. Dlatego teza moja musi pozostać w sferze hipotez, tak długo póki nie zostanie potwierdzona przez nowe nieodparte fakty.

Ronald Reagan zawsze bezbłędnie odczytywał sowiecką obłudę i dwójmowę Kremla. Choć jego niewiarygodna naiwność i absolutny brak konsekwencji ujawnione przy wykryciu afery irańskiej wprowadziły jego wypróbowanych zwolenników w osłupienie, przy tradycyjnych regułach gry, tzn. w okresie szantażu nuklearnego, radził sobie z Sowietami nieźle. Ale gdy stare środki zastraszenia Zachodu zawiodły i Sowiety zastosowały na szeroką

skalę indywidualny terror, Reagan okazał się wobec nowej strategii Kremla bezbronny jak niemowlę. Dostawa broni dla Iranu, której celem, jak twierdzi Prezydent, miało być przywrócenie wpływów amerykańskich w Persji, a zwolnienie zakładników — tylko produktem ubocznym, pomyślana została tak absurdalnie, że już nikt od dawna w to nie wierzy. Jedynym celem Reagana była wymiana zakładników za broń. Tym postępkami Prezydent obnażył słabość Ameryki. Więcej — wskazał czym Zachód można najskuteczniej szantażować, skoro groźba nuklearnego holocaustu zawiodła.

Gdy Yasser Arafat wymachiwał 10 lat temu pistoletem w ONZ (nie dosłownie, choć przyszedł na zebranie uzbrojony) oferując delegatom wybór między gałązką oliwną albo wojną na Bliskim Wschodzie, bardzo to dogadzało Sowietom, choć niepodległość Palestyny była ostatnią sprawą, która ich obchodziła. Palestyńczycy byli sprzymierzeńcami Sowietów, a właściwie ich klientami wyłącznie dlatego, że podważali wpływy amerykańskie wśród konserwatywnych państw arabskich. Od wydarzeń, o których mowa, dzieli nas epoka. Rozmaite grupy terrorystyczne, które dobierają sobie efektowne nazwy, chwytają amerykańskich zakładników bez nadmiernego ryzyka i fadygi. Jeśli domagają się uwolnienia więzionego przez Niemcy Zachodnie Mahommeda Ali Hammediego, odpowiedzialnego za zabójstwo Amerykanina przy porwaniu samolotu TWA, to jest to tylko fasada ich akcji. Celem jest okazanie bezsilności wymiaru sprawiedliwości Niemiec Federalnych a przede wszystkim paraliżu Ameryki. W nowojorskiej TV pokazano po raz pierwszy we wrześniu 1986 roku i powtórzono 27 stycznia 1987 widowisko o wymyślnym porwaniu samolotu amerykańskiego. Terrorysty domagają się publicznego oświadczenia ze strony prezydenta Stanów, że Ameryka dopuściła się nikczemnych zbrodni na narodach Bliskiego Wschodu, że zobowiązują się dalszych zbrodni zaprzestać i przesłać olbrzymią pomoc żywnościową dla ludów tej strefy. Widowisko miało charakter czegoś w rodzaju politycznego *science fiction*. Uwzględniając obecną sytuację i całkowity rozkład międzynarodowej polityki amerykańskiej, nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby jakaś nowa grupa terrorystów domagała się od Stanów oficjalnego potępienia polityki pomocy dla *contras* w Nikaragui, wypłacenia im odszkodowania, ponieważ w przeciwnym razie rozstrzelają 100 schwytanych zakładników. Obydwie Izby Kongresu, które są przeciwne pomocy dla powstańców w Nikaragui, prawdopodobnie zareagowałyby w następujący sposób: „Jesteśmy przeciwni negocjacji z terrorystami. Ale ponieważ uważamy, że rząd Ortegi jest legalną władzą suwerennego państwa, więc dlaczego 100 Amerykanów ma płacić życiem za sprawę, która jest nam obca? Kapitulacja przybiera rozmaite formy, ale ten kto nie

chce walczyć o godność swego kraju zawsze znajdzie argumenty przemawiające do rozsądku — rozsądku ludzi przerażonych. Lewica liberalna w Stanach przeciwna jest wszelkim pryncypiom. Wobec tego jest zawsze krańcowo pragmatyczna i nawołująca do realistycznego spojrzenia na sprawy tego świata. Co znaczy realizm w kontekście wydarzeń roku 1987 — nie warto tłumaczyć. Wkraczamy w epokę „Wielkiego Terroru”. Służy on do terroryzowania tych mieszkańców świata, którzy są poza zasięgiem sowieckiej władzy. Zakładnicy amerykańscy i zachodnioeuropejscy stali się zupełnie nową walutą obiegową. Są środkiem wymiennym, przy pomocy którego można kupić nie tylko broń, jak to uczynił rząd w Iranie, ale — obawiam się — wymusić na Stanach najbardziej upokarzające deklaracje i koncesje. Myślę jednak, że świadomość własnej klęski, na które skazują się same społeczeństwa Zachodu, doprowadzi wreszcie do otrzeźwienia. Nadzieje pokładam w najmłodszych pokoleniach, nieobciążonych spuścizną lat 60-tych. Sondowanie opinii publicznej potwierdza mój optymizm.

Kto stoi za terrorystami libańskimi? 29 stycznia stacja telewizyjna ABC przeprowadziła wywiad z delegatem irańskim w ONZ. Streszczam jego wypowiedź: wobec zbrodni amerykańskich w Libanie chwytanie amerykańskich zakładników jest jedynym środkiem obrony przed amerykańską agresją. W ten sposób rząd ayatolli ustami swego delegata w ONZ udzielił już terrorystom libańskim jawnego błogosławieństwa — bo z niejawnego korzystali od dawna. Czy terroryści libańscy, którzy spełniają polecenia Iranu, są tylko jego instrumentem? Moskwa działa prawie zawsze *per proxy*. Czasami działa przez podwójne *proxy*, gdy tego wymaga złożona sytuacja, którą należy bardziej zakamuflować. Ostatnio wyjątek stanowi tylko Afganistan. Ku-bańczyków żadną miarą nie można było wysłać na pola bitewne Środkowej Azji.

Ponieważ, jak pisałem, nie ma i prawdopodobnie nigdy nie będzie dowodów, które by ukazały światu, że Wielki Terror inspirowany jest przez Moskwę, nie ma też celu zastanawiać się, czy Iran, który coraz wyraźniej identyfikuje się z terrorystami, działa samodzielnie czy we współpracy z Kremlm. W jednym i drugim wypadku winien zapłacić za dokonane zbrodnie. Na Zachodzie życie ludzkie cenione jest wysoko. W ostatnich dniach ofensywy irańskiej, w końcu stycznia, ginęły codziennie tysiące regularnych żołnierzy i członków Gwardii Rewolucyjnej. Amerykańska technologia wojny, którą należy wykorzystać w pełni przeciw Iranowi, *musi traktować życie żołnierzy irańskich nie wedle kryteriów zachodnich, ale wedle kryteriów ich własnych duchownych przywódców — szyickich mullahów*. Nie można ukarać zbrodni-

czego rządu oszczędzając jego armie. W czasie drugiej wojny światowej cierpiała również ludność cywilna Niemiec, Austrii a nawet Francji, ponieważ bomb nie można było rzucać wybiórczo. Nie chodzi tu o zemstę, bo w polityce zemsta jest najgłupszą metodą walki, potęgującą tylko opór. Jest to po prostu jedyny sposób, żeby irańscy żołnierze i ich rodziny spojrzeli prawdziwie w oczy. By zrozumieć, do czego prowadzi ich morderczy reżym ayatolli, pałający nienawiścią nie tylko do zachodniego świata, ale i do własnych islamskich sąsiadów. W ostatecznym efekcie Ameryka wykona misję humanitarną. Ratując siebie przed dalszym szantażem i upokorzeniem, położy kres bezsensownej i wykrwawiającej obydwie strony wojnie.

Na żądanie umiarkowanych państw arabskich, przerażonych możliwością zwycięstwa Iranu, Stany Zjednoczone wysłały w rejon Zatoki Perskiej kilka jednostek wojennych. Prawdopodobnie skończy się na bezcelowej demonstracji, która nie przestraszy ani Iranu, ani Syrii. Interwencja zbrojna wymagałaby uruchomienia wielkiej maszyny wojennej Stanów, współdziałania aliantów, a przede wszystkim pełnego poparcia Kongresu. Tymczasem politycy amerykańscy, z małymi wyjątkami, nie życzą sobie aby obecny bezprecedensowy kryzys przedstawić we właściwych rozmiarach. Pragną aby wszystko wróciło „do normy”, czyli do błęgiego samopoczucia, które usprawiedliwia beczynność. Demokratyczni członkowie Kongresu, z których większość szczerze nienawidzi Reagana za to, że w ubiegłych latach przywrócił Ameryce jej prestiż w świecie, modernizując jej arsenał, gotowi są obecnie go zaakceptować. Mają w tym swoje wyrachowanie. Skompromitowany, z mocno nadwątloną reputacją prezydent nazywa się w slangu amerykańskim „kulawą kaczką”. Reagan, obciążony aferą irańską, przy pomocy której zniszczył w krótkim czasie wszystko, co zrobił dla Ameryki i zachodniego świata, powinien odejść. Ale nie odejdzie, ponieważ obozowi kapitulantów łatwiej nim będzie teraz manipulować. Dla wzajemnych stosunków z aliantami będzie to miało też jak najgorsze skutki. Włochy, Francja i kraje Beneluxu zawsze obawiały się amerykańskiego „prezydenta kowboja” z pistoletem u biodra. Teraz, gdy pistolet, z którego kowboj Reagan miał tak lekkomyślnie strzelać, okazał się rekwizytem teatralnym — odetchną. Jest to satysfakcja tchórzów, którzy dostrzegli jeszcze większego tchórza od siebie. Ameryce potrzebne są przypuszczalnie jeszcze bolesniejsze ciosy, by oceniła własne położenie. Politycy waszyngtońscy chcą odsunąć ten moment. Następstwa będą tragiczne, bo im później nastąpi otrzeźwienie, tym wyższą cenę życia ludzkiego trzeba będzie zapłacić. Rzecz dobrze znana tym, którzy pamiętają lata poprzedzające wybuch drugiej wojny światowej. Tym, którzy nie należą

do starszego pokolenia i pamiętać nie mogą, wystarczy zajrzeć do pamiętników Winstona Churchilla. Historia powtarza się niezmiennie, aż do znudzenia.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 2 lutego 1987

List z Londynu /12/

W grudniu ubiegłego roku ukazał się w wielkim londyńskim piśmie *The Daily Telegraph* list Lorda Rothschilda:

„Drogi Redaktorze, Drodzy Czytelnicy,
Główny dyrektor MI5 powinien publicznie stwierdzić, że już bezspornie, powtarzam, bezspornie zostało udowodnione, że nie jestem i nie byłem sowieckim agentem...”

Jeszcze niewiele lat temu ukazanie się takiego listu było nie do pomyślenia, redaktor uznałby, że ktoś zwariował. Przecież napisał go członek głośnej rodziny bankierów, który w czasie wojny zajmował eksponowane stanowisko w wojskowym kontrwywiadzie (MI5), a w latach 70-tych był najbliższym współpracownikiem premiera, Edwarda Heatha, i cieszył się absolutnym zaufaniem. Ale czasy się zmieniły. Po rewelacjach lat '50-tych gdy okazało się, że czołowi przedstawiciele ekskluzywnej sfery, wysocy urzędnicy Foreign Office i wywiadu, pracowali dla Sowietów, wszystko obróciło się o 180 stopni. Nie tak dawno, za naszego życia, uważano że istnieje poczucie honoru, że dotrzymuje się słowa, że obowiązuje przysięga dochowania tajemnicy. Dziś do dobrego tonu należy wyszydzanie wszystkiego co czyste, uczciwe, nawet święte. Oczywiście państwowi urzędnicy mogą sprzedawać sekrety swej pracy, oczywiście oficerowie wywiadu mogą łamać przysięgę, oczywiście dziennikarzowi wolno pisać co mu się podoba, choćby było to jednoznaczne z szarganiem czyjegoś dobrego imienia, bo przecież na to właśnie czekają czytelnicy.

Ten sposób myślenia ujawnił się z całą jaskrawością w czasie procesu przed sądem australijskim między brytyjskim rządem i b. oficerem wojskowego kontrwywiadu, Peterem Wrightem. Jak wszyscy jego koledzy, złożył on zobowiązanie, że dochowa tajemnicy służbowej, ale gdy poszedł na emeryturę, napisał wspomnienia i postanowił je wydać. Wiedział, że w Wielkiej Brytanii będzie o to trudno, bo działa tutaj rządowa komisja, która musi dać pozwolenie na wydanie takiej książki, więc osiedlił się w Australii. (Zetknąłem się z tą komisją, gdy na zamówienie angielskiego wydawcy pisałem książkę o Enigmie, i gdy czekał on na „zielone światło”).

Książka była już gotowa i znalazła się w rękach wydawcy. gdy pani Thatcher zgłosiła sprzeciw. Sprawa znalazła się w sądzie, bo Wright wcale nie zamierzał zrezygnować z setek tysięcy funtów, jakie na pewno przyniosłyby mu sensacyjne rewelacje. Główną z nich było twierdzenie, że szef MI5 w latach 1957-1966, Sir Roger Hollis, który zmarł w roku 1973, był na sowieckim żołdzie. Wright nie miał na to dowodów, ale mógł tak bez obawy napisać, bo skarżyć o oszczerstwo może tylko człowiek żyjący. Moralnie sprawa Wrighta wyglądała źle, więc podbudował ją twierdzeniem, że od lat ostrzegał przed sowiecką penetracją i że należał do grupy „Młodoturków” w brytyjskim wywiadzie, którzy walczyli o oczyszczenie powstałego tam bagna. Nie słuchano go, więc postanowił opublikować swe wspomnienia.

Sprawa sądowa wymagała uczeplenia się jakiegoś rzeczowego argumentu, dlaczego Wright miałby mieć prawo do złamania służbowego zobowiązania i ogłoszenia swych rewelacji, więc jego adwokat wysunął argument, że przecież były już precedensy. W roku 1981 dziennikarz, Chapman Pincher, wydał książkę *Their Trade is Treachery* (Ich zawodem jest zdrada), której tematem były stosunki w brytyjskiej służbie bezpieczeństwa, i wtedy rząd nie interweniował. Precedens ten był tym bardziej wymowny, że informatorem Pinchera był właśnie Wright, któremu zapłacono £ 30.000.

Wielka Brytania jest już ogarnięta gorączką przewidywanych, powszechnych wyborów, więc cała sprawa zaczęła się posuwać po dwóch torach. W Australii sekretarz brytyjskiego gabinetu ministrów, Sir Robert Armstrong, bronił stanowiska rządu, dla którego czym innym jest książka wolnego dziennikarza, a czym innym wspomnienia zaufanego człowieka, należącego do najbardziej ekskluzywnego skrzydła państwowego *establishment*'u, a adwokat Wrighta, niestety przy pomocy sędziego, starał się Armstronga ośmieszyć. Jego wystąpienia były tak aroganckie, że adwokat rządu skwitował je uwagą: „Bezpodstawne oskarżenia były pełne chwytyw na poziomie szkolnych połajanak, emocjonalnych zarzutów i splątanych metafor, których wstydziłby się nawet trzeciorzędny dziennikarz”.

Na drugim torze, w Izbie Gmin, opozycja podjęła atak na rząd, głównie na panią Thatcher, zarzucając jej podwójną moralność i próbę powstrzymania publikacji książki, bo kompromituje ona cały państwowy system, podporządkowany dyktatorskiemu premierowi. Atak okazał się obosieczny, bo wyszło na jaw, że przywódca opozycji, Neil Kinnock, był w telefonicznym kontakcie z adwokatem Wrighta w Australii, co słusznie uznano za stawianie interesów partii ponad najważniejszymi dla państwa sprawami bezpieczeństwa. Dotychczas obowiązywała umowna zasada, że w tych sprawach nie ma walki partyjnej, że stoją one ponad wszystkim.

Jednocześnie czwarty kanał niezależnej telewizji wykorzystał fakt, że proces odbywa się w innym kraju i zaprezentował jego „artystyczną” wersję. Oczywiście gloryfikowała ona aroganckiego adwokata i stronniczego sędziego.

Gdy o tym piszę, wyrok jeszcze nie zapadł, ale trudno przypuszczać, by mógł być korzystny dla brytyjskiego rządu. To nie byłoby modne. Cokolwiek się stanie, nastąpi odwołanie do wyższej instancji.

Przy okazji tej sprawy poruszono szereg problemów, które dotychczas pozostawały w cieniu bieżących trudności. Dotyczyły one głównie państwowego *establishment'u*, czyli warstwy urzędniczej, *Civil Service*, liczącej setki tysięcy ludzi i trwającej nieprzerwanie mimo wyborów i zmieniających się rządów. Dobrze rządzone państwo nie może istnieć bez takiej warstwy, stanowi ona żelbetonową konstrukcję całego systemu, jednocześnie jednak może stać się tak silna, że potrafi zagrozić demokracji. W dyskusji ujawniono, że w latach '60-tych, za premierostwa socjalisty, Harolda Wilsona, kontrwywiad (MI5), należący oczywiście do *establishment'u*, podsłuchiwał jego telefony i zbierał materiały, które miały go skompromitować. Nie ma na to dowodów, ale prawie na pewno jego nagła rezygnacja w marcu 1976 roku, za ponownego premierostwa, była związana z jakimiś rewelacjami zebranymi przez kontrwywiad, które zostałyby ujawnione, gdyby szybko nie ustąpił.

Ten wypadek był tym bardziej charakterystyczny, że w Wielkiej Brytanii, w przeciwieństwie do innych parlamentarnych demokracji — głównie Stanów Zjednoczonych — kontrwywiad (MI5) i wywiad (MI6), nie podlegają parlamentowi, tylko wprost premierowi. Jemu przedstawiają najtajniejsze raporty, a on kurtoazyjnie informuje przywódcę opozycji o sprawach bezpieczeństwa. W pewnych okolicznościach ma prawo tego odmówić.

Przy tej okazji warto przypomnieć, kiedy zrodził się nowoczesny wywiad wojskowy. Istniał on, oczywiście, tysiące lat temu (Cezar nawet szyfrował), ale polegał głównie na zeznaniach przypalanych jeńców. Prawdziwy wywiad wojskowy został stworzony dopiero przez Napoleona w roku 1802, jako biuro Ministerstwa Wojny. Brytyjczycy skopowali go w rok później i zastosowali w czasie wojny w Hiszpanii, w roku 1808. Obecna organizacja brytyjskiego wywiadu, o którym tyle się mówiło przed wojną, to dopiero początek tego wieku. Kontrwywiad (MI5) powstał w roku 1909, a wywiad (MI6) w roku 1912. Wydaje się to dziwne, ale przecież nowoczesny sposób wojowania to dopiero pierwsza wojna światowa. Za Napoleona żołnierze byli ubrani jak aktorzy operowi, a pierwszy normalny, wojskowy szpital został stworzony przez Florence Nightingale w czasie wojny krymskiej, w roku 1854. Dopiero w roku 1965 wywiady trzech brytyjskich rodzajów broni zostały połączone pod kierownictwem jednego dyrektora w Ministerstwie Obrony.

Kilkanaście lat temu ówczesny konserwatywny premier, Edward Heath, broniąc poglądów swej partii, powiedział jednak, że kapitalizm posiada także nieprzyjemną twarz, której nie można zaakceptować. Twarz ta ukazała się w całej swej brzydocie

w związku z aferą olbrzymiej irlandzkiej firmy Guinness, znanej przede wszystkim z produkcji piwa. Na całym świecie wypija się w ciągu 24 godzin siedem i pół miliona kufli Guinnessa.

Firma ta rywalizowała z inną, równie wielką, Argyll Group, w próbie wykupu szkockich producentów whisky, Distillers. Przetarg dotyczył wielkiej sumy prawie trzech miliardów funtów, a decyzja znajdowała się w rękach akcjonariuszy szkockiej firmy. Oni mieli zdecydować, kto w przyszłości będzie gwarantował ich inwestycje i wypłacał procenty.

W takich operacjach najbardziej przekonującym, właściwie jedynym argumentem jest wartość akcji firmy, która stara się o wykup. Guinness chciał zwyciężyć i dlatego, przez swe handlowe kontakty, głównie przez szwajcarski Bank Leu w Zurychu, począł w wielkim sekrecie wykupywać własne akcje, by podbić ich cenę.

Operacja się udała, akcje podskoczyły z 281 na 353 pensy, przyszło zwycięstwo, ale sekret nie został utrzymany i wybuchł skandal, jakiego wielka finansjera nie przeżywała od wielu lat. Transakcje giełdowe są regulowane bardzo precyzyjnym prawem, podbijanie cen własnych akcji jest poważnym przestępstwem, uznawanym ponadto za głęboko niemoralne. W operacjach giełdowych, zwłaszcza przy niedyskrecjach, można w ciągu kilkunastu godzin, nawet bez gotówki, stać się milionerem. Można, oczywiście, także wszystko stracić.

Rozmiary skandalu zostały natychmiast jeszcze bardziej rozдуте przez polityków. Tak jak dla *Labour Party* najpotężniejszą jej fortecą są związki zawodowe, tak warownią konserwatystów jest londyńska *City*. Tam od wielu lat mają swe centrale olbrzymie towarzystwa ubezpieczeń, tam mieści się Bank of England i tam oczywiście działa symbol kapitalizmu, giełda. W Izbie Gmin socjaliści podjęli ostry atak na rząd, zarzucając mu brak kontroli i tolerowanie finansowych rekinów, oczywiście członków rządzącej partii. Liberałowie i socjaldemokraci nie pozostali daleko.

Rząd potraktował sprawę bardzo poważnie, inspektorzy z Departamentu Przemysłu i Handlu rozpoczęli dochodzenie, wielu maklerów musiało ujawnić swoje transakcje. Mocno zareagowała także giełda nowojorska, gdzie akurat w tym samym czasie tamtejszy „rekin”, Ivan Boesky, musiał zapłacić 100 milionów dolarów grzywny za podobne operacje, zwane „wewnętrznyimi”. Są one karane nie tylko grzywną, ale także więzieniem do lat siedmiu i jeden z ministrów, widząc w tej aferze wielkie zagrożenie dla swej popularności wśród wyborców, powiedział: „im prędzej złoży się komuś kajdanki, tym lepiej”.

Oczywiście Guinness także natychmiast podjął kroki. Kilka ważnych osobistości szybko zrezygnowało z wysokich stanowisk, a główny dyrektor, Ernest Saunders, został usunięty bez żadnej rekompensaty. Należał do minimalnej grupki najlepiej zarabiających ludzi, płacono mu £ 375.000 rocznie (główny dyrektor BBC otrzymuje £ 75.000). Nad firmą wisi groźba sprawy sądowej o odszkodowanie pół miliarda funtów ze strony Argyll Group.

Skandal uderzył także w wielki rodzinny klan Guinnessów, który liczy obecnie 700 osób. Jego wielka kariera zaczęła się w roku 1759, gdy Arthur Guinness, z kapitałem £100, zakupił w Irlandii malutką browarnię. W kilka lat później jego brat Samuel, z takim samym kapitałem założył firmę złotniczą i dał początek drugiej gałęzi rodzinnego bogactwa: handlowemu bankowi. Obydwie linie mają obecnie zasięg światowy, a w Irlandii rodzina Guinnessów cieszy się popularnością prawie królewską. Jest niezwykle szczodra, doskonale traktuje swych robotników, wydaje tysiące funtów na cele charytatywne. Jej osiągnięcia dostrzeżono także w Wielkiej Brytanii, wnuk Arthura Guinnessa otrzymał tytuł baroneta, a jego syn, w roku 1889, tytuł lorda.

W ciągu dwóch stuleci rodzina przeżyła wiele dramatów, ale ten ostatni skandal jest dla jej prestiżu najboleśniejszy.



Najbardziej lewe skrzydło *Labour Party*, opanowane przez komunistów, nie ustaje w wysiłkach zmierzających do zniszczenia tutejszego stylu życia i zasad, na których opiera się normalny rozwój społeczeństwa. Uczenie sowieckich haseł w szkołach średnich a nawet podstawowych (pisałem o tym w 456 numerze *Kultury*) już im nie wystarcza, wpadli więc na nowy pomysł. Opanowane przez nich oświatowe władze Londynu poczęły w wielu szkołach likwidować zawody sportowe, które według nich są szkodliwe. Od wieków, w ramach wszystkich kultur i cywilizacji, młode pokolenie przygotowuje się do życia przez współzawodnictwo, przez rywalizację, przez hart fizyczny i psychiczny. Zwolennicy zmian widzą to inaczej. Nie może być wygrywających, bo wtedy będą i pokonani, a to przeczy powszechnej równości. Nie może być pierwszej szkolnej piłkarskiej jedenastki, bo to prowadzi do elitaryzmu. Piłki do gry mają być miękkie, chłopcy mają grać razem z dziewczętami, bo to gwarantuje zwolnienie tempa, osłabienie agresywności i wyklucza prawdziwą, sportową walkę. Zamiast zawodów będą wspólne, rytmiczne tańce, spacer i pogadanki o nowym, wspólnym świecie, w którym nie będzie rywalizacji, bo wszyscy będą równi.

Ministerstwo Oświaty wypowiedziało walkę tym bredniom, ale będzie ona długa i trudna.

Józef GARLIŃSKI

O religii bez namaszczenia

Korespondencja z Rzymu

WIZYTA GENERAŁA

Do wizyty tej doszło dzięki zbieżności stanowiska włoskiego rządu i kół gospodarczych oraz dyplomacji watykańskiej, zainteresowanych w wykorzystaniu otwierającej się nowej fazy w stosunkach Wschód-Zachód w związku z polityką Gorbaczowa (uważa się tu, że nie należy jej przeceniać, ale jeszcze gorzej — nie doceniać). W Watykanie od dawna wyrażano „gotowość” do przyjęcia generała Jaruzelskiego — czekano jedynie, aż dojrzeją warunki dla decyzji rządu włoskiego, do czego doszło po wrześniowej amnestii.

Wizyta ta stanowiła pewien szok, a w każdym razie zaskoczenie dla licznych Polaków. Papież patrzy jednak na sprawy polskie bardzo trzeźwo i nie w oderwaniu od kontekstu międzynarodowego a przez pryzmat swojej misji uniwersalnej. Stolica Apostolska uznała, że należy podtrzymać ewolucję sytuacji w Polsce, by przypadkiem jej załamanie nie zachwiało kruchą jeszcze równowagą strategiczną i polityczną w stosunkach z Moskwą (wobec niepewności nowego kursu Gorbaczowa). Jaruzelski otrzymał zatem kredyt zaufania na wyrost, coś w rodzaju czeku wystawionego z odroczoną płatnością, bo dopiero na tle weryfikacji faktów okaże się, czy ma on pokrycie.

Jest rzeczą znaną, że w spotkaniu z Papieżem dominowała problematyka społeczna, czyli sprawa przywrócenia pluralizmu społecznego w formach organizacyjnych. Dopiero na drugim miejscu przedmiotem rozmowy „w cztery oczy” — wyjątkowo długiej, bo trwającej aż 70 minut — była kwestia instytucjonalnych stosunków Kościół-Państwo. W rozmowie zaś generała z Sekretarzem Stanu, kardynałem Casarolim, poruszona została prawdopodobnie sprawa pełnej normalizacji stosunków dyplomatycznych, do czego chyba dojdzie w ciągu bieżącego roku.

Obserwatorzy watykańscy zwrócili uwagę na uroczyste ramy tej wizyty, jakie sam Papież pragnął jej nadać, oraz na niewymu-

szoną atmosferę. Jan Paweł II nazwał tę wizytę „niewątpliwie historyczną”. Dlaczego historyczną? Jak sam Papież stwierdził, powinna „wydać upragnione owoce” nie tylko dla Polski, ale także dla Europy. Jeśli idzie o dialog pomiędzy władzą i społeczeństwem (należy zakładać, że Jaruzelski w rozmowie z Papieżem podjął określone zobowiązania) musi on uwzględniać zarówno limity geopolityczne, jak i implikacje międzynarodowe, które jednak nie są statyczne. Rozwój tego dialogu — z punktu widzenia Stolicy Apostolskiej, zainteresowanej w dynamicznej roli Kościoła w Polsce — jest uzależniony od konsolidacji „otwartej polityki” Gorbaczowa, której powodzenie warunkuje z kolei perspektywę watykańskiego „otwarcia na Wschód”, m.in. skonkretyzowania się możliwości wizyty Papieża na Litwie. Wizytę Jaruzelskiego w Watykanie, łącznie z czerwcową, trzecią podróżą Papieża do Polski, należy widzieć jako część integralnego planu i dalekosiężnych celów *Ostpolitik*. Polska w tej optyce nie może stanowić wciąż *un caso a se*, czyli przypadku unikalnego, nadzwyczajnego. Chodzi też o to, by Papież mógł udać się również do innych krajów bloku (np. na Węgry czy do NRD), do czego dyplomacja watykańska nieustrudzenie zmierza.

W tym kontekście rola Kościoła w Polsce pozostaje jednak nadal doniosła dla rozwoju stosunków pomiędzy Stolicą Apostolską i Moskwą. Świadczy o tym znamienne zainteresowanie Moskwy dla Kościoła polskiego jako elementu stabilizacyjnego. Dowodem jest nie tylko wywiad ks. Prymasa dla *Literaturnoj Gazyety*, ale i nagła rewizja stanowiska patriarchatu rosyjskiego (oczywiście nie bez sygnału z góry). Ks. Prymas nie tylko wydelegował przedstawicieli Kościoła na międzynarodową konferencję pokojową do Moskwy, ale otrzymał również zaproszenie do odwiedzenia dawnych, polskich ziem wschodnich, a więc zachodniej Białorusi i Wileńszczyzny, gdzie zamieszkuje około 1,5 miliona polskich katolików. A przecież jeszcze trzy miesiące temu metropolita Filaret z Mińska, szef departamentu zagranicznego patriarchatu, przypisywał impas w dialogu ekumenicznym i główną przeszkodę w zaproszeniu Papieża do ZSSR na obchody Tysiąclecia chrześcijaństwa w 1988 roku rodowodowi Papieża i „polskim resentymentom antyrosyjskim”. Tę niespodziewaną metamorfozę przypisać należy zarówno zamierzeniom sowieckim „rozmiękczenia” stanowiska zachodniej Europy — wykorzystując schyłek administracji Reagana — jak i przygotowywaniu terenu do zaplanowanej na wiosnę wizyty Gorbaczowa w Rzymie a przede wszystkim — w Watykanie.

Dominik MORAWSKI

Zamieszczamy korespondencję Dominika Morawskiego jedynie jako obiektywną informację. Z oceną musimy powstrzymać się do chwili, kiedy będziemy dysponowali dokładniejszymi materiałami. I kiedy będziemy znali dalszy rozwój wypadków. Tu możemy jedynie stwierdzić, że po raz pierwszy zarysował się tak zasadniczy rozdział pomiędzy Watykanem a interesami narodowymi Polski, rozdział który może przybrać groźne rozmiary.

Dominik Morawski w swoich „Korespondencjach z Rzymu” porusza wyłącznie tematy dotyczące spraw kościelnych. Na tym odcinku jest doskonale poinformowany. Tematy te są uzgadniane z Redakcją, gdyż nie zawsze jego oceny, dotyczące politycznej działalności Kościoła, pokrywają się z poglądami *Kultury*. Dominik Morawski, niezależnie od pisanego do *Kultury*, prowadzi bardzo ożywioną działalność publicystyczną zarówno w prasie polskiej i włoskiej jak i *mass-mediach*. W tej jego działalności nasze poglądy bardzo często zasadniczo się różnią.

Ostatnio np. na łamach mediolańskiego dziennika *Giornale* miała miejsce polemika Dominika Morawskiego z Giacomina Cassina, kierowniczką sekcji europejskiej międzynarodowego wydawnictwa CISL (Chrześcijańskie Związki Zawodowe), która dobrze zna Polskę, bywa tam często i ma polskich przyjaciół. Kilka miesięcy temu, w czasie pobytu w Polsce, Giacomina Cassina zetknęła się z głównymi przedstawicielami „Solidarności” i ruchu opozycyjnego. Obecnie polemizuje z serią najświeższych wystąpień, oświadczeń i artykułów Dominika Morawskiego, w których stwierdza on, że „Solidarność” jest rozdziałem zamkniętym, a ci, którzy solidaryzują się z Wałęsą i jego towarzyszami albo się łudzą, albo są dezinformowani. Morawski uważa, że należy dążyć do pojednawczego uścisku Kościoła z władzą.

Odpowiadając Giacomini Cassina Dominik Morawski podtrzymuje swoje tezy, stanowisko włoskich syndykalistów określa jako „sentymalizm” i przestrzega przed „postawami maksymalistycznymi i instrumentalnymi (?)”, które na pozór służą „sprawie wolnego syndykalizmu polskiego, a w rzeczywistości są dla tej sprawy „szkodliwe”. Morawski powołuje się przy tym na opinie katolickich doradców Wałęsy, przedstawicieli Episkopatu a nawet na ex-przywódców „Solidarności” (nie precyzując bliżej tych opinii).

Uważamy za konieczne podkreślenie, że powyższe stanowisko Dominika Morawskiego jest całkowicie sprzeczne z linią *Kultury* i że jego tezy uważamy za szkodliwe.

REDAKCJA

HOMILIA WYGŁOSZONA PRZEZ PRYMASA JÓZEFA KARDYNAŁA GLEMPA

6 STYCZNIA 1987 ROKU

(FRAGMENTY)

(...) Jakże często dzisiaj ludzie kierują pytania do przedstawicieli Kościoła: jak przedstawia się sytuacja, czy będzie lepiej, jakie mamy perspektywy, czy będziemy mogli być sobą? (...)

Pytania stają się bardziej uzasadnione wobec zbliżającej się daty przyjazdu Ojca Świętego do naszej i Jego Ojczyzny. Przyjazd Ojca Świętego do jakiegokolwiek kraju jest wydarzeniem, którym interesuje się nie tylko cały Kościół, ale obserwuje go uważnie cały świat. (...) Słusznie się mówi, że potrzebne jest wspólne tworzenie atmosfery narodowej i takiego klimatu społecznego, który (...) wpływałby na porozumienie poważniejszych

grup dla wspólnego dobra Ojczyzny. Jest to założenie słuszne i godne wszelkiego poparcia.

Owo „tworzenie atmosfery” jest jednak pojmowane nieco inaczej przez władze państwowe, a nieco odmiennie przez Kościół — co jest rzeczą zrozumiałą. Między Kościołem a państwem jest rozdział. (...)

Stąd też pytania wiernych, jakie teraz panują stosunki między państwem i Kościołem, stają się uzasadnione i natarczywe. Nie jest łatwo i jednoznacznie je scharakteryzować, a to dlatego, że są one w ciągłym rozwoju.

Jeśli by te stosunki mierzyć niektórymi pismami Urzędu do Spraw Wyznań, kierowanymi do władzy duchownej, w których ujawnia się silne podłoże przebrzmiałego józefinizmu i aktualniejszego woluntaryzmu — to te stosunki są złe.

Jeżeli się czyta półprawdziwe artykuły o dochodach księży proboszczów, a przemilcza się, że ten proboszcz — jako rządca parafii — opłaca również księży wikariuszy, katechetów, organistów, kościelnego, grabarza, pomoc domową, ubezpieczenie budynków, ich konserwację itd. i że od pensji pracowników kościelnych musi od przyszłego roku płacić ubezpieczenia nie 33 %, ale aż 43 % — to taki artykuł jest prowokacyjny i nie tworzy pożądanej atmosfery.

Jeśli tworzy się stowarzyszenia księży pod opieką władz państwowych bez porozumienia z władzą kościelną i uzależnia się tych księży rozmaitymi pochlebstwami, wracając do bardzo złych doświadczeń minionego okresu — to także nie służy to budowaniu sprzyjającej atmosfery wśród wierzącego społeczeństwa.

Jeżeli grupy młodych ludzi poddaje się izolacyjnemu wychowaniu uważając, że Kościół nie ma prawa interesować się ich postawą wiary, a nadto wpaja się w tym zamkniętym wychowaniu mityczną ideę Kościoła jako instytucji chytej, żadnej wpływów — to nie tylko oddala się klimat sprzyjający porozumieniu, ale wręcz kształtuje zasady, które to porozumienie czynią wątpliwym (...)

Można by tak jeszcze wyliczać dziedziny życia społeczno-religijnego, w których ujawniają się zadrażnienia wynikające z przeciwieństwa postaw materialistycznych i wiary w Boga. Długo trwały napór, aby działanie Kościoła podporządkować idei propagowanej przez władzę, napotyka — rzecz jasna — na sprzeciw i na postawę obronną Kościoła. Wiemy, że ten opór przyjmuje czasem przejawy polityczne, zwłaszcza przy zaangażowaniu się działaczy świeckich. Jesteśmy zdecydowanie przeciwni uprawianiu w kościołach polityki w sensie ścisłym, bez względu jakiej byłaby orientacji. Jeśli o tym wspominam, to dlatego, że w tym kierunku idą pretensje władz pod adresem Kościoła. Chcę jednak stwierdzić, że całość duchowieństwa jest szczerze oddana duszpasterstwu, głoszeniu społecznej nauki Kościoła, a zwłaszcza rzetelnemu przygotowaniu wiernych do Kongresu Eucharystycznego. (...)

Wymieniłem kilka przykładów, które nie wpływają dodatnio na kształtowanie się atmosfery godnego przyjęcia Ojca Świętego

w Polsce. Nie znaczy to wcale, aby one wyczerpywały bogatą i ciekawą rzeczywistość przemian, w jakiej żyjemy. Są to raczej odruchy skostniałej, dawnej biurokracji. Życie tymczasem idzie naprzód i jak wartki strumień musi znaleźć sobie odpowiednie drogi biegu. (...)

Nie brak i u nas ludzi rzetelnie myślących i odpowiedzialnie spoglądających w przyszłość. Właśnie ci ludzie, zamiast recytować gotowe wskazania, z wielkim bólem usiłują odkryć prawdę w rozwijających się dziejach. Są ludzie, którzy widzą, że rozwiązywać trudne sprawy można tylko w uczciwym dialogu, a nie w nakazie. Dialog zaś to spojrzenie na trudne sprawy nie od strony uprzedzeń i mitów, ale od strony faktycznych przyczyn i całej złożoności.

Trudno chyba znaleźć Polaka, który by nie wiedział, że nasza Ojczyzna przechodzi trudny okres. Jeżeli jest trudny — to potrzeba zespołowej mądrości. Życzymy, aby tę mądrość mieli politycy i ekonomiści. Kościół natomiast, bogaty w wielowiekowe doświadczenia, pragnie służyć tą mądrością, którą czerpie z wiary w Jezusa Chrystusa, objawiającego ustawicznie światu „Dobrą Nowinę”. Kościół także wie, że może być nie lubiany, niechciany, że jest „znakiem sprzeciwu”, ale z tego wcale nie wynika, że musi starać się podobać światu i za wszelką cenę być układnym wobec możliwych tego świata.

Pragniemy szczerze wspomagać naszą Ojczyznę-Polskę. Zdajemy sobie sprawę, że pomoc materialna, w przekazywaniu której pośredniczy Kościół, jest mała. Setki tysięcy ton żywności, które przysły za pośrednictwem Kościoła w ciągu lat wielkiego kryzysu, to mały wkład. Także i leki lub sporadycznie ofiarowana jakaś aparatura szpitalna, jakie za pośrednictwem Komisji Charytatywnej Episkopatu docierają od ludzi pełnych miłosierdzia, to bardzo drobny a przecież doceniany wkład Kościoła.

Idzie nam jednak o coś więcej. O to mianowicie, byśmy byli prawdziwymi chrześcijaninami. (...)

† Józef Kardynał GLEMP
Prymas Polski

ŻYCZENIA PRYMASA POLSKI

NA BOŻE NARODZENIE I NOWY ROK PAŃSKI 1987
DLA WIERNYCH OBRZĄDKU GRECKOKATOLICKIEGO

Warszawa, Boże Narodzenie 1986 roku

(...) To już od dziesięciu wieków Wasz Kościół i cały naród w tym czasie wspomina wielką tajemnicę i jednocześnie historyczny fakt przyjścia na ziemię Jezusa Chrystusa, „A Słowo stało się Ciałem i zamieszkało wśród

nas” — mówi św. Jan (J 1,14), „Boh przewidzinyj narodywsia” — śpiewacie w kołędzie.

(...) W tym ogólnoludzkim pragnieniu pokoju znaczące miejsce zajmuje pragnienie Waszego Kościoła, który dzisiaj stoi na ostatnim już stopniu do swojego Millenium. On bowiem poprzez dziesięć wieków swego istnienia niejednemu raz znajdował się w ciężkich warunkach życia i był zagrożony u podstaw swojego bytu. Na kartach jego tysiącletniej historii wypisane są wszystkie tragedie aż po dzień dzisiejszy, wszystkie ciężkie doświadczenia i męczeńskie wyznania wiary biskupów, kapłanów, osób zakonnych i wielu tysięcy wiernych córek i synów narodu. Z tym żywym świadectwem chrześcijaństwa i wielowiekową tradycją, wyrosłą na Chrystusowej prawdzie, wstąpiliście dzisiaj w ostatni etap przygotowania się do uczczenia, doniośle i uroczystie, pamiętnej daty Chrztu Rusi-Ukrainy — 988 rok.

Ponadto rozpoczęliśmy 40-ty rok swojego przebywania na ziemiach nowych i w jakże innych warunkach. Pozostawione przed czterdziestu laty drewniane cerkwie i domy są jeszcze dzisiaj dla wielu żywym wspomnieniem, a dla innych bogatym obrazem namalowanym przez opowiadanie ojca lub matki.

(...) U stóp małego Betlejem mamy sobie głębiej uświadomić, iż od jedności w nas samych, w rodzinie, w parafii i całym narodzie zależy prawdziwa odnowa, do której każdy i każda jest obecnie zobowiązany. Kościół Wasz, w tym wyjątkowym dla siebie okresie, oczekuje na autentycznych chrześcijan, którzy idąc śladami swoich przodków będą świadczyć o Chrystusie. (...)

(...) Przeżywane obecnie święta mają również przynieść odnowę w waszych wspólnotach parafialnych. Są to wspólnoty o charakterze personalnym. Nie łatwo z każdym z osobna często się spotkać, ponieważ dzielą duże odległości jednych od drugich. Mając na uwadze wszystkie trudności, tym bardziej jesteście zobowiązani tworzyć wspólnotę. Dokonuje się to w szczególny sposób podczas składania ofiary Mszy świętej. Tutaj w świątyni, razem z kapłanem tworzycie prawdziwą jedność. (...) W dzisiejszym dniu w Waszych wspólnotach wszelkie nieporozumienia, waśnie, niezgody, mają ustąpić miejsca Chrystusowemu pokojowi. Niech wczorajszy nastrój — „świat-wieczora”, który napełnił serca świadomością nadzwyczajnej wspólnoty — przeniknie dogłębnie wszystkich i pozostanie wśród Was na zawsze.

To są moje życzenia dla Was, Umiłowani Córki i Synowie obrządku grekokatolickiego, na święta obecne oraz na nadchodzący Nowy Rok. Adresując je do Was nie mogę pominąć tych, którzy mają Wam pomóc w reorganizacji i odnowie waszego religijnego życia. Myślę o kapłanach, zakonnikach, siostrach zakonnych oraz alumnach, którzy przygotowując się do kapłaństwa są wielką nadzieją przyszłości.

Na Was, którzy posłaliście śladami Chrystusowego kapłaństwa oraz Chrystusowego życia według rad ewangelicznych, spoczywa ogromna odpowiedzialność przed Bogiem, który Was powołał, za urzeczywistnienie ideału powołania w Kościele. (...)

† Józef Kardynał GLEMP
Prymas Polski

Kraj

Służba zdrowia - kto winien?

Widok korytarza w przeciętnym polskim szpitalu wprawia w stan osłupienia i zgrozy nie tylko każdego przybysza z zachodu, lecz także tubylca — takiego, który do chwili tej wizyty nie chorował, nie musiał leżeć w szpitalu i nikogo w nim nie odwiedzał. Rozpacz natomiast ogarnia tych, którzy muszą korzystać z tzw. „usług” służby zdrowia. Tych, którzy — czasem bardzo źle się czując, czasem ze znacznie ograniczoną sprawnością — kołaczą do różnych drzwi, przesyłani są z miejsca na miejsce, często odległe od siebie o kilka czy kilkanaście kilometrów, czekają godzinami na wyniki badań lub konsultacji, aby wreszcie trafić na składane łóżeczko w zatłoczonym korytarzu i — choć już bezpiecznie — zacząć nową udrękę parania się z basenami, niemożnością umycia się itd. Wściekłość ogarnia tych, co stojąc w długim ogonku w aptece słyszą ciągle „nie ma, brakuje, w ogóle nie dostajemy” i odchodzą z niezrealizowanymi receptami w garści.

Szkoda mówić o uczuciach, jakie w tej sytuacji miotają lekarzami. Nie o uczuciach zresztą mamy w tej chwili mówić. Nie jest też moją intencją ani przedstawianie obrazków mrozących krew w żyłach ludzi spoza środowiska medycznego, ani biadołanie, ani zanudzanie czytelnika szeregami liczb ilustrujących sytuację opieki zdrowotnej w PRL, choć zapewne bez kilku takich liczb się nie obejdzie. W ostatnich latach zresztą ukazało się w prasie oficjalnej wiele alarmujących artykułów na temat stanu naszych szpitali i zaopatrzenia w leki z wieloma danymi do niedawna jeszcze raczej ukrywanymi. Streszczono w niektórych gazetach kolejne burzliwe posiedzenia sejmowych komisji zdrowia, na których padło dużo gorzkich słów prawdy. Z artykułów tych jak i z posiedzeń dokładnie nic nie wyniknęło w praktyce. Nie

sięgnięto też nigdy do przyczyn leżących u podstaw tych zjawisk. Zdaje się nawet, że temat szpitali i trudności w służbie zdrowia stał się jakby tematem dyżurnym prasy, jako ujście dla goryczy i niezadowolenia. Nie ma to oczywiście na ogół nic wspólnego z intencjami dziennikarzy poważnie piszących na te tematy. Dla tzw. decydentów jest sposobem na pokazanie, że „mówimy prawdę o sprawach bolesnych”. Pozwala się ponarzekać, a jak już zbierze się za wiele tej krytyki, wtedy w dzienniku TV zawsze można pokazać zbudowany świeżo Ośrodek Zdrowia, albo dać kolejny reportaż z budowy Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki.

Wydać się zatem słuszne zanalizowanie kilku problemów dotyczących opieki nad naszym zdrowiem, zastanowienie się nad przyczynami przerażającego stanu rzeczy i przedyskutowanie możliwości poprawy. Musimy sobie bowiem uświadomić niezwykle powagę tego problemu. Obecna sytuacja w zakresie opieki zdrowotnej nie tylko bowiem ustawia nas daleko w tyle za średnio zamożnymi krajami cywilizowanymi, ale wraz z coraz większym zanieczyszczeniem środowiska i fatalnym odżywianiem zagraża fizycznemu bytowi naszego społeczeństwa.

Spojrzenie wstecz

Po drugiej wojnie światowej duża część placówek służby zdrowia leżała w gruzach. W okresie okupacji znaczną część lekarzy i pielęgniarek wymordowano lub wywieziono na wschód i na zachód.

Należy w tym miejscu wspomnieć, że w czasie wojny polska służba zdrowia działała znakomicie; w szpitalach przeprowadzano z sukcesem najtrudniejsze operacje, leczono skutecznie poważne choroby — tymi metodami, jakie znane były w owym czasie — docierano z pomocą do najuboższych warstw ludności i w najcięższych warunkach. Udało się nie dopuścić do poważniejszych epidemii; nawet śmiertelność noworodków nie była zagrażająca, pomimo wyjątkowo trudnych okoliczności i niedożywienia (poza oczywiście gettem i obozami koncentracyjnymi).

Służba zdrowia zdała też na piątkę egzamin w walce z okupantem, w ratowaniu życia ludzi ściganych przez gestapo lub rannych w czasie obław i potyczek. Niemniej środowisko to poniosło ciężkie straty.

Po zakończeniu wojny przystąpiono do rekonstruowania tego, co było przedtem. Truizmem byłoby przypominać, choć młode pokolenie Polaków tych czasów ani pamiętać ani znać nie może, że okres ten, mimo wszystkich zastrzeżeń, oporów i obaw, jakie budził nowy system i władza, cechował się rzeczywistym zapalem

i pragnieniem odnowienia tego co było przed kataklizmem wojny. Uczucia te były szczególnie silne wśród ludzi związanych z opieką zdrowotną.

Oczywiste było, że lekarz musi leczyć ludzi niezależnie od otaczających warunków, niezależnie od tego, czy ustrój mu się podoba, czy nie. Również oczywiste wydawało się, że nowej władzy, jaka by nie była, będzie zależało na odratowaniu zniszczonych sił narodu, przywróceniu zdrowia tym, którzy je stracili.

Uczono się zatem, pracowano, każdą chwilę poświęcano choremu i odbudowywaniu zniszczonych szpitali i przychodni. Jak grzyby po deszczu powstawały nowe oddziały szpitalne w zrujnowanych budynkach i naprędce wznoszonych barakach. Oddziały te były często prymitywne, tymczasowe, chorzy leżeli na materacach na podłodze, ale... w czystej pościeli, pod niezwykle troskliwą opieką lekarzy i pielęgniarek, w czym nie miała być zasługą siostr zakonnych pracujących wówczas powszechnie w szpitalach.

Nikomui nawet przez myśl nie przeszło, że ta tymczasowość i prymityw mogą pozostać... na zawsze. Impet budowlany i organizacyjny był przecież tak duży...

Jednocześnie powstały w tamtych latach nowe podstawy systemu ochrony zdrowia, związane z zasadami ustroju socjalistycznego — utworzono powszechną, dostępną dla wszystkich i bezpłatną społeczną (czytaj państwową) służbę zdrowia. Zlikwidowano wszystkie prywatne kliniki czy lecznice, rozpoczęto intensywną walkę z prywatną praktyką.

W teorii te zasady wydawały się słuszne, a przede wszystkim sprawiedliwe — likwidowały bowiem różnice między ludźmi. Każdy miał prawo do opieki lekarskiej i leków odpowiadających jego chorobie, a nie stopniowi zamożności.

Abstrahując od usterek organizacyjnych, taki system opieki zdrowotnej mógł być postępem w sensie społecznym i tak został przyjęty. Wielu z nas było naiwnych — jako studentce medycyny wydawało mi się, że nierówność ludzi wobec choroby została zlikwidowana. Uważałam zresztą zawsze i nie zmieniałam tego poglądu do dziś, że jest coś niewyrażnego moralnie, gdy w stosunku pacjent-lekarz pojawia się pieniądz. A już zupełnie nietetyczna sytuacja powstaje, gdy od możliwości zapłacenia przez chorego uzależniona jest udzielana mu pomoc.

Nowy system cały ten kłopot miał zdjąć i z lekarza, i z chorego. Inna sprawa, że poza nawiasem tego systemu, w trudnej sytuacji znalazła się wówczas wcale niepełna część społeczeństwa, uznana za reakcję i wrogów klasowych — w latach stalinowskich formalnie skazana na zagładę: tzw. inicjatywa prywatna oraz

właściciele gospodarstw wiejskich (koszmarni „bogacze wiejscy” straszący z afiszów).

Po latach margines ten znacznie zmniejszono, rozszerzając przywileje na ludność wiejską i rzemiosło.

Niech nikt dziś się nie dziwi, że byliśmy wtedy naiwni i powszechną społeczną służbę zdrowia przyjęliśmy ufnie i z radością. Chcieliśmy sprawiedliwości w sprawach zdrowia, chcieliśmy leczyć wszystkich bez wyjątku. Sądziliśmy, że wreszcie usunięte zostaną zaniedbania zdrowotne i sanitarne znane w Polsce sprzed wojny, że uniknie się wszystkich wad tak krytykowanej i przeciążonej Kasy Chorych, że — krótko mówiąc — opieka nad wszystkimi chorymi ludźmi będzie maksymalnie dobra — proporcjonalna do aktualnego stanu wiedzy medycznej.

Nie rozumieliśmy jeszcze, że taki system nie może zadziałać; po pierwsze: w ustroju, który jest demokracją (ludową?) i socjalizmem tylko z nazwy i nie ma nic wspólnego z socjaldemokracją krajów zachodnich, po drugie — w warunkach całkowitego monopolu państwowego nie dopuszczającego do żadnych rozwiązań równoległych czy zgoła konkurencyjnych, które pozwoliłyby na porównania i zmusiły do niezbędnych poprawek; po trzecie — w sytuacji, w której sama organizacja służby zdrowia i jej formy podporządkowane są ideologii i czynnikom politycznym.

Mimo to wszystko system służby zdrowia w Polsce pierwszych dwóch dziesięcioleci powojennych miał poważne osiągnięcia i błędem byłoby tego nie dostrzegać. Rzeczywiście otwarto dostęp do lekarza i szpitali dla szerokich mas ludności, przeprowadzono szereg skutecznych akcji zwalczania wielu chorób społecznych i zakaźnych, jak np. choroby weneryczne. Rzucono spore środki do walki z gruźlicą — niemal powszechną w warunkach powojennych, pochłaniającą tysiące ofiar. Na dłuższy czas udało się gruźlicę jako chorobę społeczną opanować. Duży w tym udział miały odkrycia nowych metod leczenia tej, przed wojną właściwie nieuleczalnej, choroby oraz pomoc z Zachodu w postaci szczepionek BCG, ambulanów rentgenowskich itd. Niemniej jednak rozwinęto akcję profilaktyczną, czynne były sanatoria, prewentoria dla dzieci, utworzono specjalne oddziały dla chorych na gruźlicę, kształcono personel.

Podobnie rozwinęto całkiem sensowną opiekę nad dziećmi — z profilaktyką od chwili urodzenia — i nad kobietami w ciąży. Utworzono sieć izb porodowych, starając się, aby każda kobieta rodziła pod opieką wykwalifikowanego personelu, we właściwych warunkach sanitarnych.

Trudno było przypuścić, że i w tych sprawach nastąpi wkrótce dramatyczny regres.

Nie ma sensu pisać więcej o osiągnięciach tamtego wczesnego okresu. Chodziło tylko o zilustrowanie, że coś się działo pozytywnego, i że były podstawy, aby wierzyć, że przynajmniej w sprawach zdrowia wszystko będzie posuwać się naprzód w pozytywnym kierunku.

Koniec złudzeń, czyli co nastąpiło później

Złudzenia te prysnęły szybko, choć proces zahamowania postępu — który z dzisiejszej perspektywy jest nie tylko zahamowaniem, a cofnięciem się — był stopniowy. Pośród posunięć i zarządzeń władz oraz tendencji, które przyczyniły się do tego cofnięcia wymienię tylko kilka przykładowych i chyba najważniejszych.

1. *Wyrzucenie ze szpitali siostr zakonnych*, z ograniczeniem ich działalności tylko do specjalnych, najtrudniejszych placówek (np. opieka nad niedorozwiniętymi dziećmi). W miejsce zakonnic wprowadzono do szpitali pielęgniarki przyuczone w skróconym trybie, które nie umiały poruszać się wśród chorych i nie miały podstawowych wiadomości. Tym posunięciem załatwiono na długie lata dwie sprawy: drastycznie pogorszono pielęgnację i opiekę nad chorym oraz obniżono rangę społeczną zawodu pielęgniarskiego.

Wraz z zakonnicami zniknął wzorzec postępowania etycznego i zaginął — oby nie na zawsze — etos zawodu pielęgniarskiego. A był to wzorzec nie tylko dla pielęgniarek, lecz także dla studentów i młodzieży lekarskiej. Do dziś na tych oddziałach, w których nadal pracują siostry zakonne wraz ze świeckimi (a trzeba powiedzieć, że mimo ogólnego nastroju terroru lat stalinowskich niektórzy profesorowie — np. Manteuffel, Plocker czy Łapiński stanowczo się temu oparli i nie zgodzili się na stratę siostr) opieka nad chorym, czystość i porządek są nieporównanie lepsze niż w pozostałych szpitalach.

2. *Walka z tradycją lekarską* — rodzinną (nieprzyjmowanie do akademii medycznych dzieci lekarzy) i ze szkołami lekarskimi opartymi na autorytetach kierowników, na ogół przedwojennych (a więc „reakcyjnych”) profesorów lub ordynatorów. Szkoły takie usiłowano rozbijać wszelkimi dostępnymi metodami. Jednocześnie zwalczano mit o szczególnym powołaniu czy roli pracy lekarza w społeczeństwie, obniżając systematycznie (przez propagandę, system nauczania i politykę płacową) społeczny autorytet zawodu. Należy powiedzieć, że to się akurat nie udało. Mimo wielu niekorzystnych zjawisk, które zaszły zarówno w świado-

mości i zachowaniu samych lekarzy, jak w stosunku innych ludzi do lekarzy — zawód ten wciąż jeszcze otoczony jest społecznym szacunkiem. Można jednak poważnie obawiać się o przyszłość: wszystko zagraża temu zawodowi — groźna w skutkach demoralizacja, konieczność rekomendacji partii przy mianowaniu ordynatorów, zły system kształcenia, izolacja od medycyny światowej.

3. Kolejne *posunięcia organizacyjne* dotyczące struktury służby zdrowia, aż do utworzenia nieszczęsnych ZOZ-ów włącznie. Wszystkie te posunięcia niewiarygodnie rozdeły system administracji i biurokracji w służbie zdrowia, w którym to systemie personel fachowy zepchnięto na sam dół hierarchicznej drabinki, chorzy zaś stali się dla maszyny urzędniczej złem koniecznym, przedmiotem potrzebnym głównie dla celów statystycznych.

Tak np. funkcja dyrektora szpitala praktycznie zniknęła, a tzw. naczelny lekarz szpitala nie decyduje właściwie o niczym ważniejszym w szpitalu, podporządkowany jest całkowicie dyrekcji ZOZ-u. Dyrekcja ta często znajduje się dość daleko od szpitala, ma blade pojęcie o tym co się w nim dzieje i wydaje arbitralne zarządzenia nie mające nic wspólnego z realiami. Ordynatorzy oddziałów czy kierownicy przychodni obciążeni są całkowitą odpowiedzialnością za to, co się na ich terenie dzieje, ale we wszystkim uzależnieni są od dyrekcji.

Dyrekcja ignoruje zazwyczaj wszelkie raporty o istotnych trudnościach, przesuwa pracowników jak chce (jeden z ordynatorów szpitala na prowincji skarżył się, że nigdy nie wie, kogo z lekarzy zastanie rano w oddziale — tak często są poza jego plecami delegowani do innych placówek), decyduje o liczbie personelu, szkoleniu ludzi, wyposażeniu, remontach i naprawach itd. A wszystko tonie w stosach biurokratycznych przepisów, papierkach i sprawozdaniach. W tej sytuacji nawet najśluszniesze zarządzenia przestają nie tylko być wykonywane, ale nawet czytane. Czasem kończy się to tragicznie.

W ramach szaleństwa organizacyjnego i na pozór bardzo słusznej idei zespolonego lecznictwa doprowadzono do zupełnego absurdu system rejonizacji i przypisania chorego do określonych miejsc zgodnie z miejscem zamieszkania. Tą metodą chorego z udarem mózgu czy zawałem serca, jeżeli broń Boże zachoruje nie w swoim rejonie — wieziony jest kilkanaście kilometrów, chociaż karetka mija inny — lecz nie rejonowy — szpital. O odesłaniu chorego spod drzwi lekarza w Przychodni może na podstawie adresu zdecydować rejestratorka, niezależnie od jego stanu zdrowia.

W siatce administracyjnej utykają złowieni w nią lekarze, wypadając z pracy przy chorym; czym więcej stanowisk administracyjnych — tym mniej personelu fachowego w placówkach

służby zdrowia, tym więcej biurokratycznej mitręgi dla pracujących przy chorym i dla samych chorych, tym więcej straconych pieniędzy.

4. Bardzo szybko — już w pierwszej powojennej pięciolatce — rozpoczęły się *drastyczne ograniczenia środków na inwestycje w służbę zdrowia*. Już w latach 50-tych ówczesny minister zdrowia, J. Sztachelski, chwalił się oszczędnościami, jakich dokonał... na zdrowiu ludzkim. W późnym okresie gomułkowskim i w czasach Gierka ograniczenie funduszy na cele zdrowia spowodowało katastrofę, trwającą do dziś i pogłębiającą się z każdą chwilą. Zlekceważono całkowicie sprawy zdrowia społeczeństwa — zabrakło łóżek szpitalnych, leków i sprzętu, a dysproporcja pomiędzy placami w służbie zdrowia a różnymi dziedzinami produkcyjnymi lub biurokratycznymi stała się tak wielka, że trudno się dziwić, iż chętnych do pracy przy łóżku chorego po prostu brak.

Od początku lat '60-tych budowano coraz mniej nowych szpitali, z czasem przestano budować niemal zupełnie. I tak budowa jednego szpitala trwa od 12 do 20 i więcej lat. W karykaturze można powiedzieć, że gdy kończy się budowę strychu już parter nadaje się do kapitalnego remontu (*vide* szpital AM w Warszawie przy ul. Banacha, gdzie po kilkunastu latach ślimaczącej się budowy oddano budynek dla interny, a chirurdzy wołają wielkim głosem, że chirurgia wymaga szybkiego remontu). Na okrasę zbudowano dość szybko parę „delikatesowych” obiektów, jak Centrum Zdrowia Dziecka czy obiekt w Aninie, na szczęście odzyskany dla lecznictwa powszechnego. Szpital rozrzućnie budowany był bowiem na luksusową lecznicę dla członków najwyższych władz państwowych i partyjnych; na szczęście odzyskano go „dla ludzi” jako Instytut Kardiologii; teraz wznosi się wspomniany już „Szpital Pomnik” Matki Polki.

Trochę przykładów

Skutki tej polityki nie dały długo na siebie czekać. Zilustrujmy tę sytuację paroma liczbami. Tak więc średnia liczba łóżek szpitalnych w przeliczeniu na 10 tys. mieszkańców wynosiła w Polsce w 1983 roku 56,1, a w wielu województwach, jak np. w stołecznym województwie warszawskim — 51,3, z tendencją do dalszego zmniejszania się do 40-43 łóżek, przewidywanych według oficjalnych szacunków na koniec lat '80-tych. Zaznaczmy, że Światowa Organizacja Zdrowia określa jako minimalny wskaźnik 100 łóżek na 10 tysięcy mieszkańców. W tym samym województwie stołecznym brakuje (w 1986 roku) 500 łóżek położniaczych i ponad 5.000 łóżek szpitalnych w ogóle!

Większość łóżek szpitalnych w Polsce znajduje się w budynkach starych, rozpadających się lub zaadaptowanych tymczasowo i nie nadających się do tego celu. Stan tych szpitali zagraża niejednokrotnie bezpieczeństwu chorych. Łóżka stłoczone są na bardzo niewielkiej przestrzeni, również na korytarzach (norma WHO przewiduje powierzchnię 12 m² na chorego, norma polskiego Ministerstwa Zdrowia — 6 m² (!), a w wielu szpitalach wynosi ona 3,5 do 4 m²), co wraz z fatalnymi warunkami sanitarnymi sprzyja zakażeniom wewnątrzszpitalnym i uniemożliwia szybkie dotarcie do chorego.

Wciąż jeszcze na wielu oddziałach, głównie psychiatrycznych, w których deficyt łóżkowy jest szczególnie duży, i pediatrycznych, kładzie się po dwóch pacjentów do jednego łóżka. Starzenie się społeczeństwa przy zupełnej niewydolności systemu opieki społecznej i braku zabezpieczenia ludzi niepełnosprawnych — powoduje konieczność hospitalizacji ludzi, którzy przy zapewnieniu właściwej opieki mogliby być leczeni w domu.

Przeładowane do zupełnego maksimum, rozsypujące się szpitale przestały chronić chorego — same stały się źródłem różnych chorób (zakażenia wewnątrzszpitalne), wysokiej śmiertelności noworodków itp.

Do Polski powróciła gruźlica — w roku 1984 zanotowano 22.527 nowych zachorowań. Na 100 tys. mieszkańców Polski przypadło więc 61 nowych chorych, podczas gdy np. we Francji — 26, w Danii — 6, w pozostałych krajach Europy Zachodniej kilka, a w NRD około 20. W roku tym zachorowało na gruźlicę 380 dzieci. Aż 30 % ludzi w Polsce jest zakażonych gruźlicą, z czego większa część prątkuje, a więc jest potencjalnym źródłem zakażenia. Około 3.000 ludzi w Polsce umiera corocznie na gruźlicę, co stanowi smutny rekord europejski. Niezwykle wysoki — znowu najwyższy w Europie — jest w Polsce wskaźnik zachorowań na żółtaczkę zakaźną, szczególnie jej formę przenoszoną przez wirusa A — drogą pokarmową, lecz również znacznie bardziej niebezpieczną tzw. wszczepienną. Źródłem zakażeń tym typem żółtaczki są placówki służby zdrowia ze względu na brak strzykawek i igieł jednorazowego użycia (produkcja pokrywa 45 % zapotrzebowania i czynniki oficjalne nie spodziewają się poprawy). Żółtaczka wszczepienna jest prawdziwą plagą dla chorych i dla personelu. Niedostatek środków ochronnych dla stykających się przy pracy z krwią chorych, ciasnota pomieszczeń, dziewiętnastowieczne metody sprzątania i usuwania nieczystości (szmata i kubek wody) oraz niemożność stosowania się w tych warunkach do przepisów, czyli ich faktyczne lekceważenie doprowadziły do tego, że wszczepienne zapalenie wątroby jest powszechną chorobą wszystkich osób zatrudnionych przy chorych —

od lekarzy i pielęgniarek poczynając, a na salowych skończywszy.

W kraju rozprzestrzenił się brud, a z nim zakażenia głównie przewodu pokarmowego, ukoronowane w bieżącym roku zawrotną ilością zatruc pokarmowych w czasie sławetnych „wakacji z salmonellą”, którą zakażono się masowo nie w prywatnych wytwórniach lodów, lecz w ośrodkach wczasowych w eleganckich miejscowościach.

W stolicy sporego kraju środkowej Europy dzieci w szkołach mają wszy (a zdawało się, że poza marginesem społecznym można było już o nich zapomnieć), szerzy się świerzb.

Czy można się temu dziwić, jeżeli w Polsce A.D. 1986 do sklepu po papier higieniczny ustawia się kolejka 200 osób, a kilka lat temu minister Handlu Wewnętrznego przekonywał publicznie, że kawałek mydła wystarcza człowiekowi na 2 miesiące?

Takie anegdotyczne historie przestają śmieszyć, gdy zestawia się je z wysoką śmiertelnością noworodków, z przytoczonymi wyżej wycinkowymi danymi o chorobach zakaźnych, z przerażeniem kobiet, które nie mają gdzie rodzić, a jak już urodzą, to drżą ze strachu przed zakażeniem dziecka w oddziale, w którym na 40 noworodków jest jedna pielęgniarka: z rozpaczą lekarzy, którzy wyciągają pacjentów z najcięższych chorób, przeprowadzając najtrudniejsze operacje, po czym chorzy ci giną z powodu zakażenia wewnątrzszpitalnego lub żółtaczki wszczepiennej.

Dramatem, który wstrząsnął opinią publiczną, była śmierć noworodków w szpitalu we Włocławku po przetoczeniu im zakażonej albuminy (szczegółowy opis wydarzeń i przyczyn *Zeszyty Niezależnej Myśli Lekarskiej* nr 5/1985 r. oraz liczne artykuły w prasie oficjalnej).

Wydarzenie to ujawniło wszystkie tragiczne niedostatki naszej opieki zdrowotnej: fatalny stan sanitarny szpitala (czego nie raczyły zauważyć od lat miejscowe władze informowane przez pracowników szpitala), przepełnienie oddziału, brak i niedokształcenie personelu, nieprzestrzeganie przepisów dotyczących postępowania z płynami infuzyjnymi, nierealnych wobec stałego ich niedoboru.

Poza procesem sądowym nie wyciągnięto z tego wydarzenia żadnych praktycznych wniosków — owszem, zamknięto na długo oddział położniczy wojewódzkiego szpitala. Na braki odpowiedziano jeszcze większym brakiem. Minister Zdrowia wygłosił kazanie w telewizji, winę (niewątpliwą zresztą) lekarzy i pielęgniarek widział, odpowiedzialności resortu za ten skandal nie uważał.

Czas przyjrzeć się drugiej stronie medalu. Czy za wszystko, co się dzieje w naszej opiece zdrowotnej winę ponoszą wyłącznie

władze, szkodliwe posunięcia finansowe i wadliwa organizacja, a personel służby zdrowia to rycerze bez skazy walczący o dobro chorego? Oczywiście tak nie jest. Pośród ogromu bałaganu, bezprawia i demoralizacji ludzie w białych fartuchach nie pozostali na izolowanej wyspie, podlegali tym samym wpływom i naciskom co inne grupy zawodowe. Analiza sytuacji etycznej naszego środowiska to materiał na inne obszerne opracowanie.

Faktem jest, że z tą etyką dzieje się źle i coraz gorzej. Wprawdzie wciąż jeszcze środowisko lekarskie wychodzi zwycięsko z najcięższych prób. Trudno znaleźć w innych grupach zawodowych przykłady takiego poświęcenia w pracy, rezygnacji z życia osobistego i nadludzkiego wysiłku jak wśród lekarzy i pielęgniarek, ale coraz częściej stać już nas tylko na zrywy w sytuacjach szczególnych. Na co dzień — co najdotkliwiej odczuwają chorzy — jesteśmy obojętni, lekceważący i zniecierpliwieni i traktujemy ludzi chorych jak uciążliwe przedmioty, niejednokrotnie nawet brutalnie. Jak złośliwa zaraza szerzy się zjawisko brania (i żądania) pieniędzy od chorych za wszystko — od podania basenu przez salową do porady ambulatoryjnej, za leczenie w szpitalu lub wykonanie operacji przez lekarzy szeregowych i wybitnych profesorów, przy czym nie ma to nic wspólnego z praktyką prywatną.

Zjawisko to (wieść gminna niesie, że opłaty coraz częściej uiszczane są w „zielonych”) jest na pewno demonizowane, często wyolbrzymiane w określonych celach przez propagandę oficjalną, ale istnieje i czas przestać udawać, że o tym nie wiemy.

Do tego wszystkiego dochodzi poddawanie się najgłupszym i najszkodliwszym dla chorych przepisom (np. ciężko chory, lecz z innego rejonu, więc nie wolno go przyjąć) lub przeciwnie, omijanie po cichu wszelkich przepisów (przykład ze szpitala we Włocławku) oraz zwykłe nieuctwo. Jeszcze niedawno można było powiedzieć bez przesady, że mimo wszelkich niedostatków lekarze polscy są solidnie wykształceni, a szerokimi horyzontami wiedzy odbijają korzystnie od nowoczesnych, lecz wąsko wyspecjalizowanych kolegów na Zachodzie. Obecnie i w tej dziedzinie obserwuje się fatalne pogorszenie. Słyszysz się żenujące wypowiedzi, a brak wiedzy owocuje w tragicznych skutkach: błędnym leczeniu, nieumiejętności przeprowadzenia podstawowej diagnostyki, przesyłania chorych do niezliczonej ilości specjalistów. Zanim chory tę wędrówkę zakończy, na skuteczne leczenie bywa już za późno, tym bardziej, że nikt nie próbuje wyciągnąć syntetycznego wniosku z zebranych danych i ogarnąć całości schorzenia.

Muszę podkreślić grubą kreską, że przedstawiam tu z konieczności schematycznie tendencje, złe drogi na które wchodzi lub

jest wypychana spora część środowiska. Niech nikt nie czuje się niesłusznie posądzony lub skrzywdzony. To, że wielu z nas pracuje dobrze, a nawet jeszcze lepiej, dokonując rzeczy zdawałoby się niemożliwych, nie może nam przesłaniać faktu, że zaczyna się dziać źle i że trzeba temu zapobiec.

Dlaczego tak się dzieje?

Jeżeli powiedzieliśmy, że pracownicy służby zdrowia nie są ani tak nadzwyczajni, jak byśmy pragnęli i jak o sobie mówimy, ani tak źli, jak o nas czasem mówią i jak by to wyglądało z tego skrótu w poprzednich kilku akapitach, to znów wypada się zastanowić, jakie są korzenie tych wszystkich negatywnych zjawisk.

I znowu muszę podkreślić — mówię o przyczynach, a nie szukam usprawiedliwienia. W moim najgłębszym przekonaniu nic bowiem nie usprawiedliwia żadnego nieetycznego postępowania lekarza, pielęgniarki czy jakiegokolwiek człowieka, któremu powierzona jest opieka nad chorym. Nie wolno nigdy i pod żadnym pozorem godzić się z brakiem poszanowania godności człowieka, a tym bardziej człowieka słabszego, jakim jest człowiek chory.

Lekceważenie ludzkiej godności jest zawsze karygodne. W systemie stworzonym w naszym kraju ponizani jesteśmy w mniejszym czy większym stopniu na każdym kroku, poczynając od wszystkich urzędów, a kończąc na sklepach czy tramwajach. Przykro, że wierząc iż jako jednostki nic właściwie nie znaczymy, zaczęliśmy ponizać się nawzajem. Najboleśniejsze, że włączyła się w to służba zdrowia.

Stało się to niepostrzeżenie. Z jednej strony jest to wpływ ogólnych warunków życia. Z drugiej opisane wyżej niedoinwestowanie czyli nędza placówek służby zdrowia, upadek bazy. Jeżeli lekarze przez lata zmuszeni są do leczenia chorych w warunkach urągających wszelkim podstawowym prawom człowieka, przestają na te warunki reagować, przyzwyczajają się, a przed zarzutami chorych bronią się agresją skierowaną w niewłaściwym kierunku. Studenci, kształceni w takich samych warunkach w klinikach, nie zdają sobie sprawy, że powinno być inaczej.

Wszelkie próby interwencji i walki z istniejącą sytuacją przypominają walenie głowy o mur, przy czym można tylko samemu sobie nabić guza. Niewielu wystarcza energii i hartu ducha, aby się nie poddać ogólnemu nastrojowi niemożności. Większość macha ręką i godzi się ze wszystkim. Trudno uświadomić sobie, że zgoda na panujący obecnie system prowadzi w nieunikniony sposób do dalszego pogorszenia. Na tę bierność liczą kolejne szczeble władz. Jeżeli staje się coś złego, wybucha skandal, nie władze ponoszą odpowiedzialność, lecz ci, którzy uczciwie pracując zgadzali się i przez to stali się winni.

Przyczyn coraz gorszego wykształcenia lekarzy jest wiele, można wymienić tu: rozbicie szkół lekarskich przy wyraźnie niższym poziomie nauczania studentów; zorganizowanie pracy lekarza tak, że nie ma on czasu ani motywacji do dalszego dokształcania się. Zupełny brak dopływu informacji utrudnia, a nawet uniemożliwia dokształcanie — prenumerata polskich czasopism lekarskich jest ograniczona z powodu bardzo niskich nakładów, podręczniki przestarzałe już w chwili pojawienia się w księgarni, a dostęp do piśmiennictwa światowego kurczy się coraz bardziej. Drastycznie zmniejszono bowiem ilość sprowadzanych z Zachodu książek i czasopism, co przy praktycznej niemożności szybkiego uzyskania wykazu tytułów z interesującej dziedziny i kserokopii potrzebnych artykułów odcina skutecznie ogół lekarzy od medycyny światowej. Warunki, w których przychodzi polskiemu lekarzowi pracować też nie stanowią bodźca do poznawania nowoczesnych zdobyczy nauki, bo nie stwarzają żadnych perspektyw na praktyczne ich zastosowanie.

Powszechna i bezpłatna

Na tle przedstawionego wyżej opłakanego stanu opieki zdrowotnej na drwinę zakrawa pojęcie jej powszechnej dostępności. Wbrew założeniom i wbrew temu co powtarza propaganda — dostępność do świadczeń służby zdrowia skurczyła się znacznie. Jeżeli brak łóżek szpitalnych — to nie każdy, komu jest to potrzebne, dostanie się do szpitala. Z kolei nie każdy kto się dostanie uzyska właściwą pomoc, brak bowiem aparatury, przeszkadzają kolejne awarie, nie ma leków.

I oto w kraju, w którym powszechność opieki zdrowotnej należy do podstawowych założeń ustrojowych, ludzie — aby uzyskać właściwą pomoc — zaczynają ją sobie „załatwiać”. „Załatwiam sobie szpital”, „załatwiam sobie leki” — słyszymy wokół. Uruchamia się system znajomości, protekcji, nacisków z góry, co oczywiście nie dla wszystkich jest możliwe. Człowiek załatwiony normalną drogą, niejako „z ulicy”, szybko — w pełni jest tym zaskoczony, zazwyczaj przeprasza, że zawraca głowę, nie wierza, że to w ogóle jest możliwe.

Mitem stała się bezpłatność opieki zdrowotnej. Rozpowszechnienie korupcji i tzw. „czarnej praktyki” spowodowało, że chorozy i ich rodziny coraz częściej płacą za wszystko, co im się teoretycznie należy bezpłatnie. Można by powiedzieć, że jest to tylko sprawa nieuczciwości ludzkiej, że po prostu winni są ci, co te pieniądze przyjmują, lub wręcz ich żądają. Oczywiście tak — jest to obrzydliwe moralnie, nieuczciwe i godne potępienia. Warto zastanowić się jednak, dlaczego zdziwienie wywołują te

zespoły lekarskie i ci ludzie, którzy tych „honorariów” nie przyjmują? Dlaczego z ust do ust podaje się wiadomość, że na takim to a takim oddziale lekarze „nie biorą”, a do jakiegoś ambulatorium można dostać się bez znajomości, specjalnych skierowań, telefonów i pieniędzy? Dlaczego zaczynają to być sytuacje wyjątkowe?

Można to wyjaśnić stosunkowo prosto. Korupcja i protekcjonizm są nieodłączną cechą systemów totalitarnych. Pojawiają się tam, gdzie rygory, przepisy i biurokracja krępują wszelką inicjatywę — gdy wykluczona jest jakakolwiek konkurencja i uniemożliwiany ludziom wolny wybór.

Tak zwana społeczna służba zdrowia jest własnością aparatu państwowego i państwo jest w tej dziedzinie (jak i w wielu innych) całkowitym monopolistą. Przy tym monopolistą niedoskonałym. Powstają wszelkie warunki do demoralizacji — po stronie personelu: obezwładnienie brakiem istotnego wpływu na bieg wydarzeń i na poprawę własnego losu, ze strony chorych nadzieja na wciśnięcie się za pomocą monety w istniejące luki i stworzenie sobie w chorobie nieco lepszych warunków.

„Opiekuńczy” system państwowy okazał się nieskuteczny. Jeżeli nawet odrzucimy całą sprawę łapówek i nielegalnych opłat (ciągle łudzę się, że jest to jednak tylko margines naszego środowiska) to pozostaną inne wydatki przekreślające bezpłatność opieki zdrowotnej. Zaopatrzenie w leki jest od lat coraz gorsze, a od pięciu wręcz skandaliczne. Zbyt dużo o tym już napisano, żeby jeszcze raz powtarzać. Dość powiedzieć, że braki sięgają 50 %-60 %, a w niektórych rodzajach leków 90 % zapotrzebowania. Gdy w całej Polsce brakuje leków przeciwnowotworowych, stanowiących jedyną szansę ocalenia życia, chorzy wydają już nie tysiące, lecz setki tysięcy złotych, by takie leki zdobyć — w praktyce sprowadzić zza granicy: a więc kupić dewizy na czarnym rynku, żeby ktoś z wyjeżdżających za granicę je kupił. Bezpłatne leczenie?

Okazuje się, że nie jest to tylko nasz problem. Oto co piszą rzecznicy Karty 77 na temat bezpłatnej opieki nad zdrowiem w Czechosłowacji w obszernym dokumencie pt. „Zdrowie jest składnikiem prawa do życia” (według *Spectatora* nr 12):

„Tak więc konsekwentnie powołaliśmy do życia system, który w sobie samym kryje przyczyny złego funkcjonowania. W prapoczątkach mógł być uważany za wyraz postępu i działać zadowalająco. Z biegiem lat jednak katastrofalnie kumuluje następstwa owych wbudowanych weń usterek systemowych, powoduje przeroszt biurokratycznych nonsensów... Okazuje się, że system z jednej strony ogranicza wolność i krępuje inicjatywę jednostki, a z drugiej nie może zadowolić także szerokich kręgów społeczeństwa ani zaspokoić abstrakcyjnego interesu społecznego. Pracownik służby zdrowia stał się działaczem i funkcjonariuszem publicznym, w znacznym stopniu siłą administracyjną, człowiek chory zaś — przedmiotem popychanym z jed-

nej placówki do drugiej... Problemy czechosłowackiej służby zdrowia rzeczywiście stanowią odzwierciedlenie kryzysu całego systemu i panujących stosunków ideologicznych. (...) Lepszych perspektyw dla zdrowia poszczególnych ludzi niepodobna oddzielić... od naprawy systemu, który uczynił z człowieka jedynie niezbyt ważny i w istocie niepożądany dodatek do abstrakcyjnych praw swego funkcjonowania".

Medycyna jest bardzo droga; nowoczesne leczenie niezwykle kosztowne, ale może nie byłoby dla nas aż tak niedostępne, gdyby nie miliardy rzucane w błoto w postaci nieprzemyślanych inwestycji, zmarnowanych pomysłów, kosztów aparatu biurokratycznego i policyjnego, zniszczonego środowiska naturalnego.

Może medycyna polska funkcjonowałaby inaczej, gdyby nie zasadnicze błędy i ograniczenia sztucznie narzuconego systemu. Dowodzi tego również cytowany przed chwilą dokument. W Czechosłowacji bowiem — choć jest bogaciej, choć baza lepsza — działają te same mechanizmy i doprowadziły one do tych samych skutków. Posłużmy się słowami dokumentu Karty 77 jako podsumowaniem:

„Bezpłatność opieki zdrowotnej jest hasłem propagandowym, po które sięga się nieustannie. Do znudzenia słyszymy, że 'nasze państwo wydaje wielkie sumy na bezpłatną opiekę zdrowotną'. Obywatel może zapytać, co to takiego to państwo, które wciąż mu coś daje i skąd bierze na to pieniądze, czy to naprawdę prezent, za który należy się wdzięczność? A może sumy te gromadzą się dzięki wynikom pracy nas wszystkich i częściowo z podatków, potrącanych nam przy wypłatach?\"

Przyszłość

Nasi czescy koledzy mają rację, pisząc o niemożności zmiany sytuacji w ochronie zdrowia bez naprawy systemu. Jednocześnie jednak wiedzą o znikomych możliwościach tej naprawy wobec — jak stwierdzają — braku kontroli społecznej. Wydaje mi się, że to nas różni. Wbrew wszystkiemu dzięki 16 miesiącom „Solidarności” uruchomiony został w naszym kraju rzeczywisty mechanizm kontroli społecznej. Mechanizm nie ujęty w formy organizacyjne, nie zawsze uświadamiany sobie przez tych, którzy tę kontrolę winni pełnić, ale nie do zignorowania przez władze. Otwiera to jakąś perspektywę.

Poprawa istniejącego stanu rzeczy w obrębie systemu skostniałego w swych zasadach przy tak katastrofalnych zaniedbaniach i ogólnym bałaganie jest prawie niemożliwa, a w każdym razie nie mogłaby nastąpić szybko. Można jednak i trzeba dążyć do stworzenia rozwiązań niezależnych od istniejącego systemu, prowadzących do decentralizacji zarządzania placówkami służby zdrowia, a realnie służących ludziom i ich zdrowiu.

Do takich rozwiązań można by zaliczyć rozwój *prawdziwej* spółdzielczości lekarskiej. Obecne spółdzielnie są nimi tylko z nazwy — ani ich rzekomi udziałowcy, czyli lekarze, nie są ich współwłaścicielami, ani pacjenci nie mogą się w nich czuć naprawdę dobrze, przynoszony przez nich zysk nie jest obracany na dalszy rozwój tych placówek. Spółdzielnie takie muszą mieć sprawną organizację opartą o wzory przyjęte w krajach zachodniej demokracji. W przyszłości winny zapewniać wszechstronną pomoc pacjentowi, można myśleć również o spółdzielczych szpitalach, a nie tylko ambulatoriach w nędznych, nieurządzonych pokojach. Nie będzie żadnym uderzeniem w podstawy ustroju, jeżeli koszty leczenia w takiej spółdzielczej placówce lub ich część będą zwracać ubezpieczenia społeczne.

Podobne placówki lecznicze mogłyby powstać w oparciu o Kościół katolicki i być w dużej mierze przezeń administrowane. W otoczeniu takich placówek wykorzystane byłyby inicjatywy osób świeckich skupionych wokół kościołów, co miałoby olbrzymie znaczenie wychowawcze i społeczne. Różne formy organizacyjne istniejące obok państwowej służby zdrowia zmuszają na drodze konkurencyjności do podnoszenia poziomu świadczonych usług, a także stwarzają chorym możliwość wyboru lekarza.

Realną możliwość zdobycia środków na stworzenie bazy materialnej (budynek, aparatura itd.) dla uruchomienia takich placówek dawałaby Fundacja, utworzeniem której wydają się interesować niektóre instytucje zachodnie — szczególnie polonijne, chociaż przykład Fundacji Rolnej nie działa zapewne zachęcająco.

Nie ma żadnych istotnych przeszkód (poza oporem władz), aby powstawały spółki i spółdzielnie produkujące drobny sprzęt medyczny i niektóre proste leki — przede wszystkim na rynek krajowy, lecz — kto wie — może również na rynki zagraniczne (firmy polonijne?) co już przynosiłoby wymierne zyski.

Podniesienie etyki zawodowej w służbie zdrowia jest możliwe w drodze różnych działań, jak utworzenie Izb Lekarskich (niezależnych od władz resortowych i demokratycznie wybieranych); czuwanie poprzez ogniwa samorządowe nad doбором i wyborem kierowników placówek w służbie zdrowia i ordynatorów w oparciu o kryteria zawodowe i moralne, a nie polityczno-ideologiczne itp.

Projekty zatysowane tu są tylko przykładami pewnych inicjatyw, które mogłyby we względnie krótkim czasie przynieść wymierną poprawę. Na pewno może być ich znacznie więcej i znacznie lepszych, gdyby tylko zerwać z systemowym schematyzmem, który nie służy niczemu poza urojonymi zasadami urojonego ustroju.

Zofia KURATOWSKA

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Wydarzenia mkną w szalonym pędzie, potykając się jedno o drugie. „Przyspieszenie”, mówiąc słowami Gorbaczowa, jest w pełnym toku. Ramię w ramię z przyspieszeniem odbywa się *pierstrojka*, drugie słowo, którego pospiesznie uczy się świat. Wszystko to dzieje się w atmosferze „jawności”, kolejne pojęcie, bez którego nie może się dziś obejść żaden dziennikarz zachodni.

Wieczorem 9 grudnia 1986 Łarysa Bogoraz, żona Anatola Marczenki, dostała telegram z wiadomością o śmierci męża w czysto-polskim więzieniu. Los Marczenki zostanie w dziejach ZSSR przykładem i przestrogą. Przykładem prawdziwego, nie potrzebującego reklamy bohaterstwa i dowodem, że istnieją ludzie organicznie potrzebujący wolności i gotowi zapłacić za nią najwyższą cenę. A przestrogą, bo 48-letni Anatolij Marczenko spędził w więzieniach i łagrach dwadzieścia lat wyłącznie za to, że chciał być wolny. Śmierć Marczenki przypomina jeszcze o czymś innym. W 1966 roku, zwolniony po sześciu latach więzienia, Marczenko napisał książkę pt. „Moje świadectwo”. Rozpowszechniana w samizdacie, przełożona na wiele języków, książka Marczenki, młodego robotnika, nieskażonego szkolnymi pseudo-mądrościami była nie tylko wybitnym dziełem literackim; świadczyła też, że Nikita Chruszczow, który w latach 1953-1956 otworzył bramy sowieckiego imperium obozowego, bardzo prędko zaczął znowu zapędniać opustoszałe baraki. Anatolij Marczenko pokazał, że system sowiecki nie może żyć bez „gułagu”: obozy chruszczowowskie opisane przez Marczenkę niewiele się różniły od stalinowskich.

Anatola Marczenko aresztowano i skazano za „Moje świadectwo”, po czym — po kolejnym zwolnieniu — ponownie aresztowano w 1981 roku i znowu skazano — „za agitację i propagandę antysowiecką” — na dziesięć lat łagru i pięć zesłania. Umarł jako dłużnik władzy sowieckiej, nie dosiedziawszy do końca wyroku.

Śmierć Anatola Marczenki, wyczerpanego wielomiesięcznymi głódówkami, które ogłaszał w walce o prawa więźnia polityczne-

go, nie wprawiła Michaiła Gorbaczowa w popłoch. Przeciwnie, pozwoliła mu zdobyć sobie bezcenny kapitał propagandowy. Światowa opinia publiczna nie zdążyła nawet przejąć się śmiercią Anatola Marczenki, moskiewski korespondent *Le Monde* ledwie zdążył napisać, że ostatnio dużo ludzi umiera w łagrach, znacznie więcej niż za czasów Breżniewa (11 grudnia 1986), jak świat osłupiał wobec niesłychanej nowiny: Michaił Gorbaczow zatelefonował do Sacharowa. 23 grudnia Sacharow wrócił po siedmioletnim wygnaniu do Moskwy.

Zbyteczne byłoby na łamach *Kultury* przypominać zasługi Sacharowa, który od dwudziestu lat jest sumieniem swojego narodu. Nie muszę też podkreślać głębokiej radości na wiadomość o zwolnieniu laureata pokojowej nagrody Nobla. Należy natomiast napisać kilka słów o okolicznościach zwolnienia i korzyściach, jakie z tego ma Gorbaczow.

Światowa prasa przyjęła wieść o zwolnieniu Sacharowa z zachwytem. To normalne. Z jeszcze większym zachwytem znaczna część światowej prasy (głównie amerykańska) rozpisywała się o wielkoduszości Gorbaczowa. *New York Times* opublikował 30 grudnia 1986 artykuł Anthony Louisa, który proponował Reaganowi aby wziął przykład (jeśli go na to stać) z Gorbaczowa. Z bezgranicznym zadufaniem, jakie daje bezgraniczna ignorancja, Anthony Louis pisał: „W kontekście sowieckiej kultury i historii było dziwne, że Michaił Gorbaczow osobiście zatelefonował do pana Sacharowa do Gorki, aby go zawiadomić, że jest wolny. Kiedy to wysoki urzędnik sowiecki zwracał się do znanego dysydenta?”. Wasilij Grossman, autor powieści „Życie i los”, dostarcza odpowiedź na pytanie amerykańskiego dziennikarza, opisuje mianowicie, jak Stalin zadzwonił do „dysydenta”. Grossman sporządził szczegółowy scenariusz, który ćwierć wieku później zrealizował bez najmniejszych zmian Gorbaczow. Jednym z głównych bohaterów „Życia i losu” jest fizyk atomowy Strum. Strum pracuje nad teorią, która otwiera nowe perspektywy nauce, ale jego koledzy, niewydarzeni naukowcy, piętnują ją jako idealistyczną. Na domiar złego Strum jest Żydem. Wyrzucony z instytutu, potępiony przez kolegów, Strum oczekuje na niechybne aresztowanie. Mamy rok 1944. Aż nagle dzwoni telefon. Żona podnosi słuchawkę, oddaje mężowi ze słowami: „To do ciebie. Jakiś nieznajomy głos”. Akademik Strum natychmiast poznaje, czyj to głos. „Wydaje mi się — mówi głos największego znawcy fizyki atomowej XX wieku — że wasze badania szły we właściwym kierunku”. Ani słowa więcej. Strum nie zdążył jeszcze nikomu opowiedzieć o rozmowie, jak zatelefonoвано do niego z instytutu, przywrócono mu wszystkie stanowiska, a kiedy wrócił do laboratorium, które sam stworzył i z którego go haniebnie przegnano, koledzy powitali go oklaskami. Dokładnie tak spotkali moskiewscy akademicy Sacharowa, kiedy przyszedł do instytutu.

Wasilij Grossman nie wymyślił opowiadania o telefonie Stalina. Zebrał liczne rzeczywiste przypadki: „Nie musiał rozkazywać — temu dajcie premię, temu mieszkanie, temu zbudujcie instytut! Był za wielki, by mówić o takich rzeczach... Wystar-

czyło mu dobroduszenie się uśmiechnąć, by los człowieka zmieniał się: szary, nikomu nieznanym osobnik wpadał pod deszcz sławy, honorów i potęgę. Dziesiątki znakomości chyliły przed szczęśliwym czoła — wszak Stalin się do niego uśmiechnął, zażartował w rozmowie telefonicznej.

Po telefonie wszystko potoczyło się zgodnie ze scenariuszem Grossmana. Andriej Sacharow bezustannie udzielał wywiadów korespondentom zagranicznym, radiom i telewizjom. Pozwolono mu nawet — fakt bez precedensu — odpowiadać z moskiewskiego studio telewizyjnego na pytania amerykańskiej telewizji. Amerykanie mogli oglądać na swoich ekranach telewizyjnych najśłynniejszego sowieckiego dysydenta, który swobodnie mówił wszystko, co myśli. Andriej Sacharow rzeczywiście jak zawsze mówił to, co myśli. Poglądów nie zmienił. Nie należy jednak zapominać, że mówi tylko do Zachodu. Nawet wiadomość o jego uwolnieniu ukazała się w prasie sowieckiej dopiero w postaci odpowiedzi przedstawiciela sowieckiego ministerstwa spraw zagranicznych na konferencji prasowej dla zachodnich dziennikarzy.

Andriej Sacharow oświadczył, że z uwagi na stan zdrowia i wiek musi ograniczyć zakres swojej działalności w obronie praw człowieka. Ogłosił listę czternastu więźniów, których będzie bronił i walczył o ich uwolnienie. Niektórzy z nich już zostali zwolnieni, inni najprawdopodobniej wkrótce zostaną. Andriej Sacharow mógł natomiast spotkać się z grupą amerykańskich działaczy politycznych, chwilowo nie sprawujących żadnych funkcji, ale mogących wrócić do władzy (Henry Kissinger, Cyrus Vance, Jeane Kirkpatrick i inni). Rozmowa z Sacharowem zadowoliła Amerykanów jako dowód, że kwestia praw człowieka rozwija się w ZSSR we właściwym kierunku. Można przypuszczać, że możliwość spotkania z Sacharowem przekona wszystkich zachodnich działaczy, iż następna konferencja nt. praw człowieka powinna odbyć się w Moskwie (jak chce Gorbaczow); być może nawet można będzie ogłosić, że Moskwa jest stolicą praw człowieka?

Historia Struma miała w książce Grossmana ciąg dalszy. W obliczu aresztowania i śmierci akademik Strum nie chciał się wyrzec swych poglądów. Jednak po telefonie Stalina i powrocie do pracy niemal bez wahania podpisał list, potępiający „zachodnie oszczerstwa” o aresztowaniu słynnego genetyka, choć doskonale wiedział, że genetyk jest aresztowany i gnije w więzieniu.

Uwolnienie Sacharowa — niezależnie od tego, że jest to wydarzenie radosne — jest największym sukcesem politycznym Gorbaczowa i zarazem dowodem, że władza sowiecka się nie zmienia, dopóki nie zostanie dana odpowiedź na dwa pytania: dlaczego akademika aresztowano i dlaczego go zwolniono. Dopóki „pański gniew i łaska pańska” są najwyższym prawem, o żadnych zmianach nie może być mowy.

Powrót Sacharowa do Moskwy był tylko jednym z oszałamiających wydarzeń, które tak zdumiały (przeważnie zachodnich) dziennikarzy. Drugim były rozruchy w Ałma-Ata. I jako takie — tłumy wychodzące na ulicę w sowieckiej republice to nieco-

dzienny widok — i dlatego, że natychmiast i obszernie pisała o nich prasa sowiecka. Kazachski pisarz Anuar Alimżanow opisał w *Literaturnoj gazecie* z 1 stycznia 1987, co zaszło w Ałma-Acie: „Wszystko zaczęło się nazajutrz po kolejnym plenum KC komunistycznej partii Kazachstanu. Można z całą pewnością stwierdzić, że jego uchwały zostały przyjęte z aprobatą przez przeważającą większość komunistów, ludzi pracy republiki, jako uzasadnione i słuszne. Mimo to temu i owemu udało się namową, oszustwem i pogrozkami wyprowadzić niedoświadczonych młodzików, analfabetów politycznych, na ulice i place. Przez dwa dni — 17 i 18 grudnia — rozpasani awanturnicy uzbrojeni w metalowe pręty, pałki i kamienie bili i obrażali obywateli, przewracali i podpalali samochody, rozbijali szyby w sklepach, hotelach robotniczych i innych miejscach publicznych”.

Niejasne w tym wyjaśnieniu jest przede wszystkim to, dlaczego „kolejne plenum” KC kazachskiej kompartii mogło wzbudzić taki wybuch niezadowolenia. Autor artykułu widocznie zakłada, że wszyscy wiedzą, o co poszło: na plenum usunięto pierwszego sekretarza KC Kunajewa i zastąpiono go Kołbinem. Oburzenie wzbudził jakoby fakt, że na miejsce Kazacha wybrano Rosjanina. Anuar Alimżanow robi nawet aluzję do tego: „Pojawiły się hasła nacjonalistyczne, wyciągnięte z głębokich mroków historii, obalone i wyeliminowane przez samo życie”. Jest to możliwe, ale mało prawdopodobne. W Kazachstanie było już trzech pierwszych sekretarzy nie Kazachów: Breżniew, Bielajew i Ponomarienko. Można założyć, że w Kazachstanie wzrosły nastroje nacjonalistyczne, ale poważnych dowodów na to nie ma. Natomiast artykuł Alimżanowa zawiera zdanie, które rzuca szczególne światło na wydarzenia: „temu i owemu... udało się wyprowadzić niedoświadczonych młodzików, analfabetów politycznych...”. Określenie „analfabeci polityczni” prowadzi na trop „politycznych” stronników Kunajewa.

Nie ulega wątpliwości, że w Kazachstanie istnieje uczucie upokorzenia narodowego: tubylcy stanowią dziś w republice mniejszość. Istnieją też wszelkie podstawy do twierdzenia, że KGB wykorzystuje sytuację dla organizowania prowokacji. Ponieważ nie ma na razie żadnych dowodów, najlepiej będzie szukać analogii w historii. W 1924 r. wybuchło w Gruzji zbrojne powstanie przeciw komunistom. Gruzini mieli sto powodów, by chwycić za broń. Ale — pisze Boris Suwarin — „jest całkiem oczywiste, że decydującą rolę odegrała prowokacja. Inaczej mówiąc, tyfliska CzeKa, doskonale poinformowana o niezadowoleniu narodu i mająca wszędzie swoich agentów, podsunęła myśl o powstaniu w dogodnym dla siebie momencie, aby łatwiej je zdławić¹”. Tyfliska CzeKa zadziałała w roku 1924, ałma-atskie KGB, następcą CzeKa, sześćdziesiąt dwa lata później wykorzystało bogate doświadczenia w dziedzinie prowokacji i spisków.

Komu rozruchy w Ałma-Acie są na rękę, widać jak na dłoni.

1. Boris Souvarine, *Staline. Aperçu historique du bolchévisme*. Paris 1977, str. 323.

Kunajew, który przez prawie ćwierć wieku zajmował stanowisko pierwszego sekretarza, stworzył własny potężny aparat partyjny. Do jego rozbicia potrzebne były nadzwyczajne środki. Teraz nowy pierwszy sekretarz, Genadij Kołbin, może przeprowadzić gruntowną czystkę w powierzonej mu republice.

Do niecodziennych wydarzeń należy też zaliczyć list przewodniczącego KGB Czebriki, ogłoszony w *Prawdzie* 8 stycznia. Główny czekista przeproszał naród sowiecki za nieuzasadnione aresztowanie dziennikarza z Woroszyłowgradu i powiadał, że dziennikarz został zwolniony, a kierownik miejscowego KGB wyrzucony z pracy. Z tej okazji zachodnia prasa napisała również немало pochwalnych słów pod adresem liberała Gorbaczowa walczącego ze smakiem KGB. Także z tej okazji można jednak bardziej realistycznie spojrzeć na rzeczy. Miejscowy dziennikarz, zaaresztowany na 24 godziny, był również korespondentem moskiewskiej *Prawdy*. Woroszyłowgradzkie KGB działało na rozkaz obwodowego komitetu partii, któremu patrzyło na ręce „oko Moskwy”. Nietrudno sobie wyobrazić, że Gorbaczow, od dawna już planujący wyrzucenie ukraińskiego boss'a Szczerbickiego, zbiera na niego materiały na całym obszarze republiki. Władze Woroszyłowgradu przeliczyły się z siłami, sądząc, że uda im się wygrać z Moskwą. Przewodniczący KGB Czebrikow potwierdził swym listem przegraną lokalnej władzy.

Nawet wydarzeń, o których rozpisuje się sowiecka i zagraniczna prasa, sprawia wrażenie ruchu, przemian, gotującego się kotła. A co dzieje się naprawdę? Czy w ogóle coś się dzieje? Czy daje się znaleźć wspólny mianownik dla działań Gorbaczowa od 11 marca 1985 roku, kiedy został wybrany generalnym sekretarzem?

Odpowiedź na te pytania znajduje się w referacie Gorbaczowa na plenum KC KPZS 27 stycznia 1987. W niekończącym się przemówieniu — 130 stron drobnego druku — mowa jest o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, o tym kto winien i co należy robić. Wiele elementów powtarza się z poprzednich przemówień, ale są i nowe, nie słyszane od pięćdziesięciu lat.

Przede wszystkim generalny sekretarz powiedział, że sprawy nie mają się dobrze w Związku Sowieckim, ba, mają się źle, katastroficznie. Nie wykorzystano „możliwości socjalizmu” w przemyśle, „dla poprawy warunków mieszkaniowych, zaopatrzenia w żywność, organizacji transportu, służby zdrowia, szkolnictwa, rozwiązania szeregu innych palących problemów”. W 1934 roku Stalin, który jeśli idzie o „jawność” daleko prześcigał Gorbaczowa, powiedział wprost: „Nasi robotnicy żyją tak marnie, że wypada spytać, czy warto było robić rewolucję październikową”. Gorbaczow nie ma odwagi posunąć się tak daleko: przyznając, że życie ludzi sowieckich jest ciężkie, zwała całą winę na „trzy ostatnie pięćdziesiątki”, tj. epokę Breżniewa.

Co zatem robić dziś? Dziś, odpowiada Gorbaczow słynnym hasłem Stalina, „najważniejsze są kadry”. Na 130 stronicach przemówienia Gorbaczow powtarza co najmniej 130 razy słowo

„demokracja”, mówi o „samorządności socjalistycznej”, ale ogniwem, które — jak uczył Lenin — pozwala pociągnąć cały łańcuch są zdaniem Gorbaczowa kadry. Innymi słowy: przez 18 lat rządów Breżniewa stworzony przezeń aparat partyjny rozregulował się. Należy więc go rozmontować i zastąpić aparatem Gorbaczowa. Oto jest wspólny mianownik wszystkich posunięć Gorbaczowa przez ostatnie dwa lata. Polskie doświadczenia dały mu cenny argument w niełatwym procesie likwidacji breżniewowskiego aparatu partyjnego. Artykuły o tych wydarzeniach, jakie pojawiają się w prasie sowieckiej, są zadziwiająco dobrodusze. W *Izwestiach* z 7 i 8 grudnia 1986 Anatolij Druzienko, korespondent tej gazety w Warszawie do 1983 roku, analizując wydarzenia sprzed pięciu lat tłumaczy, że winę za narodziny „Solidarności” ponosi PZPR, która rozpadła się za czasów Gierka. „Nie usuwała jawnie” faktów rażącej niesprawiedliwości społecznej i utraciła więź z narodem. Krótko mówiąc, popełniła te same błędy i przestępstwa, co KPZS w epoce Breżniewa. „Narosło w społeczeństwie problemy związane są w znacznej mierze z niedostatkami w działalności samej partii, z jej polityką kadrową”. Przy lekturze mów Gorbaczowa mam często wrażenie, że rozległa płachta *Prawdy* to palimpsest: spod zewnętrznego, widocznego słoja przebija wyraźnie pierwotny, oryginalny tekst. Przemówienie zatytułowane „O przebudowie polityki kadrowej partii” (z 27 stycznia 1987) wydaje się pod wieloma względami przeróbką słynnego przemówienia Stalina z 3 marca 1937 roku, zatytułowanego „O niedostatkach pracy partyjnej i środkach likwidacji trockistowskich i innych dwulicowców”.

Podobnie jak dziś Gorbaczow, Stalin był pięćdziesiąt lat temu bardzo niezadowolony z kadr partyjnych i uważał, że legitymacja partyjna stała się bronią szkodników i dywersantów. Poważne niedostatki, mówił Stalin, wynikły z „atmosfery paradnych uroczystości i wzajemnych pochwał, zabijających poczucie miary i usypiających wyzucie polityczne”. Poważne niedostatki, mówi Gorbaczow, „pokrywano paradnymi kampaniami, obchodami rozmaitych jubileuszy...”. Dodać tu można, że w artykule „Po pięciu latach”, poświęconym Polsce, także jest mowa o „skrajnie negatywnym” wpływie „paradności” na nastroje mas...

„Paradność” oznacza zadowolenie z siebie i utratę kontroli nad kadrami, niezależniacymi się coraz bardziej od centrali. Jak temu zaradzić? Stalin porównał kierowniczy sztab partii do korpusu oficerskiego: generałowie, oficerowie, podoficerowie. I zlecił zadanie: „Podnieść poziom ideologiczny i odporność ideologiczną tych kadr przywódczych, włączyć w nie nowe siły, czekające na wybicie się i w ten sposób rozszerzyć sztab kadr kierowniczych”. Gorbaczow używa zwrotu „korpus kadrowy” i powtarza za wielkim poprzednikiem: „Aby nie przerwał się proces odnowy, aby nie zmarnować dziedzictwa... wyższe eszelony kierownictwa partyjnego i państwowego powinny zostać otwarte dla dopływu nowych sił...”. Gorbaczow otwiera „pobór ludzi do awansu”.

Stalin, który w owe lata mógł sobie na wszystko pozwolić,

„zapropował” wszystkim przywódcom partyjnym „od sekretarzy komórek do sekretarzy obwodowych i republikańskich organizacji partyjnych, aby dobrali sobie po dwie osoby, dwóch działaczy partyjnych, którzy byliby zdolni być ich autentycznymi zastępcami”. Jak wiadomo, Stalin szybko przetrzebił garnitur przywódców i ich zastępców, tak że wkrótce trzeba było dobierać nowych. Gorbaczow nie może (a może w tej chwili też nie chce) uciekać się do masowego terroru dla „odnowy” w partii. Dlatego proponuje paliatyw: wybieranie sekretarzy (w tym i pierwszych) rejonowych, okręgowych, miejskich, obwodowych i republikańskich komitetów partyjnych w tajnym głosowaniu i umieszczanie na listach wyborczych dowolnej liczby kandydatów. Propozycja ta, uznana przez zachodnią prasę za definitywny dowód definitywnej liberalizacji Gorbaczowa, w rzeczywistości niczego nie może zmienić w charakterze partii: wszyscy kandydaci będą jak dawniej zatwierdzani przez „góre”, natomiast tajne głosowanie istnieje od dawna w statucie partii. Jest naturalnie jasne, że propozycja ta dała Gorbaczowowi potężny instrument pozwalający rozbić aparat Breżniewa i zastąpić go własnym. Charakterystyczne zaś, że „tajne głosowanie” nie dotyczy KC, Biura Politycznego ani sekretariatu KC.

Gorbaczow, bezustannie powtarzając w swym przemówieniu słowa „demokracja” i „samorządność socjalistyczna” wreszcie wyjaśnia, że „właściwie chodzi o określenie i środki o charakterze rewolucyjnym”.

Każdy nowy generalny sekretarz stara się przede wszystkim oszołomić ludzi, wprawić ich w stan szoku na widok przepaści, nad którą doprowadził kraj jego poprzednik. Im gorsza jest sytuacja, tym silniejsza nadzieja. Na dodatek każdy poprzednik rzeczywiście zostawia kraj w ruinie. W związku z tym stworzenie nowego aparatu partyjnego, oddanego nowemu *gensekowi*, może zawsze mieć pozory przebudowy, odnowy, radykalnych reform, nawet odgórnej rewolucji.

W prywatnej rozmowie z grupą pisarzy w przeddzień zjazdu pisarzy Gorbaczow, świadom, że słowa jego natychmiast szeroko się rozejdą, starannie wyjaśnił swoje intencje: „Przed narodem, który chce zmian, który marzy o zmianach, stoi aparat kierowniczy, aparat ministerstw, aparat partyjny, który nie chce żadnych zmian, nie chce stracić niektórych praw związanych z przywilejami”. Wynika z tego, że zmian chcą generalny sekretarz i naród. Zjednoczeni — zwyciężą. W ten sposób powstaje idealna sowiecka piramida władzy: Lenin (źródło legitymacji władzy) — generalny sekretarz (aktualnie Gorbaczow) — naród (którego, jak już zauważył Puszkina, milczy).

W marcu 1921 roku Lenin, przyznając, że władza przeżywa największy w swej historii kryzys, próbował najpierw — to pierwszy odruch sowieckich przywódców — użyć siły. Kiedy się przekonał, że nie zdoła siłą złamać oporu chłopstwa, zaczęła się Nowa Polityka Ekonomiczna. Związek Sowiecki przeżywa dziś kolejny ciężki kryzys. Różnica między 1987 a 1921 rokiem polega na tym, że dziś nie ma w kraju wrogich władzy sił. Przyczyną

katastrofy zaś są sukcesy w kształtowaniu człowieka sowieckiego. Przez siedemdziesiąt lat budowy socjalizmu udało się doprowadzić do niemal całkowitej infantyilizacji obywateli. Stracili oni wszelkie zainteresowanie dla pracy, przekonani, że władza jak rodzony ojciec ma obowiązek zaspokoić wszystkie ich potrzeby.

Gorbaczow stoi przed trudnym zadaniem: musi — nie zmieniając niczego w systemie władzy — znaleźć sposób na przekonanie lub zmuszenie narodu, aby się choć ciut ciut przyłożył do pracy. Gorbaczow zakończył swoje wielogodzinne przemówienie wyrazami nadziei, że wkrótce nawet sceptycy przyznają, że „bolszewicy wszystko potrafią”. Pięćdziesiąt lat temu Stalin wyraził to ładniej: „Nie ma takich twierdzeń, których by bolszewicy nie potrafili zdobyć”. Stalinowi do głowy nie przyszło, że zdobywszy wszystkie twierdze bolszewicy nie będą wiedzieli, co robić we własnym domu.

Stalin zostawił swoim następcom niezwykle wiano. Podniósł stopień okrucieństwa, bezprawia, centralizacji i planowania na tak niebywały poziom, że każde obniżenie, nawet niewielkie, wydaje się gigantycznym krokiem w kierunku wolności i szczęścia. „Słyszysz kto kiedy o byłym komendancie? — zapytuje w opowiadaniu Kafki oficer podróżnego, który przybył z wizytą do kolonii karnej. — Cała organizacja kolonii karnej to jego dzieło. My, jego przyjaciele, wiedzieliśmy jeszcze za jego życia, że kolonia zorganizowana jest tak idealnie, że następca, nawet gdyby mu się roili tysiące planów, zrozumie, że niczego zmienić nie można, w każdym razie przez długie lata”.

Adam KRUCZEK

8 lutego 1987

Kronika ukraińska

9 listopada 1986 roku minęło 10 lat od utworzenia w Kijowie ukraińskiej grupy helsińskiej. Zebranie założycielskie odbyło się w mieszkaniu pisarza Mykoły Rudenka, który został przewodniczącym grupy. Mimo aresztowań i prześladowań do 10 członków-założycieli dołączyło jeszcze 27 osób, a w 1983 roku swój symboliczny akces zgłosili przebywający w Gułagu Estończyk Mart Niklus i Litwin Viktoras Petkus. Wszyscy członkowie ukraińskiej grupy helsińskiej, z wyjątkiem lwowskiej malarki Stefanii Szabatury, zostali aresztowani. Trzy osoby zmuszono do emigracji, trzy zmarły w łagrze lub więzieniu (Oleksa Tychaj, Wasyl Stus i Anatolij Marczenko), a Jurija Lytwyna KGB doprowadziło w obozie do samobójstwa.

W kwietniu 1986 roku skazano w Krasnodarze na półtora roku łagru Pawła Rytikowa, członka nie zarejestrowanej gminy baptystów, poprzednio więzionego w latach 1968-1973, 1979-1982, 1983-1985.

Kościół baptystów na Ukrainie powstał w pierwszej połowie XIX wieku, dzięki osiedleniu się w „Nowej Rosji” kolonistów z południowo-zachodnich Niemiec, którzy należeli do tej sekty. W 1944 roku założono uznawaną przez władzę Wszechzwiązkową Radę Ewangelickich Chrześcijań-Baptystów. Pod naciskiem KGB wydała ona w 1960 roku wewnętrzną instrukcję ograniczającą działalność religijną podległych sobie gmin. W odpowiedzi zbuntowały się przeciwko Radzie przede wszystkim ukraińskie wspólnoty baptystów, co doprowadziło do odłączenia się niezadowolonych w 1964 roku od oficjalnej i utworzenia własnej Rady. Podlegają jej nie zarejestrowane wspólnoty baptystów, które odrzucają jakąkolwiek współpracę z państwem komunistycznym. Ogólną liczbę baptystów w ZSSR ocenia się na 3 mln, a ich szeregi stale rosną. Co trzeci członek sekty ma poniżej 45 lat. Najliczniejsze skupiska baptystów znajdują się na Ukrainie w rejonie wielkich centrów przemysłowych Zaporozża, Doniecka, Kijowa i Charkowa. Ich główną bazę rekrutacyjną stanowią też robotnicy i chłopci, podczas gdy inteligencja traktowana jest ze względów doktrynalnych jako niepotrzebna. W 1962 roku baptysci utworzyli *Radę rodzin więźniów*, składającą się wyłączenie z kobiet i wydającą w podziemiu *Biuletyn* w języku rosyjskim. Baptysci z terenu Hałyczyny używają jednak języka ukraińskiego i utrzymują pewne kontakty z podziemną Ukraińską Cerkwią Katolicką.

Mieszkańcy wsi Małniwska Wola koło Tarnopola nie dopuścili do przeobrażenia swego kościoła w muzeum ateizmu blokując kilkakrotnie, przez wiele dni, przed milicją wejście do jego sieni.

5 tysięcy wiernych z Chrystynopola podpisało petycję do władz żądając przywrócenia miejscowego kościoła zamienionego na muzeum ateizmu.

Latem 1986 roku dotarł na Zachód z Ukrainy samizdat religijny pt.: „W twierdzy zła absolutnego — Ewangelia Szaleńca”.

Prawosławny Kościół Rosyjski przygotowuje się do beatyfikacji Hawryła Kostelnika, księdza grecko-katolickiego, który działając pod szantażem NKWD odegrał czołową rolę w likwidacji w 1946 roku Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej na Zachodniej Ukrainie. Po wykonaniu zadania Kostelnik został zlikwidowany (28 września 1948 roku) przez agenta NKWD, którego z kolei zastrzelono w czasie pościgu, a następnie, jak podała milicja, jego trupa wykradziono z komisariatu. Według oficjalnej wersji zabójcą był syn Kostelnika, bowiem NKWD nie wiedziało, iż w tym czasie żyje on sobie spokojnie na Zachodzie. Patriarcha Aleksej oskarżył o zabójstwo „ukraińskich burżuazyjnych nacjonalistów i agentów Watykanu”. Beatyfikacja Kostelnika ma się odbyć w związku z obchodami 1000-lecia chrztu Rusi.

29 sierpnia 1986 zmarła we Lwowie w wieku 72 lat Kateryna Zarycka. Już w okresie gimnazjalnym wstąpiła do OUN; aresztowana w 1935 roku za przynależność do tej organizacji, w roku następnym w wielkim procesie lwowskim skazana została na 8 lat za udzielenie pomocy w ucieczce do Czechosłowacji Maciejce, zabójcy ministra Pierackiego. Zarycka, zwolniona z polskiego więzienia w 1939 roku, została aresztowana przez NKWD w 1940 i doczekała w więzieniu wkroczenia Niemców. Jej męża, Mychajła

Sorokę, wywieziono do łagru, gdzie zmarł. Pod koniec okupacji niemieckiej K. Zarycka zorganizowała i kierowała Ukraińskim Czerwonym Krzyżem przy Ukraińskiej Armii Powstańczej oraz pełniła funkcję łączniczki generała Romana Szuchewycza (pseudonim Taras Czupryńka), dowódcy UPA. Aresztowana przypadkowo we wrześniu 1947 roku została skazana na 25 lat łagru. Obóz opuściła w 1972 roku. Na Archipelagu Gułag była symbolem oporu dla nowych fal ukraińskich patriotów, którzy przybywali tam w latach 60-tych i 70-tych. Syn Zaryckiej, Bohdan Soroka, jest malarzem i mieszka we Lwowie.

W wydawnictwie Dnipro ma ukazać się powieść Ołesia Honczara „Sobór”. Jej pojawienie się w 1968 roku wywołało burzę ataków z racji krytycznego stosunku pisarza do niszczenia pomników ukraińskiej kultury i historii. Potępienie „Soboru” zapoczątkowało kampanię przeciwko ukraińskiej inteligencji, tzw. pokoleniu lat 60-tych oraz czystkę w partii (usunięcie grupy Petra Szełesta).

Wkrótce mają ukazać się także wiersze Wasyla Hołobrodka, którego prac nie publikowano od lat dwudziestu. Pozwolono również na krytykowanie w *Literaturnoj Ukrainie* carskich edyktów zakazujących używania języka ukraińskiego, a na łamach rosyjskiej *Literaturnoj Gazety* dotychczasowej polityki wydawniczej na Ukrainie.

W kwietniu i maju 1986 roku zmobilizowano do pracy w Czarnobylu 10 tys. Bałtów, w tym 4 tys. Estończyków. Do szwedzkiej centrali pomocy estońskim więźniom politycznym doszły informacje o rozstrzelaniu 12 Estończyków spośród 300-osobowej grupy estońskiej, która podjęła strajk protestujący przeciw warunkom pracy. Jedną z osób, która przekazała informacje o egzekucjach na Zachód był Gunnar Hagelberg, zmarły w niedługim czasie po powrocie z Czarnobyla na chorobę popromienną. Agencja TASS zaprzeczyła jakoby kogokolwiek zlikwidowano i doniosła, iż „rzekomo rozstrzelani” powrócili już do domu oraz stwierdzili, że czują się tak „jakby urodzili się po raz drugi”.

Rekruci posiadający krewnych lub przyjaciół za granicą nie są już wysyłani do Afganistanu.

W Komańczy dobiega końca wznoszenie nowej cerkwi greckokatolickiej. Dużej pomocy finansowej dostarczyli byli mieszkańcy wsi żyjący obecnie na Zachodzie.

Jak podała *Powściągliwość i Praca* (październik 1986) „Dekanat południowo-wschodni obrządku greckokatolickiego, zawiadywany przez księdza Mitrata z Przemyśla, obejmuje województwo przemyskie, krośnieńskie, nowosądeckie, krakowskie i część zamojskiego. W osiemnastu obiektach, przeważnie w dawnych cerkwiach unickich, które dziś służą Kościołowi rzymskokatolickiemu, odprowadzane są również nabożeństwa dla unitów. Na tych terenach posiadają oni dwie swoje — a jak mówi ksiądz Mitrata, samodzielne cerkwie — w Rzepedzi i od ubiegłego roku w Ustrzykach Dolnych. W niedalekiej przyszłości odzyskają prawdopodobnie cerkwie jarosławską. Czynią starania o świątynię w Łuczycach i Hównikach.

W obiegu niezależnym w Polsce ukazała się pierwsza pozycja „Biblioteki Dialogu”, czasopisma poświęconego problemom współpracy polsko-ukraińskiej. Jest to broszura Wołodymyra Mokrego pt.: „Polacy - Ukraińcy. Dzisiaj — Wczoraj — Jutro”.

W „Bibliotece WSN-u” ukazał się wybór artykułów Juliusza Mieroszewskiego pt.: „O federacji i programie wschodnim”. We wprowadzeniu stwierdzono „... koncepcja wschodnia Mieroszewskiego jest dzisiaj nie mniej twórcza i potrzebna niż gdy była ogłoszona. Jego szczególną zasługę stanowi sformułowanie przekonujących wytycznych programu polskiej polityki międzynarodowej, zwłaszcza polityki wobec narodów środkowej i wschodniej Europy”.

Wyzwolenie (organ Konfederacji Ruchu Politycznego „Wyzwolenia” i Organizacji „WSN”) oraz *Niepodległość* (organ Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość”) zamieściły odpowiedź Konferencji Ukraińskich Organizacji i Partii Politycznych na pismo „Do Braci Ukraińców, Litwinów i Białorusinów” proponujące uznanie obecnych granic za obowiązujące. W związku z uchyleniem się KUPPO od takiej decyzji Rada Polityczna LDPN stwierdziła: „... odnosimy wrażenie, że nasze koncepcje nie całkiem się pokrywają”, zaś w komentarzu redakcyjnym zastrzeżono, iż bez uznania obecnych granic „jakakolwiek współpraca teraz i w przyszłości będzie... wręcz niemożliwa”. Należy bowiem „już dziś usunąć załóżki przyszłego konfliktu jaki stanowi otwarta kwestia granic”. Propozycja uznania obecnych granic nie wynika ze słabości strony polskiej, a tym bardziej nie może być punktem wyjścia do ewentualnych targów granicznych ze strony naszych sąsiadów. Jest to jedynie maksimum naszej dobrej woli.

Stanowisko opozycji krajowej w kwestii granic spotkało się z pouczeniami p. Zygmunta Szkopiaka, ministra spraw zagranicznych Rządu RP w Londynie. W sprawozdaniu z działalności Rządu za rok 1986 stwierdził on: „Mielśmy okazję osobiście zwrócić uwagę przedstawicielom niektórych z tych ugrupowań (tj. opowiadających się za obecnymi granicami — J.D.) na szkodliwość takich wypowiedzi, podkreślając stanowisko RP, że wschodnią granicą Polski jest granica ustalona Traktatem Ryskim w 1921 roku”. Jak dotychczas jednak nie słychać by w Warszawie ktokolwiek przejął się światłymi radami z Londynu.

Jak doniósł *Głos Polski* z Toronto, w mieście tym odbyło się polsko-ukraińskie spotkanie na temat przyszłości stosunków między obu narodami. Inicjatorami konferencji były Polski Instytut w Montrealu i Północno-Amerykańskie Studium do Spraw Polskich. Prof. A. Kawczak stwierdził w swoim wystąpieniu, iż jeśli Polska powróci na ziemię zachodnioukraińskie, to albo tłumiąc zbrojny opór Ukraińców, albo w efekcie rokowań pokojowych, prowadzonych w przyjaznym duchu i poprzedzonych niezbędną pracą przygotowawczą. Czy spotkanie w Toronto miało być początkiem owej pracy? Nie wiemy. Nie wiemy też kto ze strony ukraińskiej zgodził się wysłuchiwać banaluków o powrocie emigrantów polskich z Kanady nad Zbrucz. Jednocześnie prelegent cieszył się, iż Ukraińcy nie robią z polskich ustępstw terytorialnych warunku rozmów, nieświadom, że dzieje się tak dlatego, ponieważ Kanadyjczycy ukraińskiego pochodzenia marzą o powrocie nad Wisłę, podobnie jak ich polscy odpowiednicy o wbijaniu słupów granicznych nad Zbruczem.

11 października 1986 roku Zjednoczenie Łemków Kanady wystosowało list do Prymasa Polski Józefa Glempa. Autorzy stwierdzają na wstępie:

„... wyciągamy prawicę uznania do tych wszystkich braci Polaków, którzy walczyli i walczą o to aby Polska była Polską. Wyciągamy przyjazną dłoń do tych z 'Solidarności', którzy rozumieją i mówią o tym głośno, że bez wolnej Ukrainy nie będzie wolnej Polski. Ale też... domagamy się restaurowania Ukraińskiej Bizantyńskiej Cerkwi w Polsce”, gdyż „jest rzeczą śmieszną tłumaczyć brak naszego biskupa tym, że zależy to absolutnie od komunistycznego rządu... skoro w... Czechosłowacji, Jugosławii i na Węgrzech — biskupi, jeden czy kilku są...”. Następnie autorzy skarżą się na postępowanie niektórych księży rzymskokatolickich: „Pan Bóg nie rozumie po ukraińsku” — twierdzi do dzisiaj ks. proboszcz Gunia z Hermanowic. „... Wy wierzyć w innych bogów” — stwierdził ks. proboszcz ze Smerkowic w czasie głośnego pogrzebu, wyłudzając w dalszej kolejności 6 tysięcy złotych za wpuszczenie do cerkwi i 4 tysiące za wpuszczenie na cmentarz naszego konduktu żałobnego. Na domiar złego nie ksiądz proboszcz był ukarany, a ks. Mychajłyszyn którego, na żądanie biskupa Ablewicza, przez wypisanie dekretu ręką ks. Prymasa, przeniesiono do Wrocławia. ... w Polanach k/Dukli, gdzie wierni wschodniego obrządku wyremontowali cerkiew za wielkie pieniądze, została ona w brutalny sposób im zabrana. ... niektórzy księża nie pozwalają uczyć dzieci w salkach katechetycznych, jak chociażby w Lubiniu... we wsi Stare Sioło k/Lubaczowa władze kościelne, chcąc budować kościół, wydały akt śmierci na starą zabytkową cerkiew z 1640 roku (Kosmy i Damjana)... w Przemyślu, gdzie już nie od rządu sprawa zależy, odprawiamy (msze) w kościele garnizonowym, a nie w biskupiej katedrze, którą zajmują Karmelici Bosi, którzy nie tylko wyrzucili ikonostas, ale noszą się z zamiarem zburzenia kopuły...”. Jednocześnie zaś „wielu ludziom do myślenia daje fakt stworzenia episkopatu prawosławnego w Sanoku, gdzie w czasie święceń do licznie zebranego narodu ukraińskiego przemawiano w języku rosyjskim”. Na koniec Łemkowie wzywają Prymasa Polski: „Zechciejcie jak brat podać nam nie kamień, a chleb”.

24 września 1986 roku w amerykańskiej sieci telewizyjnej PBC wyświetlono w bardzo popularnym programie „Gorąca linia” film o głodzie na Ukrainie pt. „Żniwa rozpacz”. Poprzednio trzy sieci telewizyjne Ameryki odmówiły jego pokazania jako „zbyt kontrowersyjnego”. „Żniwa rozpacz” została kandydatem do Oskara.

Nowym rektorem Ukraińskiego Wolnego Uniwersytetu w Monachium został wybrany prof. dr Bohdan Ciuciura z Kanady. Poprzednio przez 18 lat funkcję rektora pełnił prof. dr Wołodmyr Janiw.

We wrześniu 1986 roku zmarł w Filadelfii Awhustyn Wołoszyn, Marszałek Sejmu Ukrainy Karpackiej.

Konflikt między Metropolią Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej — Mstysławem, a Władką Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej — kardynałem Lubaczewskim został zażegnany i nie już nie stoi na przeszkodzie wspólnym obchodom tysiąclecia chrztu Rusi-Ukrainy.

W 1986 roku Iwan Kedryn-Rudnyckij, nestor dziennikarstwa ukraińskiego i przedwojenny współpracownik lwowskiego *Diła*, obchodził 90-lecie

i 65-lecie pracy zawodowej. Jubilat jest nadal czynnym dziennikarzem i pracuje dla ukraińskiej prasy amerykańskiej.

W pierwszej połowie listopada 1986 roku w Moskwie odbyła się konferencja pt.: „Nauki Norymbergi”. Przybyli na nią m.in. przedstawiciele sowietofilskich organizacji ukraińskich z Kanady. Uczestnicy konferencji domagali się wydania sądom sowieckim „przestępców wojennych — ukraińskich burżuazyjnych nacjonalistów”, wśród których wymieniano m.in. Mykołę Łebedia, w okresie okupacji faktycznego Prowidnyka OUN(b). Stwierdzono również, że „obecnie w USA żyje 10 tysięcy nazistowskich przestępców”, a „na całym świecie — 50 tysięcy”. Niektórzy prelegenci wyrazili też głębokie zaniepokojenie zjawiskiem głodu w USA i wyciągnęli na światło dzienne fakt, iż „w połowie stanów tego kraju istnieją już ogniska głodu”.

26 listopada 1986 roku rozpoczął się w jerozolimskim sądzie okręgowym proces Iwana Demianiuka, oskarżonego o wymordowanie w Treblince tysięcy Żydów. Demianiuk nadal zaprzecza jakoby był „Iwanem Groźnym”, odpowiedzialnym za te zbrodnie. W archiwach Yad Vashem w Izraelu przechowywane są zeznania trzech świadków twierdzących, że „Iwan Groźny” został zabity w czasie powstania w Treblince; według jednego ciosem noża w serce, a zgodnie z innym — deską. Niestety dwu świadków już nie żyje. Minister Spraw Wewnętrznych Izraela Awraham Szarir oświadczył, iż „kwestia tożsamości (I. Demianiuka) zostanie rozwiązana w początkowym stadium rozprawy”.

Demianiuka odwiedził w więzieniu Anatol Szczarański, który oświadczył, iż obaj są ofiarami KGB. Demianiuk został bowiem pozbawiony obywatelstwa amerykańskiego i 17 lutego 1986 roku deportowany do Izraela staraniem Office of Special Investigation, na podstawie dostarczonej przez KGB fotokopii karty identyfikacyjnej z fotografią Demianiuka z obozu szkoleniowego w Trawnikach. Zdaniem KGB Demianiuk zgubił ową kartę w latach 40-tych, a teraz udało się ją szczęśliwie odnaleźć.

W ciągu siedmiu lat swego istnienia OSI doprowadziło do pozbawienia obywatelstwa 19 Białych i Ukraińców, deportacji 9 oraz zagrożenia deportacją dalszych 14. W sprawie 600 osób przerwano śledztwo, zaś prowadzi się je nadal w 300 wypadkach. OSI z całą powagą traktuje sowieckie dokumenty dostarczane przez KGB oraz zeznania świadków składane na terenie ZSSR.

W Izraelu działa Towarzystwo Żydowsko-Ukraińskie, które wydaje własny *Biuletyn* w języku ukraińskim i rosyjskim. Członkiem Towarzystwa jest m.in. A. Szczarański.

W grudniu 1986 roku opublikowano na łamach *Ukraińskiego Słowa* (Paryż) list otwarty Wasyla Michalczuka do Szymona Wiesenthala. Autor listu przyznaje, że w przeszłości Żydzi doznawali ze strony Ukraińców wielu krzywd i padli ofiarami wielu przestępstw, ale nie może stanowić to przyczyny, dla której w poszukiwaniu zbrodniarzy wojennych ośrodki żydowskie będą opierały się na sowieckiej dokumentacji.

Na łamach ukraińskiej prasy emigracyjnej doszło znów do ostrego sporu między melnykowcami i banderowcami. Warto bliżej poznać zarzuty stawiane sobie przez obie strony, gdyż łatwiej przyjdzie wówczas zrozumieć antypolską kampanię prowadzoną przez OUN(b), o czym dalej.

Banderowcom zarzuca się, iż nigdy nie potępili bratobójczego terrorku z okresu wojny, walkę wyzwolenczą identyfikują tylko z działaniami własnymi i starają się prezentować je jako jej jedyny czynnik kierowniczy także obecnie, usiłują podporządkować sobie oba Kościoły, a instytucjom życia społecznego narzucić swą wolę. Jednocześnie banderowcy utożsamiając się z UPA, która miała przecież charakter ogólnonarodowy, przypisują sobie jej zasługi lecz odłączają się od odpowiedzialności za jej błędy. Każdego zaś, kto nie zgadza się z linią OUN(b) atakują nie jako przeciwnika OUN(b) lecz jako wroga narodu ukraińskiego.

Ze swej strony publicyści OUN(b) zarzucają swym adwersarzom przede wszystkim „polityczno-ideową kapitulację”, duchową demobilizację wywołaną infiltracją moskiewską i długim przebywaniem poza krajem oraz brak wyraźnych pozycji ideowych. Jako dowód przytaczają np. poparcie dla ukraińskiej grupy helsińskiej, która — ich zdaniem — walczyła jedynie o demokratyzację Sowietów, a nie o niepodległość Ukrainy; co gorsza używając metod legalnych podczas gdy skuteczne są jedynie metody rewolucyjne. Zdaniem banderowców obecny opór na Ukrainie istnieje tylko dzięki wyrastaniu z korzeni OUN-UPA; zresztą sowieckie ataki na samych banderowców najlepiej ukazują kto jest największym wrogiem komunizmu. Przykładem ideowej kapitulacji jest np. kreowanie na wielkiego pisarza nacjonalbolszewika Chwyłowego, który był po prostu renegatem i zdrajcą.

22 listopada 1986 roku odbyło się w Monachium staraniem Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego oraz Klubu Niezależnej Myśli Politycznej im. Juliusza Mieroszewskiego spotkanie z ks. prof. Iwanem Hryniochem na temat „Rozmowy polsko-ukraińskie podczas drugiej wojny światowej”.

Ukraińskie Słowo obszernie streściło artykuł J. Darskiego zamieszczony w *Kontaktach* pt.: „Towarzysze broni” o historii ukraińskich walk niepodległościowych i stosunkach polsko-ukraińskich na tym tle.

Miesięcznik *Patriarchat*, organ ukraińskiego ruchu patriarchalnego, opublikował w numerach za lipiec-sierpień i wrzesień materiały zamieszczone w polskim piśmie *Dialog* (patrz wyżej). Redakcja *Patriarchatu* ocenia, iż wśród Polaków powstał nowy duch „ze zdrowych podstaw chrześcijańskich — miłości” i stwierdza: „Nie możemy dodać do tego nic więcej jak tylko szczerze powitać i wyciągnąć naszą rękę”. Jednocześnie redakcja wyraża żal, iż A. Michnik wypowiedział się przeciw politycznemu sojuszowi Polaków i Ukraińców z uwagi na konieczność, jego zdaniem, nieantagonizowania Moskwy, co szkodziłoby Polakom z uwagi na wielkie perspektywy wiążące się z reformami Gorbaczowa. Jest to aluzja zapewne do artykułu A. Michnika opublikowanego w 38-mym numerze *Aneksu*.

„Niestety — podkreśla redakcja — wśród Ukraińców znajdują się ciągle ci, którzy z przekonaniem wierzą, iż z Polakami w ogóle nie warto rozmawiać, ponieważ to niczego nie da i nie można im ufać. Są to bezpodstawne uprzedzenia, gdyż nie przyjmują do wiadomości, iż człowiek ma prawo zmieniać swe poglądy, ma prawo do robienia błędów i ich poprawiania”. Przykładem krytykowanego przez *Patriarchat* stylu myślenia jest list skierowany do redakcji przez znanego na terenie Wielkiej Brytanii działacza OUN(b) W. Gockiego. Wyraża on oburzenie z powodu braku czujności redakcji *Patriarchatu*, a nawet posadza ją o samobójcze tendencje, których wyrazem jest przedrukowywanie artykułów z polskiego *Dialogu*.

Strażnik czystości ukraińskiego nacjonalizmu ostrzega bowiem: „Kiedy mamy do czynienia z wiecznym przeciwnikiem, który nagminnie narusza porozumienia i wykorzystuje każdą okazję, żeby przeszkadzać zarówno bezpośrednio jak też na polu międzynarodowym — to gdy wyciąga on do ciebie rękę z jakimś podarunkiem, nawet w najlepszym zamiarze, to mimo wszystko i tak nie można mieć do niego zaufania. Mimo woli bowiem nasuwa się podejrzliwa myśl: co się za tym kryje? Popularnie mówimy, iż jest to koń „trojański”. Gocki poszukuje dalej owego polskiego „trojańskiego konia” i oczywiście odnajduje go w fakcie niespodziewanego przekazania przez bp. Tokarczuka przed Bożym Narodzeniem 1985 roku na własność UCK pięciu cerkwi: w Jarosławiu, Pozdiazach, Wijsku, Ustrzykach i Komańczy oraz, co jest jeszcze bardziej podejrzane, oddanie w styczniu 1986 roku ojcu Majkowiczowi, księdzu grekokatolickiemu z Przemyśla, 26 obrazów z ikonostazów, kielicha, Ewangelii itp., złożonych w depozycie w parafii rzymskokatolickiej w Krasicy cellem uchronienia ich przed rabunkiem. Zdaniem Gockiego najlepiej świadczy to o niecznych zamiarach Polaków wobec Ukraińców i ukraińszerczości bp. Tokarczuka. „Kiedy w 1986 roku zatliła nadzieja powrotu do starych cerkwi, to ludzie wprost nie mogli uwierzyć, że to jest rzeczywistość. I dlatego każdemu przychodzi do głowy wątpliwość: „Czy nie jest to trojański koń wymyślony specjalnie by nas ostatecznie zniszczyć” (podkreślenie moje — J.D.).

Zdradziecka, gdyż idąca na lep polskich obiecanek, redakcja *Patriarchatu* odpowiedziała: „Możliwe, że autor (listu) widzi to, czego my nie jesteśmy zdolni dostrzec... Polacy wyrażają pragnienie nawiązania przyjacielskich stosunków polsko-ukraińskich. Czy w tym może skrywać się koń trojański? Szanowny autor nie dostrzega, że to nie jest na rękę Moskwie... Czy nie czas już zaprzestać śpiewania '...Lacham smert'...'. Próbuje też między sobą zwalczać ducha postawy, który po dziś dzień nie znalazł dla siebie usprawiedliwienia”.

Niestety, środowisko OUN(b) najlepiej czuje się ze wspomnianą pieśnią na ustach. List Gockiego stanowi jeden z wielu przykładów kampanii prowadzonej przez banderowców przeciwko Polakom, porozumieniu ukraińskopolskiemu i ugrupowaniom ukraińskim, opowiadającym się za naszą współpracą.

Na łamach *Szlachu Peremohy* („Droga Zwycięstwa”), oficjalnego organu OUN(b), dr W. Trembickij potępia polsko-ukraińskie spotkanie w Nowym Jorku, które miało miejsce z okazji wydania polskiego numeru *Sučasnosti* („Współczesność”). Jego zdaniem strona polska reprezentowana przez profesorów A. Kamińskiego i St. Barańczaka składała jedynie „taktyczne deklaracje”, a naprawdę chciałaby przywrócenia granicy ryskiej. Spotkanie było „nieudane i nieciekawe”, a wzięły w nim udział osoby, które nie zasługują na szacunek strony ukraińskiej. Obecnie — zdaniem Trembickiego — szowinizm polski jest gorszy niż przed 1939 rokiem, Ukraińcy w PRL są prześladowani i żyją w „swoim Soweto”, a odpowiedzialni za to są polscy intelektualści, którzy „milcząc chwałą ten stan”. Ponadto strona polska nie chce widzieć w Ukraińcach narodu państwowego itp., itd. Wprawdzie na sali były obecne „zdrowe siły ukraińskie”, ale właśnie one milczały ze strachu przed polskim terrorem. Na szczęście „strona ukraińska (czytaj: OUN(b) — J.D.) już od dawna ma uporządkowane przemyślenia na temat rzeczywistej wartości porozumienia polsko-ukraińskiego”. Trembickij dochodzi wreszcie do wniosku, iż polski świat intelektualny „w rozpaczliwie spowodowanej klęską 'Solidarności' chciałby ratować swoją sytuację próbując porozumieć się... z Ukraińcami za pomocą różnych spowiedzi za polskie przewiny, obietnicami dawno spłowiałych frazesów — Za naszą i waszą wolność... ale Ukraińcy pozostają czujni. Dowiadujemy się jeszcze o 295 tysięcznej „emigracji polskiej” na Ukrainie i „narodobójstwie w Polsce”, którego ofiarą padają Ukraińcy.

Ten sam styl myślenia reprezentuje też W. Łytwyn, który w *Szlachu Peremohy* przypomina 65-tą rocznicę Traktatu Ryskiego. Dowiadujemy się, że w czasie pochodu polsko-ukraińskiego na Kijów wojsko polskie grabiło, paliło i brutalnie traktowało ludność cywilną, w Kijowie aresztowało kapłanów prawosławnych, a przed wycofaniem się wysadzało budynki i rozstrzeliwało aresztowanych. Polacy nie pozwolili rozbudować armii ukraińskiej i na koniec podzieliли się z Moskwą Ukrainą-Chrytusem, jak żołnierze Piłata. Porozumienie z Polakami jest wprawdzie konieczne, ale „ukraińscy politycy i naukowcy powinni... przede wszystkim zachować swą narodową godność i nie ponizać się przed obcymi kając się za przejawy nieistniejących win narodu ukraińskiego. Nie mamy bowiem za co się kajać. Ukraińcy nigdy... nie krzywdzili ludności polskiej”.

Twierdzenie to Łytwyn powtarza jeszcze raz omawiając „Posłanie do narodów zniewolonych Europy Środkowo-Wschodniej” wystosowane przez niezależne środowiska Gdańska, Szczecina i Warszawy. Następnie publicysta OUN(b) zarzuca Polakom, iż nie współpracują na emigracji z Anty bolszewickim Blokiem Narodów, kierowanym przez OUN(b), który głosi, iż każdy naród ma prawo do swego państwa i terytorium etnograficznego. Z kalendara OUN(b) na rok 1987 dowiadujemy się zaś, iż „terytorium etnograficzne” Ukrainy sięga od Sanu do Kaukazu, co jak na banderowców stanowi i tak przejaw minimalizmu zważywszy, że drukowane przez nich mapy obejmują pół Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny.

Chór męski Ukraińców z Polski „Żurawli” powrócił do kraju po pełnym sukcesów tournée zagranicznym. Występy chóru spotkały się jednak z ostrą krytyką *Szlachu Peremohy*, gdyż zespół zaśpiewał także jedną pieśń polską, a na domiar złego wielu słuchaczy „bez żadnego umiaru” oklaskiwało to bezeceństwo zapominając „o pacyfikacji, Berezie Kartuskiej, Brygidkach...”. Tymczasem zaś Polacy „w stosunku (do Ukraińców) nie pozostają w tyle za swymi nauczycielami moskalami”. Tournée chóru, zdaniem recenzenta, było oczywiście sprytnie ukartowanym spiskiem polsko-moskiewskim by zmylić czujność OUN(b).

Sučasnist' nr 10/1986 zamieściła fragmenty „Dzienników” W. Gombrowicza oraz wiersze Jerzego Horodyńskiego. Wydawnictwo „Sučasnist” opublikowało ukraiński przekład „Zniewolonego umysłu” Cz. Miłosza.

Słowo Pidhajeczan nr 33/34 przdrukowało „w porządku informacyjnym” — jak stwierdziła redakcja — list „Polacy i Ukraińcy”, opublikowany w *Zeszytach Historycznych* nr 77.

Józef DARSKI

Kronika niemiecka

Krakowski kabaret *Piwnica pod Baranami* (kieruje Piotr Skrzynecki) występował m.in. w Monachium przed 500-osobową publicznością. ■ Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Grunwaldzkiego postanowiło zorganizować *Tydzień Grunwaldzki* (10-17 lipca br.). Kulminacyjnym punktem tygodnia

będzie „manifestacja patriotyczna” na polach Grunwaldu 15 lipca. Wielkie sumy przeznaczono już na różne przedsięwzięcia inwestycyjne w tym rejonie: w Stembarku zostanie wybudowany ośrodek informacyjno-muzealny i powstanie stacja harcerska dla młodzieży. Oczywiście wszystko z myślą o zbliżeniu polsko-niemieckim... ■ Bilans Urzędu Ochrony Konstytucji RFN za 1986 rok: wykryto pół tysiąca operacji szpiegowskich. Na pierwszym miejscu wywiad NRD, na drugim wywiad PRL; ogółem w 1986 roku wykryto 44 akcje szpiegowskie podopiecznych generałów Jaruzelskiego i Kiszczaka, jest to aż dwa razy więcej aniżeli w roku 1985. ■ Na Wezerze wodowano wielki dok o nośności 35 tys. ton, który, na zlecenie Gdańskiej Stocznii Remontowej, zbudowała zachodniemiecka stocznia MAN w Blexen. ■ Niezależny tygodnik warszawski *Wola*: „DRANG NACH OSTEN?” Od niepamiętnych czasów ruch statków zdążających przez płytką Zatokę Pomorską do Świnoujścia i Szczecina odbywał się specjalnie pogłębianym dla żeglugi torem wodnym. Wiosną ub. roku wypłynęły na tor pogłębiarki z portu w Świnoujściu, lecz... zostały usunięte przez straż graniczną NRD. Okazało się, że „bratni kraj”, nie wdając się w jakiegokolwiek negocjacje, jednostronnie powiększył swoje terytorium, zajmując przy okazji wspomniany wyżej tor wodny. Szczecińskie władze lokalne zaskoczone sytuacją wystosowały pismo do wicepremiera Gorywody z zapytaniem, co mają robić. Budowa nowego wyjścia na Bałtyk przekracza możliwości województwa, a ponadto trwać będzie kilka lat. Sprawa nabrała posmaku międzynarodowego skandalu, natychmiast wyciszonego w imię internacjonalizmu. Lokalnego posła na Sejm, który usiłował składać w tej sprawie interpelacje, zneutralizowano przekazując „temat” do sejmowej komisji spraw zagranicznych”. ■ W maju ub. roku został podpisany układ o współpracy kulturalnej RFN-NRD. W roku 1986 blisko 25 tys. obywateli wschodniemieckich otrzymało pozwolenie na stały wyjazd do Republiki Federalnej. Do RFN wyjechało też 2,5 tys. więźniów politycznych zgodnie z niepisaną procedurą, według której za zwolnienie każdego więźnia politycznego rząd boński wypłaca Pankow określoną sumę marek zachodniemieckich (ok. 50-60 tys. DM od głowy). ■ Opracowana przez Romana Karsta biografia Tomasza Manna — *Thomas Mann. Der deutsche Zwiespalt* (Tomasz Mann. Niemieckie rozdwojenie) — ukazała się nakładem monachijskiego wydawnictwa Heyne-Verlag. ■ W 1986 roku 26 tys. obywateli polskich narodowości niemieckiej pozostało na stałe w RFN. ■ Nowe polskie wagony sypialne (50 importowano z NRD) będą doczepiane do pociągów zagranicznych. Trzy wagony mają kursować do Akwizgranu (pięć razy w tygodniu), a ponadto w pociąg Warszawa-Monachium. *Euroexpress* do stolicy Bawarii uruchomiony zostanie dopiero w 1988 roku (wpierw mówiono o wiosnie br.). Specjaliści zachodniemieccy mają udzielić bezpłatnej pomocy PKP, żeby unowocześnić sieć i umożliwić jazdę z szybkością do 250 km na godzinę. LOT przewiduje więcej połączeń lotniczych na trasie Warszawa-Frankfurt n/Menem-Warszawa. ■ Wspólne przedsięwzięcia koprodukcyjne oraz wymianę programów telewizyjnych omówili w Moguncji przewodniczący Komitetu d/s Radia i TV — Janusz Roszkowski oraz przedstawiciele organizacji telewizyjnej ZDF (drugi program) z jej prezesem Dieterem Stolte. Zamierzenia te ujęte zostały w podpisanej umowie o współpracy. Podobną umowę *Telewizja Polska* zawarła w 1984 roku z siecią telewizyjną WDR (pierwszy program) w Kolonii. ■ Eksport polskich towarów do RFN przewyższa wywóz do Anglii, Francji i Włoch łącznie. 40 % importu wiąże się z zakupem części zamiennych, akcesoriów itp. do maszyn i urządzeń, wprowadzonych z tego rynku w latach 70-tych. W RFN działa 25 spółek mieszanych. Tą drogą dokonuje się 80 % eksportu z Polski. 1986 rok przyniósł regres — saldo dla PRL okazało się ujemne. Wartość eksportu spadła o 15 %. Główną przyczynę obniżenia wartości obrotów wzajemnych (5,9 mld DM w 1986 roku) stanowi spadek ceny wielu dostarczanych przez Polskę

surowców, one zaś przeważają w wywozie z Polski do RFN (na giełdach produkty te są notowane w dolarach). ■ W bież. roku *Liceum im. Marii Koszutskiej* w Poznaniu będzie gościł 12 uczniów jednego z gimnazjów hanowerskich. ■ W Berlinie Wschodnim podpisano wieloletnią umowę między rządami PRL i NRD o zorganizowanej wymianie dzieci i młodzieży w okresie wakacyjnym w latach 1987-1990. W tym roku granicę na Odrze przekroczą w obu kierunkach ponad 300 tys. przedstawicieli młodego pokolenia. ■ Roger Loewig, znany grafik, uchodzący z NRD, przekazał w darze Muzeum Narodowemu w Warszawie 51 rysunków, 85 litografii i 15 obrazów. Loewig jest zbulwersowany polityką kulturalną NRD: nie wolno urządzać wystaw jego prac, szukanowany jest stale na granicy niemieckoniemieckiej. Loewig twierdzi, że swoje prace sprzedawał w Polsce już przed 20-tu laty, w RFN nie mógł znaleźć odpowiedniego mecenasa, ale — przyznaje — katalog wystawianych obecnie w Warszawie prac został sfinansowany przez „osoby prywatne z Niemiec Zachodnich”. ■ Przeciętny roczny dochód byłych obywateli CSSR jest o 20 % wyższy od przeciętnego dochodu obywateli zachodniemieckich, a bezrobocie wśród emigrantów czeskich wynosi tylko 3,5 %. Integracja czechosłowackich uchodźców przebiega bez problemów. Większość z nich chętniej czyta gazety i czasopisma w języku niemieckim niż w języku ojczystym. Liczba pełnoletnich emigrantów na terenie niemieckiego obszaru językowego szacowana jest na ok. 12 tys. ■ We frankfurckim wydawnictwie *Suhrkamp* wyszedł zbiór wierszy Wisławy Szymborskiej — *Hundert Freunden (Stu przyjaciół)*. Wydawcą i tłumaczem jest Karl Dedecius, dyrektor *Instytutu Literatury Polskiej (Deutsches Polen-Institut)* w Darsztacie. Tomik przedmową opatrzyła Elisabeth Borhers, a postłowie napisał Jerzy Kwiatkowski. ■ NRD zwróciła Holandii 33 obrazy XV- i XVI-wiecznych mistrzów, m.in. dzieła Albrechta Dürera, zrabowane w czasie wojny w Rotterdamie przez niemieckich okupantów. ■ W dziewięciu warszawskich ośrodkach KŚP „Oświata” i „Lingwista” można pobierać naukę języka niemieckiego metodą laboratoryjną. ■ Uniwersytet w Moguncji powołuje do życia katedrę polonistyki (pierwszą w RFN). Dotąd na zachodniemieckich wszechnicach polonistyka miała znaczenie drugorzędne, prym wodzi nadal rusycystyka. W związku z nową inicjatywą ks. dr Bonifacy Miązek (Wiedeń) wygłosił w Moguncji odczyt o życiu i twórczości Władysława Reymonta. ■ Około tysiąca pracowników zatrudnia centrala pocztowa w Hanowerze, przez którą przechodzą wszystkie paczki wysyłane z terenu RFN do Polski. W 1982 roku (wtedy paczki zwolnione były z normalnych opłat) — rekord wynosił 53 tys. paczek wysłanych w ciągu jednego dnia. Obecnie taka ilość paczek przechodzi przez ten urząd w ciągu jednego miesiąca. ■ Nakładem *Carl Hanser Verlag* w Monachium ukazał się zbiór fraszek, aforyzmów i nowelek Stanisława Jerzego Leca. Tomik wydano staraniem *Instytutu Literatury Polskiej* w Darsztacie.

Andrzej J. CHILECKI

Sprawy i troski

Włosi a wizyta gen. Jaruzelskiego

O wizycie generała Jaruzelskiego we Włoszech mówiło się już wiosną 1986 roku, ale premier Craxi uzależniał ją od amnestii dla więźniów politycznych w PRL. Po amnestii, gdy ustalono już termin wizyty, wszystkie trzy włoskie centrale związków zawodowych zdecydowały wykorzystać tę okazję do zmanifestowania poparcia dla „Solidarności”. Na kilka dni przed przyjazdem generała sekretarze generalni CGIL — Antonio Pizzinato, CISL — Franco Marini oraz UIL — Giorgio Benvenuto przedstawili premierowi Craxiemu podstawowe cele obecnej walki NSZZ „Solidarność” i wyrazili całkowite poparcie włoskich związkowców dla „Solidarności”, prosząc, aby premier uwzględnił to stanowisko w swoich rozmowach z generałem Jaruzelskim. Równocześnie zwrócili się do strony polskiej o przyjęcie ich przez Jaruzelskiego, wobec którego chcą wystąpić jako rzecznicy NSZZ „Solidarność”, ponieważ w Polsce generał z „Solidarnością” nie rozmawia. W odpowiedzi pułkownik Górnicki zarzucił włoskim związkom zawodowym świadome fałszowanie obrazu sytuacji w Polsce, pouczył je, czym powinny się zająć i wyjaśnił, że generał Jaruzelski może się we Włoszech spotkać z każdym, ale nie ze związkami. Odmowę wkrótce jednak wycofano pod naciskiem rządu włoskiego oraz po interwencji... Włoskiej Partii Komunistycznej, której sekretarz generalny, Natta, oświadczył, że „skoro generał Jaruzelski nie ma czasu dla włoskich związkowców, to Wł.P.K. nie będzie miała czasu dla generała Jaruzelskiego”.

12 stycznia, w dniu rozpoczęcia wizyty, CGIL-CISL-UIL zorganizowały dla NSZZ „Solidarność” konferencję prasową, na której wystąpili Jerzy Milewski, kierownik Biura zagranicznego „Solidarności” oraz współpracownicy Biura w Rzymie.

14 stycznia odbyła się ponad dwugodzinna rozmowa przywódców włoskich związków zawodowych z generałem Jaruzelskim. Ponieważ spotkanie to zostało uzgodnione i z Biurem zagranicznym „Solidarności” i z Lechem Wałęsą, do którego specjalnie

w tym celu pojechał działacz UIL, Stefano Bellini, sekretarze generalni CGIL, CISL i UIL wystąpili w imieniu własnym i swoich organizacji oraz w imieniu NSZZ „Solidarność” i osobiście przewodniczącego tego związku. W toku spotkania położyli szczególny nacisk na potrzebę przywrócenia pluralizmu związkowego w Polsce, poczynając od szczybla zakładów pracy, zgodnie z konwencjami MOP, ratyfikowanymi przez PRL. Domagali się również położenia kresu wszelkim formom dyskryminacji pracowników, którzy nie chcą należeć do neo-związków oraz objęcia amnestią wszystkich pozostałych jeszcze więźniów politycznych. Pizzinato, Mariani i Benvenuto wyrazili ponadto głębokie zaniepokojenie przygotowywanymi w PRL zmianami w zakresie prawodawstwa pracy i poinformowali dziennikarzy o odrzuceniu zaproszenia generała Jaruzelskiego do złożenia wizyty w PRL.

11 stycznia sześciu członków Włoskiej Partii Radykalnej (w tym dwóch posłów do Parlamentu Europejskiego i jeden do włoskiego) demonstrowało w Warszawie na Starówce. Zanim ich zatrzymano i wydalono z Polski, zdążyli rozdać ponad tysiąc ulotek wyrażających poparcie dla „Solidarności” i protest przeciwko wizycie generała. Partia Radykalna zorganizowała też demonstrację w Rzymie i z jej powodu samochód generała musiał wjechać od tyłu do włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ze swej strony uczestnicy zjazdu Włoskiej Partii Socjaldemokratycznej także dali wyraz sympatii i poparcia dla „Solidarności”. 12 stycznia Jerzy Milewski i Tadeusz Konopka przekazali pozdrowienia od zaproszonego na ten zjazd Lecha Wałęsy. Przyjęto je ogromną owacją, a gdy ucichła, 600 delegatów zapaliło świeczki na znak solidarności z „Solidarnością”.

Włoskie środki przekazu poświęciły w czasie trwania wizyty generała Jaruzelskiego wiele miejsca „Solidarności”, przypominając okoliczności jej powstania, okres działalności legalnej i obecną aktywność związku. W pierwszym dniu wizyty TV nadała okolicznościowe wywiady z doradcami „Solidarności” w Polsce, z doradcą Biura brukselskiego, Krzysztofem Pomianem i z przewodniczącym Związku, Lechem Wałęsą. Wałęsa wyraził przekonanie, że Włosi prawidłowo zareagują na przyjazd generała Jaruzelskiego i z góry serdecznie za to podziękował. — Było za co.

Joanna PILARSKA

Polski Nowy Jork na ziemi i w chmurach

Na pytanie o przejawy polskiego życia kulturalnego w Nowym Jorku usłyszałem na początek takie wypowiedzi: „To jest jeszcze

jakieś życie kulturalne?", albo „Może coś się dzieje, ale nic mi o tym nie wiadomo” i próby diagnozy: „Moim zdaniem, Nowy Jork wyraźnie nie służy Polakom, bo proszę, Koreańczycy ledwie przyjechali, a już wydają kilkanaście gazet w swoim języku”, albo: „Uważam że w Ameryce, a szczególnie w Nowym Jorku, żyjemy już w epoce postemigracyjnej. Taki Paryż należy do starego porządku, tam się zachowały ośrodki grawitacji, historyczna ciągłość. Tu ta więź rozluźnia się bardzo szybko pod naporem rzeczywistości”.

Przytoczone powyżej opinie nie pretendują do miana sondażu, są wyrazem spontanicznych reakcji Polaków różnych pokoleń. I choć sporo w tych głosach racji, to jednak jakieś formy zinstytucjonalizowanego życia kulturalnego w Nowym Jorku istnieją, nawet jeśli w rozrzedzeniu. Prawda, jak zwykle, leży pośrodku.

Największym ciosem była roczna bezdomność Polskiego Instytutu Naukowego, od czterdziestu z górą lat placówki myśli polskiej, miejsca spotkań i dyskusji. Sprawa jest ogólnie znana i przypomnę w tym miejscu kilka podstawowych faktów: córki filantropii i przemysłowca Alfreda Jurzykowskiego, wykorzystując niejasności prawno-spadkowe, postanowiły sprzedać zabytową kamieniczkę w sercu Manhattanu, będącą siedzibą PIN oraz Fundacji Jurzykowskiego. Instytut otrzymał dwumiesięczne wypowiedzenie. Wyprowadzka nastąpiła do nikąd, bo w tak krótkim czasie znalezienie nowego lokalu było niemożliwością, a nadto nie było na to pieniędzy, bo Fundacja Jurzykowskiego zaoferowała zrazu PIN-owi po sto tysięcy dolarów rocznie przez cztery lata. Na tym jej pomoc finansowa miała się zakończyć. Gdyby te warunki przyjęto, Instytut przestałby istnieć z braku siedziby. W Nowym Jorku czynsze nawet za lokale biurowe są obecnie zawrotne, a przecież PIN nie jest urzędem, prowadzi działalność publiczną i oświatową. Może gdyby Instytut bronił się wielkim głosem, uruchomił wszelkie możliwe naciski i poparcia, nie doszłoby do eksmisji — mówi jedna z indagowanych przeze mnie osób. Bo kamienica została ostatecznie sprzedana za 2 mln dolarów, a nowa siedziba PIN, przy 208 E. 30th Street, kosztowała niewiele mniej — 1 mln 300 tys. dolarów; po długich pertraktacjach Fundacja Jurzykowskiego przystała w końcu na wydatkowanie miliona dolarów na ten cel. Gdyby jednak jakimś cudem udało się kupić dom za mniejszą sumę, PIN nie zyskałby ani centa na tej transakcji. Nadto Fundacja pokrywa koszty ponad rocznego składowania archiwów i biblioteki PIN w magazynach na Brooklynie, co pochłania niebagatelną sumę ok. 7 tys. dolarów kwartalnie. Dodajmy do tego koszty przeprowadzki — ok. 50 tysięcy dolarów. W rezultacie zysk córek Jurzykowskiego na tym interesie nie jest aż tak znaczny, a straty, jakie poniósł PIN, tylko po części da się przełożyć na dolary. Przez rok instytucja praktycznie zawiesiła działalność, a jej ok. 20-osobowy personel (w lwiej części pracujący honorowo) gnieździł się w dawnym pokoju bibliotecznym Fundacji Kościuszkowskiej, wdzięczny gospodarzom za udzielenie schronienia. Szukano gwałtownie domu, lecz żaden zasługujący na to miano nie był do kupienia

za sumę poniżej miliona dolarów. *Nowy Dziennik* zgłosił zatem propozycję, aby przenieść siedzibę Instytutu do znacznego skłupiska Polonii w dzielnicy Greenpoint w Brooklynie, ale większość członków zarządu doszła do wniosku, że wówczas PIN spadnie do roli lokalnego klubu polskiego, a chodzi o to, aby zachować status placówki centralnej, także z uwagi na kontakty ze światem akademickim. Takie rozwiązanie zapewniłoby nabycie obszernej siedziby, ale w Nowym Jorku liczy się także adres i położenie w pobliżu innych placówek kulturalno-naukowych.

W rezultacie Polacy z Greenpoint poczuli się dotknięci odmową i zapowiedzieli, że nie będą brali udziału w zbiórce funduszy na nową siedzibę, trwającej od marca 1986 roku. Z pomocą PIN-owi pospieszył natomiast m.in. Zbigniew Brzeziński, wysłuszając odczyt publiczny, z którego wpływy (ok. 20 tys. dolarów) przekazał na nowo powstały fundusz. Skarbnik PIN, Witold Sulimirski, zaapelował do członków o dobrowolne opodatkowanie się na ten cel w wysokości 500 dolarów od osoby, co też przyniosło pewne rezultaty. Po przeprowadzce do nowej siedziby PIN ma więc do spłacenia 300 tysięcy dolarów, nie licząc procentów. Jednakże pod sam koniec roku wpływy ze zbiórki zaczęły napawać ostrożnym optymizmem. Od połowy listopada do końca grudnia wpłynęło ok. 20 tysięcy dolarów, może nawet więcej, bo nie nadążano z liczeniem. Nie wiadomo jednak, czy Polacy (i Amerykanie) równie hojnie poprą PIN w nowym roku, bowiem zmieniły się przepisy finansowe i tego typu dotacji nie będzie już można automatycznie odliczać od podatków. Zarząd nie wyklucza więc konieczności podjęcia części nowego lokalu np. przychodni lekarskiej w celu szybszej spłaty kredytów. Wtedy jednak wzięto podatek od nieruchomości, nie wiadomo więc, czy będzie to opłacalne.

Nowy dom nie jest tak okazały jak dawny budynek, elegantski *townhouse* z 1880 roku, ale prezentuje się nieźle, mimo że elewacji przydałby się świeży tynk. Jest jednak niedostatecznie przygotowany do nowych funkcji. Po ledwie co ukończonym remoncie generalnym miał służyć jako dom mieszkalny i składa się z dwu połączonych ze sobą lokali: dwu- i trzypoziomowego, z niewielkim ogrodem z tyłu i tarasem na górnej kondygnacji. „Zrobimy w ogrodzie kawiarnię literacką i nazwiemy ją 'Olean-dry'” — śmieje się prezes, prof. Feliks Gross. Nie bardzo natomiast wiadomo, jak można by wykorzystać kilka luksusowo wyposażonych łazienek wykładanych marmurem i kuchni z pełnym rynsztunkiem — mikrofalowe piecze, różna, lodówki. Wszystkie te urządzenia znacznie podwyższyły koszt domu, a nowym lokatorem są na nic. Powierzchnia odpowiada mniej więcej metrażowi poprzedniej siedziby, ale piętra są sporo niższe. I w związku z tym wyłania się problem zasadniczy: w nowym lokalu PIN-u nie będzie można pomieścić księgozbioru liczącego (już po redukcji w czasie przeprowadzki) ponad 20 tysięcy woluminów, tym bardziej, że sporo miejsca zajmą archiwa. Trudno sobie wyobrazić działalność placówki naukowej w stanie permanentnej separacji z biblioteką. Mówi się więc o ściągnięciu z magazynów

księgozbioru podręcznego i o umieszczeniu pozostałych książek w gościnnym lokalu ośrodka polskiego w Clark w stanie New Jersey, albo w bibliotece uniwersyteckiej Hunter College w Manhattanie, albo w Greenpoint. Są to jednak paliatywy. Żadne z tych wyjść nie gwarantuje dostępu do książek i czasopism na miejscu.

Na razie jest to jedna z tych spraw, które wymagają poważnego zastanowienia. Gdy odwiedziłam nową siedzibę PIN w ostatnich dniach grudnia, życie koncentrowało się w dwu pokojach na parterze, a pozostałe świeciły jeszcze pustkami. Ewentualna sala odczytowa, nawet nie umeblowana, nie była większa od salonu — nada się tylko na kameralne imprezy. W tym chaosie profesor Gross nie stracił typowego dla siebie optymizmu. Otwarcie siedziby — zapowiedział — nastąpi nie prędzej niż za trzy-cztery miesiące. „Uderzenie w PIN miało jeden pozytywny aspekt: okazało się, jak liczna grupa ludzi stoi za Instytutem i popiera jego działalność. To jest ośrodek nie skłóconych ze sobą ludzi i dlatego nasz apel o zbiórkę na nowy dom wywołał tak żywy odzew. Uważam za cud, że uratowaliśmy się. Były momenty, gdy już wątpiłem, że uda się ocalić Instytut. Nie chodzi tylko o lokal, ale i dalszą egzystencję dużej instytucji opartej na subwencjach różnych fundacji, liczącej 1.200 członków”.

Najbliższe plany? „Rozszerzyć misję Instytutu i przyciągnąć w nowej siedzibie inne stowarzyszenia polskie, jak *Polonia Technica*, Związek Prawników Polskich, Związek Nauczycieli. Lokal jest mały, więc jedno biurko trzeba będzie dzielić, ale przecież nie o urzędowanie chodzi, lecz o wspólną działalność kulturalną, za którą będzie odpowiedzialna większa liczba ludzi. Miniony rok trzeba było poświęcić na ratowanie PIN-u, ale mimo to założyliśmy niedawno Towarzystwo Przyjaciół Uniwersytetu Jagiellońskiego i nadal prowadzimy akcję pomocy dla placówek naukowych w Polsce. Udzielamy też rocznie 5-6 skromnych stypendiów naukowcom polskim, pozwalających na ok. 6-tygodniową pracę w naszym archiwum. Na razie ten rodzaj działalności jest zawieszony, bo archiwa nadal tkwią w przechowalni”.

Nowe, poszerzone wydanie katalogu archiwów PIN, włączonych niedawno do systemu Archiwum Narodowego Stanów Zjednoczonych, opracowuje obecnie profesor George Simor. Informując mnie o tym, profesor Gross przechodzi na swój ulubiony temat: publikacje naukowe. Z zapałem opowiada o planowanej serii książek poświęconych filozofii politycznej emigracji, z którym to projektem nosił się od bez mała czterdziestu lat. Chodzi o wybór artykułów z pism emigracyjnych wydawanych w Anglii, Francji i USA. Dwa tomy z tej serii, oparte głównie na archiwach PIN i Instytutu Piłsudskiego, znajdują się już w druku, dzięki dotacji z National Endowment for Democracy. Tom pierwszy, w opracowaniu Feliksa Grossa i Zygmunta Tkocza z Danii, nosi tytuł „Polska lewica demokratyczna na emigracji” i jest antologią publicystyki, głównie socjalistów (m.in. Zygmunt Zaręba, Adam Ciołkosz), a następny poświęcony jest myśli demokracji chrześcijańskiej. Profesor Gross planuje też ogłoszenie

obszernej dokumentacji historii federalizmu polskiego w oparciu o materiały źródłowe znajdujące się w archiwum PIN i innych placówek naukowych.

The Polish Review, kwartalnik Instytutu, też ucierpiał na przeprowadzce. Dopiero w grudniu ukazał się zbiorczy zeszyt 2/3 za 1986 rok. Jego wieloletni redaktor naczelny, prof. Ludwik Krzyżanowski, umarł w marcu ub. roku. Z przeprowadzką do nowego domu zbiegła się w czasie nominacja nowego naczelnego, prof. Stanisława Barańczaka, od dwu lat członka Rady Redakcyjnej. Sekretarz redakcji Krystyna Olsz, od piętnastu lat związana z pismem, wiele sobie obiecuje po tej współpracy. Na pierwszym zebraniu kolegium w nowym składzie dokooptowano też dwu nowych członków Rady: prof. prof. Aleksandra Schenkera i Piotra Wandyczę z Uniwersytetu Yale. Ale już przedtem powiały nowe wiatry, gdy redakcja zrobiła remanent w szufladach i zwróciła niektórym autorom teksty, rozglądając się równocześnie za nowymi współpracownikami. Redagowanie pisma, którego członkowie kolegium i Rady rozsiani są po całej Ameryce, wymaga specyficznej organizacji pracy; wiele czasu pochłania komunikacja i korespondencja.

W związku z przejściem przez Barańczaka nowych obowiązków przeprowadziłam z nim krótki wywiad telefoniczny, z którego wynika, że:

— Nie należy spodziewać się zasadniczej zmiany profilu *Polish Review*, raczej — podniesienia poziomu i surowszych kryteriów doboru materiałów. Bazą tematyczną pozostaje humanistyka i nauki społeczne dotyczące Polski;

— Dotychczas pismo zacieśniało się za bardzo na życiu polsko-amerykańskim. Obecnie większy nacisk położę się na zapraszanie do współpracy autorów z Polski (warunek — dobry angielski). Jego wadą była zaściankowość i tradycjonalność, krótko mówiąc, częściej Sienkiewicz niż Gombrowicz. Należy dążyć do uwspółcześnienia tematyki;

— Niektóre numery będą w przyszłości półmonograficzne. I tak w numerze 4-tym minionego roku znajduje się blok esejów poświęconych Miłoszowi, a w następnym — Zbigniewowi Herbertowi.

W Fundacji Kościuszkowskiej trwa natomiast od czerwca *interregnum*, odkąd prof. Wojciechowi Juszczałowowi podziękowano po siedmiu latach pracy za pełnienie obowiązków prezesa. Różne krążą pogłoski na temat powodów tej decyzji wobec wychowanka prof. Tymona Terleckiego. Latem powołano 10-osobową komisję pod przewodnictwem Michaela Sendzimira, która ma rozpatrzyć podania na dwa wakujące etaty: prezesa FK i jego asystenta. W 10-punktowej liście wymogów podkreślono, że przyszły prezes, jednostka rzutka, wykształcona i dwujęzyczna, ma także być zdolny do pracy „ze środowiskiem polsko-amerykańskim, z przedstawicielami rządu polskiego i odpowiednimi urzędnikami Stanów Zjednoczonych”. Wedle owego dekalogu, funkcja prezesa FK polega przede wszystkim na zbieraniu funduszy, a więc jest on bardziej naczelnym kwestarzem i dyplomatą aniżeli ani-

matorem życia kulturalnego. W okresie przejściowym obowiązki *assistant executive director* pełni Mary van Starrex, która za prezesury Eugeniusza Kusielewicza była jego asystentką. W kwietniu ma dojść do rozstrzygnięcia rozpisane konkursu i moi do brze poinformowani rozmówcy twierdzą, że już mniej więcej wiadomo, jaki jest układ sił. Tymczasem do komisji wpłynęło podobno ok. dwudziestu podań. O prezesurę FK ubiega się m.in. Jacek Gałązka, syn legionisty, weteran drugiej wojny światowej wykształcony w Szkocji, z zawodu wydawca, do niedawna dyrektor prestiżowej firmy Charles Scribners' & Sons, ostatnio na przedwczesnej emeryturze. Spośród innych kandydatów wymienia się także prof. Stanisława Blejwasa, historyka z uniwersytetu w Connecticut.

Jedyny Instytut Piłsudskiego nie przeżył w minionym roku większych wstrząsów. Jego *spiritus movens*, profesor Wacław Jędrzejewicz, wykazuje nadal nieślabnącą aktywność intelektualną. Pokazuje mi świeżo wydany życiorys Józefa Piłsudskiego w przekładzie na francuski, wydany ostatnio przez L'Age d'Homme i dodaje, że jest to pierwsza pełna biografia Marszałka w tym języku. „Były inne, dobre, ale pisane jeszcze przed jego śmiercią, bo Francuzi mieli długo niechętny stosunek do Piłsudskiego, uważali go za dyktatora”. Ten „Życiorys” stał się *bestseller'em* po polsku i jego autor jest najbardziej zadowolony z tego, że aż trzy wydania ukazały się w wydawnictwach podziemnych. Wacław Jędrzejewicz skończył właśnie pracę nad polską wersją wspomnień i dokumentów Juliusza Łukasiewicza, przygotowywaną wspólnie z Henrykiem Bułhakim z Biblioteki Narodowej. W porównaniu z wersją angielską, wydaną w 1970 roku, tom będzie rozszerzony o ponad 100 stron nowo odnalezionych materiałów źródłowych.

Nowe publikacje, archiwa, współpraca naukowa, a jakie są formy bezpośrednich kontaktów Instytutu z tutejszym środowiskiem? — pytam prezesa Stanisława Jordanowskiego. „Raz w miesiącu odbywają się zamknięte wykłady dla młodych — zamknięte ze względu na szczupłość lokalu, a niekiedy także na osobę prelegenta, który — założmy — przyjechał z Polski i chce wziąć udział w autentycznej dyskusji na temat historii najnowszej. Na razie nie planujemy dłuższej serii wykładów, takiej jak 'Polska w drugiej wojnie światowej' zorganizowanej tu ze znaczącym rozmachem. Nadal mamy żywe kontakty z naukowcami korzystającymi z naszego archiwum i zabiegamy o fundusze, bo po niedawnych podwyżkach sam czynsz pochłania przeszło połowę rocznego budżetu”.

Stratą dla życia polskiego w Nowym Jorku jest natomiast zamknięcie niewielkiej księgarni w dolnym Manhattanie (powstała już nowa, ale w Greenpoint) i zawieszenie *Tygodnika nowojorskiego*, którego redaktorka, Julita Michalska, popadła w tarapaty finansowe z powodu niewystarczającej liczby prenumerat w stosunku do kosztów produkcji i liczy teraz na dalsze wydawanie pisma w formie gazety dźwiękowej, na kasetach — dziesięć razy rocznie. Niekiedy dochodzi też do nowych inicjatyw.

W listopadzie ub. roku odbyła się na przykład wystawa prac plastyków zrzeszonych w nowopowstałym Polish American Artist Society. Pozostał po niej świetny plakat Rafała Olbińskiego: ludzie wspinający się po długich drabinach do nieba zabudowanego nowojorskimi drapaczami.

Na razie w tym niebie należy też szukać przyszłego Domu Polskiego, który ma stanąć na miejscu dawnego Domu Żołnierza przy Irving Place w Manhattanie. Ale coś z tym odkładanym od lat projektem zaczyna się dziać. Na grudniowym zebraniu komendantów placówek SWAP postanowiono większością głosów podjąć się tego wysiłku. Otrzymalibyśmy ważny kompleks kulturalno-społeczny, sprzyjający scaleniu rozczłonkowanej wspólnoty polskiej w Nowym Jorku.

Renata GORCZYŃSKA

Nowy Jork, styczeń 1987

Czy tylko krzywe spojrzenie?

Ma oczywiście rację Adam Michnik gdy powiada, iż choć polonocentryzm jest zrozumiałą cechą polskiej emigracji, to polonocentryzm *przesadny* wiedzie ku zawężaniu perspektywy, ku partykularyzmowi zaścianka¹. Ilustruje to Michnik przykładem naszego piśmiennictwa emigracyjnego, które koncentruje się przede wszystkim na tematyce polskiej, z pominięciem innych krajów znajdujących się w podobnych warunkach. Nie rozwija on jednak tematu polonocentryzmu, a w szczególności nie sygnalizuje niebezpieczeństw, jakie wiąże się z taką postawą.

Ten nasz przesadny polonocentryzm można pokrótce określić jako takie *spojrzenie na świat*, w którym Polska i sprawy polskie stanowią główny, jedyny niemal, centralny punkt odniesienia. Postawa polonocentryzmu nie ogranicza się bynajmniej do emigracji. Wprost przeciwnie — charakteryzuje on ogromną większość Polaków. O ile jednak specyficzne warunki Polski i jej problemy usprawiedliwiają taką postawę ludzi w Kraju, obserwując ją również wśród Polaków rozsianych po całym świecie dojsz musimy do bardziej ogólnych i bynajmniej niewesołych wniosków.

To zrozumiałe, że chyba wszyscy Polacy patrzą na sprawy współczesnego świata w kategoriach konfliktu Wschód — Zachód, lub totalitaryzm — demokracja. Perspektywa ta wynika z naszych doświadczeń. Jednakże, choć jest ona niewątpliwie trafna i prawdopodobnie centralna, nie stanowi bynajmniej jedynej osi, wzdłuż której rozgrywają się wypadki i losy świata. Nic tak

1. „Kilka uwag o polityce Zachodu i roli emigracji”, *Aneks*, nr 39/1985.

bardzo nie ilustruje naszego przesadnego polonocentryzmu jak zupełna ignorancja i całkowity niemal brak zainteresowania sprawami Trzeciego Świata. Mimo wielu tysięcy Polaków żyjących na stałe lub przebywających czasowo w krajach Afryki, Azji czy Ameryki Środkowej i Południowej, sprawy tzw. krajów rozwijających się niemal nigdy nie są wśród Polaków przedmiotem rozmów czy dyskusji, rzadko też bywają tematem artykułów czy opracowań².

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, iż obalenie dyktatury Markosa na Filipinach, jedno z najważniejszych wydarzeń ubiegłego roku, nie doczekało się dotąd próby analizy w żadnym z naszych czołowych periodyków na emigracji. I to pomimo specyficznej roli Prymasa kardynała Sin, a także zasady *non-violence* charakteryzującej wypadki na Filipinach. A przecież te dwa elementy narzucają nawet pewne analogie do sytuacji polskiej. Co więcej: w wypowiedziach niektórych młodych polskich emigrantów przewija się nawet... sympatia dla Markosa... jako gwaranta antykomunistycznej i proamerykańskiej postawy. Szersze tło wypadków na Filipinach widocznie Polaków nie interesuje.

W konflikcie afgańskim sympatia nasza jest oczywiście po stronie bohaterskich partyzantów. Ale do tego wydaje się sprzeczadzać nasze zainteresowanie problemami narodu afgańskiego. Nie przypominam sobie opracowań czy artykułów na temat problemów społecznych Afganistanu czy też roli wiary religijnej w życiu tego biednego narodu. W roku 1983 brałem natomiast udział w seminarium na temat Polski na Uniwersytecie Narodowym w Canberze, na którym ciekawy referat wygłosił Afgańczyk dr Amin Saikal. Przeprowadził on próbę porównania siły oporu wobec komunizmu w Polsce i w Afganistanie, uwzględniając w obu krajach duże przywiązanie do religii.

W „Listach z Iraku”³ na przykład autor w ogóle nie daje żadnego tła, nie wspomina o żadnych problemach tego kraju. To prawda, że zajmuje się on opisem warunków polskich ekip technicznych, wyjeżdżających na okresowe kontrakty z PRL, lecz aż się tu prosi o kilka zdań na temat miejscowego otoczenia, ludzi i warunków, w których pracują ci Polacy. Nasz czołowy dziennikarz na Zachodzie, doskonały Leopold Unger, pisząc jak zwykle o sprawach Wschód-Zachód i o dylematach Reagana, określa trudności wyeliminowania *ogniska zarazy*, jakie dla interesów amerykańskich stanowi Nikaragua, jako jeden z problemów obecnego prezydenta USA⁴. I chociaż Nikaragua nie stanowiła tematu artykułu Ungera, już samo skwitowanie sytuacji tego kraju w jej historycznym i bieżącym kontekście w krótkich słowach „ognisko zarazy” jest chyba jakoś charakterystyczne dla naszego polskiego *désintéressement* jeśli idzie o sprawy Trzeciego Świata.

2. Artykuły w rodzaju „Ameryka Łacińska” Macieja Feldhuzena (*Kultura* nr 6/453), czy „Afryka Południowa” Zbigniewa Byrskiego (*Kultura* nr 7/454-8/455) stanowią nieliczne wyjątki.

3. *Kultura* nr 12/459, 1985.

4. „Praszczał Danilów” *Kultura* nr 11/470, 1986.

Rzeczywistość natomiast wygląda w ten sposób, że obok bliskiej naszemu sercu i w pełni zrozumiałej osi Wschód-Zachód, bieżące wypadki i przyszłość świata kształtują się także i *coraz bardziej* wzdłuż innej linii: Północ-Południe. Tym bowiem terminem określa się dziś konflikt pomiędzy grupą uprzemysłowionych krajów bogatych z jednej strony i wielką liczbą krajów biednych z drugiej. Oczywiście osie tych obu makrokonfliktów przecinają się ze sobą, co widać dobrze na przykładzie ekspansji wpływów sowieckich w biednych krajach. Sprawy Trzeciego Świata to nie tylko eksplozja demograficzna, podwajanie się liczby mieszkańców Ziemi co 30 lat i konsekwencje tego faktu w dziedzinie ekologii i zasobów. To także *radikalizacja mas*, o której nasz rodak profesor Zbigniew Brzeziński, obok wielu innych specjalistów, wspominał już szereg lat temu⁵. Połączenie tych dwóch zjawisk — eksplozji demograficznej i radykalizacji mas — leży nie tylko u podstaw tzw. konfliktów lokalnych, jak wojny w Zatoce Perskiej, Mozambiku czy na Saharze. Stanowi ono także genezę częstotliwości i skali międzynarodowego terroryzmu, którego źródłem są przecież głównie kraje Trzeciego Świata. O tym jak bardzo terroryzm międzynarodowy wkracza na arenę polityki światowej nie trzeba się rozwodzić. Dodatkowym wymiarem wzrastającego znaczenia wypadków na osi Północ-Południe jest sprawa proliferacji broni nuklearnych, które coraz częściej trafiają do tzw. krajów rozwijających się. Nie bez powodu wielu specjalistów wyraża obawy, że ewentualna wojna atomowa przyszłości wybuchnie raczej w wyniku konfliktów między krajami Trzeciego Świata, aniżeli jako rezultat antagonizmu pomiędzy ZSSR i USA.

Dotychczasowe uwagi na temat zagadnień Trzeciego Świata oraz naszej polonocentrycznej obojętności wobec nich dotyczyły głównie aspektów politycznych. Istnieje jednak inny jeszcze, znacznie głębszy, aspekt naszej postawy. Wśród tysięcy Polaków włączających się po świecie trudno napotkać relacje o charakterze czysto ludzkich, ogólnych refleksji dotyczących losu mieszkańców Trzeciego Świata. Nie napotkałem w prywatnych rozmowach czy publicznych dyskusjach większego zainteresowania czy choćby zwykłego współczucia dla nędzy i ciężkiej ludzkiej doli rzucającej się wprost w oczy w tak wielu krajach Azji, Afryki czy Ameryki Łacińskiej. Dola ta będąca udziałem *ogromnej większości ludzi* w Trzecim Świecie jest w końcu — powiedzmy to szczerze — bez porównania cięższa od losu mieszkańców PRL. O tym, aby ta *condition humaine* biednych krajów stała się przedmiotem artykułu czy przedostała się do naszej (emigracyjnej) literatury — w ogóle nie ma mowy. Jesteśmy z tego punktu widzenia absolutnie polonocentryczni. Czy tylko tyle?

Niestety. Wśród tysięcy młodych Polaków, którzy zjawili się na Zachodzie w ostatniej fali emigracyjnej (a także niekiedy wśród „starych” Polaków emigrantów) obserwuje się jako bardzo powszechne zjawisko *rasizmu*. Nie chodzi tu o antysemityzm, któ-

5. Patrz np. wywiad w *The New York Times* z 31 grudnia 1978 r.

rego polskie źródła są tak historycznie głębokie i zawiłe, ale właśnie o stosunek do ludzi kolorowych. Trudno wymagać od Polaków, aby wczuwali się w los głodujących Murzynów czy wynędzniałych Hindusów, jeśli uważani są oni często za ludzi niższych, gorszych, zasługujących na pogardę a nie na współczucie. Określenia „żółci”, „skośni” są na porządku dziennym w wypowiedziach Polaków, którzy dopiero w Australii zetknęli się masowo z Wietnamczykami, Chińczykami i innymi Azjatami. A przecież wielu z nich to podobnie jak Polacy, uciekinierzy z krajów komunistycznej dyktatury. O Murzynach mówi się z reguły z pełnym pobłażliwością uśmiechem oraz aluzją do czworonożnych przodków, którzy dopiero niedawno zesłali z drzewa.

Krzysztof Kłopotowski w niedawno opublikowanym artykule⁶ wyraża wątpliwość co do autentyczności licznego nawrócenia ludzi w Polsce na łono Kościoła. Nie jest zaskoczeniem, że jako motywację podejrzewa tu raczej czynnik polityczny, aniżeli głęboką religijność. Może więc podobnie jest z naszym przywiązaniem do wolności? Czy ogranicza się ono w typowo polonocentryczny sposób do naszego własnego losu i ambicji, czy też jest głęboką postawą, którą jesteśmy gotowi konsekwentnie uszanować również i u innych? Bez względu na ich rasę, kolor skóry, narodowość czy wyznanie.

Jerzy BONIECKI

Sydney, styczeń 1987

KOMUNIKAT WYRÓŻNIENIA POLCUL FOUNDATION

W dniu 14 stycznia 1987 odbyło się kolejne przyznanie wyróżnień. Otrzymało 100 wniosków. Przyznano 58 wyróżnień, z których otrzymali:

— AKTORZY	4
— DZIENNIKARZE/PUBLICYŚCI	6
— KSIĘŻA	2
— PLASTYCY	4
— POECI/PISARZE	1
— PRACOWNICY NAUKOWI	11
— PRACOWNICY PRASY i WYDAWNICTW ..	15
— PRACOWNICY SPOŁECZNI i OŚWIATY	13
— PRAWNICY	2

Od początku istnienia Fundacji przyznano ogółem 314 wyróżnień.

6. „Horribile dictu”, *Aneks* nr 43.

Ci, co odeszli

Ryszard Krygier

Zmarły we wrześniu 1986 roku Ryszard Krygier należał do niewielu Polaków, którzy swą działalnością i postawą wywarli niemały wpływ na elitę intelektualną powojennej Australii.

W pierwszych tygodniach wojny, we wrześniu 1939 roku, 22-letni Ryszard znalazł się w Wilnie. Po zajęciu Litwy przez Armię Czerwoną w czerwcu 1940 roku, przez szereg miesięcy poznaje bezpośrednio prawdziwe oblicze sowieckiego raju i postanawia za wszelką cenę próbować wydostać się z niego. Wraz z żoną Romą przedostaje się do Japonii, skąd po dziewięciu miesiącach, tuż przed atakiem na Pearl Harbour, trafia do Australii.

Jak wielu cudzoziemców, w pierwszym roku pracuje dorywczo, często fizycznie. Po pewnym czasie zaangażowany zostaje jako rzecznik prasowy w Polskim Konsulacie Generalnym, a w ostatnich latach wojny otrzymuje akredytację jako korespondent PAT-a na obszar południowego Pacyfiku. W tym okresie nawiązuje wiele kontaktów w Australii i Południowo-Wschodniej Azji i — niezależnie od ukończonych studiów prawa na Uniwersytecie Warszawskim — odkrywa swoje prawdziwe powołanie: dziennikarstwo i publicystykę.

Po zakończeniu wojny Krygier włącza się żywo w nurt życia kulturalno-politycznego kraju, w którym żyje. W roku 1951 zostaje przedstawicielem Kongresu Wolności Kultury w Australii, a następnie założycielem i sekretarzem Australijskiego Towarzystwa Wolności Kultury. Jest w kontakcie z elitą intelektualną Australii. Organizuje zjazdy, odczyty, wystawy. Bierze udział w spotkaniach międzynarodowych. Styka się z prominentami kultury innych krajów. W roku 1955 postanawia założyć w Australii czasopismo literackie, podobne z profilu do *Encounter* czy *Preuves*. W ten sposób powstaje *Quadrant*, początkowo kwartalnik, później miesięcznik, którego jest wydawcą. W ubiegłym roku

ten najpoważniejszy periodyk literacko-polityczny Australii obchodził 30-lecie.

Ryszard Krygier, obok patriotyzmu wobec kraju swego pochodzenia, potrafił zasłużyć na miano wybitnego obywatela kraju, w którym przyszło mu przeżyć większość swego życia. Wyrazem uznania, jakie zdobył w Australii było odznaczenie go przed kilku laty Orderem Brytyjskiego Imperium (OBE).

Był nieprzejednanym antykomunistą. W swych artykułach, w stałej kolumnie prowadzonej w miesięczniku *Quadrant*, a także w wysyłanych z uporem przy każdej okazji — i często publikowanych — listach do wielkich dzienników australijskich, demaskował infiltrację i ekspansję sowieckiego totalitaryzmu. Wskazywał na częste zakłamanie, ślepotę i naiwność polityczną lewicy.

Jako człowiek — prostolinijny, uparty optymista — marzył, aby dożyć rozkładu sowieckiego imperium i odzyskania przez Polskę niepodległości. Od wielu miesięcy świadomy śmiertelnej choroby, zachował podziwu godną postawę i pogodę ducha.

J. B.

Sydney, styczeń 1987

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii

WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ● Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

T A Z A B LTD.

**Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.**

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,

12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45

Książki

Brukselczyk z Warszawy widziany

Wiosną roku 1972 byłem dwa tygodnie w Brukseli na pewnym seminarium muzycznym. Akurat wtedy przyjechał do stolicy Belgii minister Gromyko. Kupiłem wówczas dziennik *Le Soir*, zresztą bez specjalnego zainteresowania, niezbyt bowiem sobie cenię to, co na Zachodzie piszą o Wschodzie. Lecz oto nagle zaskoczenie: znalazłem tam doskonały artykuł o Gromycie, jego karierze, jego brutalnej dyplomacji, jego perfidii ale i zręczności — swoistej, lecz niewątpliwej. Artykuł odznaczał się doskonałą znajomością różnych wschodnich szczegółów; było w nim też zacytowanych parę sowieckich czy sowiecko-polskich dowcipów politycznych. Podpisane pod tym wszystkim widniało jakieś zupełnie mi nieznane belgijskie nazwisko. Zdumiałem się mocno: jakież Belg może znać tak dobrze sprawy Wschodu, których ani w ząb nie rozumieją tam często ludzie na najwyższych ministerialnych stanowiskach?

Zagadka rozwiązała się niezadługo: autorem okazał się nie żaden Belg, lecz warszawski kiedyś dziennikarz, Leopold Unger, sekretarz, i to wieloletni, *Życia Warszawy*, pewien czas korespondent tego pisma na Kubie. W Warszawie znaleźmy się niewiele, utkwiliśmy mi tylko w głowie, jak małym samochodzikiem odwoził mnie z Jabłonną, gdzie odbywało się weselne przyjęcie... Bernarda Margueritte'a, wtedy jeszcze warszawskiego korespondenta *Le Monde* (ślub z Polką dawał mu... kardynał Wyszyński). W roku 1967 obito mi się o uszy, że Ungera nagle „wylano” z jego redakcji, potem, że wyemigrował. Mało go czytywałem, więc i sprawą niezbyt się zainteresowałem, była to zresztą, zwłaszcza w roku 1968, tak zwana w Warszawie „normalka”. A tu nagle...

Oczywiście niezadługo spotkaliśmy się wówczas w owej Brukseli. Zaczęło się od kłótni, bo naturalnie obrzuciłem Ungera przeróżnymi zarzutami (w czym, rzecz zabawna, sekundowały mi... jego sympatyczne dzieci), na co on odpowiadał mi również zajadłe, a co więcej całkiem logicznie. Połączyła nas przy tym wspólna niechęć do jednego z warszawskich redaktorów i w rezultacie zaprzyjaźniliśmy się. Przyjaźń, pochlebiam sobie, wzrastała z latami, mimo dość rzadkiego widywania się. W dodatku stałem się nałogowym czytelnikiem jego esejów politycznych, zamieszczanych w *Kulturze* pod nagłówkiem „Widziane z Brukseli”. Przy czym od roku 1978 do stycznia 1982 byliśmy na giedroyciowych łamach sąsiadami.

Nie prosto więc przedstawiały się dzieje naszych z Brukselczykiem stosunków, nie prosto też układał się mój pogląd na Jego eseje (widocznie nic między nami nie jest proste...). Z początku nie podobały mi się one, łączyły sensacyjną tematykę z cwaniactwem warszawskiej ulicy (Unger to nie warszawiak, ale przez dwadzieścia lat nasiąkł stolicą), raził ton apodyktyczny oraz nadmiar dowcipów, niekiedy wręcz „gawroszowatych”. Z czasem jednak rozsmakowałem się w tych esejach, zwłaszcza po specjalnie znakomitych o Finlandii czy Izraelu. Przynosiły mnóstwo rewelacyjnych, reporterskich szczegółów, a zarazem bystre syntetyczne spojrzenie: tu przydała się warszawska gorzka dobra pamięć, z jaką Brukselczyk wypomina Zachodowi jego wszelkie, wstydliwie przemilczane winy wobec wschodniej Europy, warszawski dowcip stał się tu użytecznym skalpelem do rozcinania przeróżnych zachodnich zrostów myślowych. To wielki dziennikarz — myślałem sobie teraz o Ungerze. I nie tylko dziennikarz, lecz publicysta, człowiek z koncepcją, przebijającą się we wszystkim co napisze. W dodatku, choć pisze w różnych językach i w prasie światowej, to przecież jest publicystą polskim, reprezentuje na obojętnym zachodnim rynku nasze pretensje, bóle i gorycze, drugiego takiego nie mamy. Niech więc żyje!

Jako zatem zagorzały i przekonany już czytelnik „Brukselczyka” z zapałem wziąłem do ręki jego zbiór esejów „Orzeł i reszta”, ciesząc się na lekturę błyskotliwie emocjonującą i sądząc, że recenzja z niej będzie dla mnie rzeczą łatwą. Tymczasem znów niespodzianka (z tym Ungerem widać zawsze niespodzianki!). Książka w sumie budzi opory, nawet wtedy, gdy wyraża poglądy bardzo mi bliskie, wręcz moje własne: kusi nawet czasem, aby zabawić się jako *advocatus diaboli* i na przykład bronić bolszewików.

Własne poglądy w cudzym lustrze ukazują swój niespodziewany niedostatek. Napisałem kiedyś żywcem przypominającą

argumenty Ungera książeczkę „Walka o świat”, w której w podobny jak on sposób pouczałem Zachód, co ma robić, aby nie dać się zjeść Wschodowi. Książeczka wyszła w paru językach, ale przez polityków zauważona nie została. Dlaczego? Pewno dlatego, że była zbyt słuszna i logiczna, a tego nikt nie lubi. Do mnie i do Ungera „szary polityk” czyli wyrobnik dyplomatycznego konkretnego mógłby skierować następującą apostrofę: „Szanowny Panie, skoro Pan ma tyle logicznych racji, to dlaczego sprawy świata nie rozwijają się według tych racji?! Może świat ma inne prawa niż Pański mózg?”.

Ano właśnie! Czego brak Ungerowi, a także mnie w wymienionej książeczce (bo w innych moich twórcach staram się tych braków wyżyć)? Myślę, że brak mu poczucia przenikającej ludzki glob tajemniczości i irracjonalizmu zbiorowego życia, brak mu zaplecza swego rodzaju „mistycyzmu”, brak pokory wobec nielogiczności świata. Ciągłe owemu światu (zachodniemu przede wszystkim) ten brak logiki wyrzuca, ciągle się gorzko dziwi, że cnota i słuszność tak są bezsilne, doskonale zresztą opisując, jak demokratyczne mechanizmy Zachodu paraliżują możliwości szybkiego i skutecznego działania, jak destrukcyjną rolę odgrywa zachodnia wolna, liberalna prasa, stająca się częstokroć mimowolnym „poputczikiem”, narzędziem perfidnej propagandy totalistycznego Wschodu. Z wielkim nakładem wręcz detektywistycznej wiedzy o faktach maluje nam Unger swój dualistyczny obraz świata: z jednej strony zakłamanie, chytrość, perfidia, brutalność lecz zarazem nieustanne sukcesy dyplomacji politycznej Wschodu, czyli sowieckie, z drugiej strony naiwność, głupota, obłudność, tchórzostwo i klęski dyplomacji czy wywiadów demokratycznego Zachodu. Ten katastroficzny obraz totalizmu z demokracją wbija nam Brukselczyk do głowy na 384 stronach swojej książki niezwykle dobitnie, olśniewając przy tym encyklopedyczną wiedzą o przeróżnych arcyciekawych i nieraz mało krajowemu czytelnikowi znanych faktach. Ale nasuwa się tu wciąż pytanie: wszystko to prawda, ale co z tego?! Racja, z której bardzo długo nic nie wynika musi w polityce budzić wątpliwości, zwłaszcza u ludzi mieszkających jak niżej podpisany, po „tamtej” (dla mnie „tej”) stronie świata. Nikt nie lubi wszakże być w nieskończoność po stronie naiwnie bezradnych, takich jak maluje Unger ludzi Zachodu — pewno zresztą maluje słusznie. Co z tego wynika dla nich, to ja wiem, ale co ma wynikać dla nas, o to Brukselczyka zapytuję. Mieszkam wszakże na terenie „imperium zła”, tu wychowały się moje dzieci i wnuki, które na dodatek służyły lub będą służyć w wojsku. W dodatku Brukselczyk stosuje się często do niemiłego emigracyjnego przyzwyczajenia utożsamiania

Polski ze Związkiem Sowieckim. A już „reżim wojskowy” generała Jaruzelskiego zestawia beztrąsco z sytuacją w Afganistanie, co jest absurdem (ponad milion zabitych, pięć milionów uciekło z Afganistanu przez granicę, podczas gdy Jaruzelski zwyciężył właściwie bezkrwawo, cieniem postrachu). Skoro jednak tak już Unger czyni, to niech jeszcze powie, co nam doradza, on, wielki światowy dziennikarz piszący także po polsku, i dla kogo w zasadzie przeznaczona jest jego książka?

Walę tu w Brukselczyka z grubej rury i demagogicznie, ale sam on sobie winien, wydając zbiór esejów rozciągniętych tematycznie pomiędzy dwa światy i oczekując na wrażenia z tamtego (czyli bądź co bądź mojego) świata. Szpiegowsko-sensacyjny, polityczno-detektywistyczny esej w *Kulturze* można sobie od czasu do czasu poczytać z satysfakcją, działa jak niezbędna przyprawa, pieprz czy musztarda. Natomiast wybór w książce następuje już inną problematykę, czytelnik oczekuje, że wyborem takim kieruje jakiś ogólny zamysł, że wyłoni się z tego spójna filozofia polityczna, czy skuteczna propozycja. A co, jeśli jej nie ma, a jest tylko w rezultacie jęk i rozdzieranie szat, że świat taki zły i nielogiczny?

Unger wielbi logikę, domaga się od doczesnego świata logiki, doskonale wychwytywa wszelkie nielogiczności w postępowaniu Zachodu, jednocześnie jednak wciąż przyznaje się do bezskuteczności dobrych rad naiwnego racjonalisty, których udziela temuż Zachodowi, a które okazują się utopijne. W dodatku Brukselczyk to nie tylko racjonalista, lecz również moralista, a taki mariaż w polityce nie bardzo wychodzi. Sam zresztą wpada czasem we własne sidła, gdy na przykład pisze: „Moskwa w Madrycie raz jeszcze udzieliła Zachodowi wielkiej lekcji dyplomacji” (str. 131). A więc? Przecież w dyplomacji i polityce liczy się przede wszystkim skuteczność. Z przeróżnych, arcyironicznych wywodów Ungera można by wyprowadzić wniosek, że totalizm wychowuje polityków piekielnie sprytnych, a demokracja bezradnych idiotów. Za kim wobec tego, pytam Leopolda, ma się opowiedzieć kraj tak politycznie bezsilny jak Polska, którą przecież Zachód oficjalnie, od czterech dziesięcioleci zalicza do „krajów komunistycznych”, stosując starą zasadę *cuius regio eius religio*? Czy więc mamy stawiać na dalekich zachodnich niedołęgów czy na bliskich wschodnich spryciarzy? — zapytuję Ungera — odpowiedź nie oczekując. Czy rzeczywiście chodzi mu o triumf konkretnego, pragmatycznego realizmu, czy o abstrakcyjnie ponadczasową międzynarodową moralność?

Otóż to, oto jest pytanie, której inaczej zabrzmi w Brukseli, a inaczej w Warszawie. I w ogóle ten racjonalizm Brukselczyka

wydać się czasem podejrzaną próbą, nazbyt podszyty bywa lamentami, subiektywizmem, pobożnymi życzeniami, idealistycznym utopizmem, zakładającym, że świat POWINIEN być logiczny, tymczasem okazuje się, że ów świat jest mieszkanką logiki i irracjonalizmu, w której to mieszance wcale nie wiadomo, jaki element przeważa. Do tego Unger, piewca logiki, sam się jej niejednokrotnie sprzeniewierza, wyznając swoiste *wishfull thinking*. Na przykład:

Brukselczyk jest przekonany, że istotą dzisiejszej światowej sytuacji jest dualizm, czyli konflikt między demokracją parlamentarną a totalizmem, który to dualizm dla uproszczenia określa jako konflikt Wschód-Zachód. Nawiasem dodam, że jest to pogląd typowo warszawski, „warszawocentryczny”: to nie Brukselczyk tak sądzi, lecz warszawiak. Przy okazji tego „eurozachodniocentrycznego” poglądu popełnia Unger dziecięco wygodne dla siebie błędy, gdy gromiąc pogląd o wewnętrznej specyfice i niezależności niektórych krajów, który określa jako brednię, pisze: „... żadne państwo, z wyjątkiem USA, ZSSR i Chin, nie decyduje o tym, co się na jego terytorium dzieje, a żadne państwo włącznie — a nawet przede wszystkim — z tymi trzema nie przestrzega tej świętej definicji” (str. 323).

No i to jest dopiero brednia, wynika z warszawskiego egocentryzmu, roztopionego w fikcji „europocentryzmu”. Boć od razu przychodzą do głowy kraje, które absolutnie „decydują o tym, co się na ich terytorium dzieje”: Albania, Szwajcaria, Libia, Nowa Zelandia, Australia etc. A co na tezę, iż istotą światowego konfliktu jest jedynie dualizm, konflikt między parlamentaryzmem a totalizmem, powiedziałyby setki milionów Arabów, Murzynów, Indonezyjczyków, którym nie leży ani to ani tamto?!

I jeszcze jedno. Brukselczyk kilkakrotnie (wielokrotnie) daje do zrozumienia, że ustrój demokracji parlamentarnej uważa za NORMALNY, zaś ustrój mniej lub więcej totalny uważa za wysoce niernormalny, szkodliwy, wraży (choć w niektórych dziedzinach sprawniejszy). Ale gdy sobie policzymy, ile to miliardów ludzi żyje dziś w ustroju demokratyczno-parlamentarnym a ile w innych, okaże się, że „parlamentarzyści” są w mniejszości. Co więc jest „normalne”: to czego jest więcej, czy to, czego jest mniej? I czy mówi tu przez Ungera empiryczny racjonalista, czy też idealistyczny moralista marzyciel? Jak odpowie racjonalista na kłopotliwe pytanie, dlaczego szatan sprawniejszy bywa od anioła? Unger jest ogromnie przywiązany do politycznej demokracji Zachodu, a jednocześnie ma pretensję o jej złe skutki międzynarodowe: że nie mogą oni — Zachodniacy — wyzwolić totalistycznego Wschodu. A może po prostu nie chcą? Może demokratyczny Zachód ma tylko wolność dla siebie,

nie na eksport, w takim zaś razie wolność owego Zachodu służy niewoli innych, a inaczej być nie może, bo cytowana przez Ungera teza Ghandiego, że „gwałtu nie zlikwiduje się gwałtem” straciła dziś w zbrutalizowanym, atomowym świecie swą aktualność. Zaś zastosowanie wobec tak przenikliwie przez Brukselczyka demaskowanych i wyśmiewanych naiwnych zachodnich liberałów dających się nabierać sowieckiej propagandzie słynnej burnhamowskiej zasady „nie ma wolności dla wrogów wolności” byłoby krokiem ku totalizmowi, którym się Zachód tak brzydzi! Może więc istotą zachodniej demokracji jest właśnie jej bezsilność i egocentryzm? A wobec tego może my nad Wisłą powinniśmy powiedzieć *adieu* wolności i „samorządności”, nie pomoże nam nawet „Solidarność”, tak gorąco lecz platonicznie na demokratycznym Zachodzie chwalona? A może w ogóle polski wolnościowy patriotyzm niezgodny jest z interesami świata, skoro mikiewiczowska „wojna powszechna ludów” w ogóle nie wchodzi dziś w grę?!

Te wszystkie natrętne pytania stawiam tu nie po to, żeby Ungera krytykować i niszczyć. Przeciwnie: ja Brukselczyka kocham za jego stały niepokój moralny, za wzburzenie i gorycz, wywoływane w nim przez bez troskę i nieodpowiedzialną naiwność, a nierzadko i cynizm polityków zachodnich oraz przez troskliwy i odpowiedzialny cynizm i pozbawioną skrupułów „socio-technikę” polityków wschodnich, za jego detektywistyczną sprawność w tropieniu światowych kłamstw, fałszów, mistyfikacji. A najbardziej go kocham za to, że uporał się ze swoją skomplikowaną sytuacją osobistą, bo będąc wielkim dziennikarzem europejskim pozostał publicystą polskim, do tego rodakiem z warszawskiej ulicy, wciąż zatroskany o to, co nad Wisłą. No i w końcu dał nam książkę, jakiej w polskim języku nie ma, książkę w której załkniona i podniecona młodzież („Orzeł i reszta” ukazał się i w krajowym wydaniu nieoficjalnym) poczyta sobie rewelacyjne, z globtroterską wszechstronnością zebrane szczegóły o szpiegach, agentach, światowych interesach, o ONZ-ecie, UNESCO, Monrecie, o antysemityzmie, Arabach, Niemcach, o zamachu na papieża, o olimpiadzie, szachach, rurociągu, sankcjach, o straceniu koreańskiego samolotu, o Aminie, terroryzmie, Izraelu. Nie ma takiej drugiej książki w polskim języku, powodzenie zapewnione a intencje Autora czyste, zaś kwalifikacje niewątpliwe. Czy więc należy się czepiać, szukać dziury w całym, pytać nietaktownie a zachęcająco, co Polska z tego ma? Czy warto siać dwuznaczności, wywołując zwątpienie i pesymizm?

Hm — czy warto? Chyba muszę to robić, krytycyzm i pesymizm w istocie nie osłabiają, dopiero po kąpieli w nich umysł bywa silniejszy. A sprawić Ungerowi niezbyt szkodliwą (bo któż

się tym przejmie?) łaźnię duchową muszę, to mój obowiązek, skoro zbiorowa lektura jego esejów wzbudziła we mnie po latach wątpliwości co do postawy własnej, co do poglądów moich ulubionych. A więc będzie to próba podważenia arcyważna i dla mnie konfrontacja i autokonfrontacja niezbędna. Spróbujmy jej chociaż.

Czego mi brak w postawie Ungera? Mówiłem już: brak pesymizmu, relatywizmu, brak wątpliwości o własnych racjach, a to wszystko wynika z jego wiary w przyszłą logikę świata. To znaczy nie, że świat już jest logiczny, ale że powinien i może nim być. Chrześcijański „manicheista” tymczasem skłonny byłby sądzić, że tragizm i tło, ich obecność, są zasadą świata (bo szatan jest obecny i „niezbывalny” jako element gry ziemskiego universum), natomiast Unger myśli, że tragizm i zło są BŁĘDEM świata — stąd bezradna gorycz, gdy perswazja nie udaje mu się ich usunąć. Do wszechstronnie poznawczej postawy brak mu więc pesymizmu i relatywizmu, a także tego, co określam jako „mistycyzm”. A bez tych elementów właściwe rozeznanie politycznej również sytuacji ludzkości okazuje się niedoskonałe, może sprowadzić się do utopizmu „pobożnych życzeń”, a najbardziej nawet racjonalnie wydedukowane proroctwa mogą całkowicie zawieść. Kto mógł na przykład przewidzieć, że sojusznik Hitlera i Mussoliniego generał Franco wybawi Europę od całkowitej klęski, nie wypowiadając wojny Anglii i nie zajmując Gibraltaru, a przedtem uniemożliwiając przyszłym stalinowskim adherentom paktu Ribbentrop-Mołotow zainstalowanie się na Półwyspie Iberyjskim? Jak widział przyszłość Izaak Szamir, gdy w roku 1941, doszedłszy do wniosku, że największym wrogiem sprawy izraelskiej są zwalczający ideę państwa żydowskiego w Palestynie Anglicy, zaś ewentualnym sojusznikiem mogą być wypędzający Żydów z Europy naziści, próbował dogadać się przeciwko Brytyjczykom z hitlerowcami i włoskimi faszystami (patrz artykuł izraelskiego publicysty Uri Avnery, *Der Spiegel* nr 48, 1986). Do takich paradoksalnych i absurdałnych powikłań wiedzy często RZECZYWISTOŚĆ i trudno przewidzieć w niej cokolwiek, kierując się zwykłą a ścisłą logiką.

W wielu bowiem sprawach ludzkich konieczna jest, przy ich definiowaniu, owa dawka irracjonalnego „mistycyzmu”, bez którego żadna ocena zwykłych, materialnych sił i szans nie jest zgoła adekwatna do rzeczywistości. Bez uwzględnienia irracjonalizmu i paradoksalności świata, a także znaczenia wielkich namiętności, władających często małymi narodami, nie sposób na przykład oceniać marginesowego NA POZÓR konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Mały ten ilościowo konflikt czerpie swój poruszający cały świat dynamizm właśnie z irracjonalnego „mistycyzmu” obu stron:

mają swój islamsko-nacjonalistyczny mistycyzm Palestyńczycy, mają wspaniałą i tragiczną epopeję Izraelczycy, naród wybrany, powracający po tysiącletnich do Ziemi Obiecanej. Nie posiada jednak żadnego mistycyzmu trzeźwy Brukselczyk, stąd też dość jest bezradny wobec palestyńskiego dramatu i daje jedynie królowi Jordanii nader logiczne rady (str. 318), aby robił to, czego on robić wcale nie chce. Przy okazji Unger-Europejczyk trochę zapiera się siebie, przypominając, że Rosja siłą wysiedliła kilka milionów Polaków, a znów Polacy wysiedlili osiem milionów (! — skąd ta liczba?) Niemców. My u nas na Wschodzie często myślimy sobie, że Rosjanie owszem gładko by sobie dali radę z wieloma problemami, nad którymi głowi się demokratyczny Zachód. Ale czy przystoi, aby dawał takie rady demokratyczny człowiek z Brukseli?

Unger-racjonalista jest właściwie swego rodzaju optymistą: uważa, że świat popełnia błędy, ale błędy te stosunkowo łatwo wskazać i znaleźć na nie logiczne środki zaradcze. Nie docenia szatańskiego mechanizmu przypadkowości, który w ogromnym procencie decyduje o przebiegu wydarzeń na globie, czyniąc je częstokroć tragicznymi i bez wyjścia, a przy tym zgoła nie racjonalnymi, dziejącymi się poza ludzką logiką. Może to właśnie obawa przed tragizmem świata i brak wiary w automatyzm zwycięstwa słusznej sprawy wywołuje u ludzi Zachodu ową dojrutką ostrożność i bojaźliwość, polityczną kompromisowość, którą tak im gorzko wyrzuca Unger — spragnione optymizmu i nadziei dziecię Oświecenia?

Najtragiczniejsze wydarzenie naszego stulecia to holocaust — zagłada europejskich Żydów. W specjalnym numerze *Aneksu* znalazłem bardzo ciekawą myśl. Że mnożące się dziś zarzuty, iż to Polacy byli inicjatorami czy współuczestnikami tragedii wynika z dążenia do URACJONALNIENIA tej do dziś zagadkowej sprawy. W Polsce przedwojennej było 3,5 miliona Żydów, musiały więc istnieć — tak rozumują zachodni zwolennicy sensu — walki klasowe, konflikty narodowe, społeczne, religijne — i oto sprawa logicznie się wyjaśnia. Tylko że jest to wyjaśnienie całkowicie nieprawdziwe. Jak powiedział ktoś w Warszawie, holocaustu nie dokonali żadni antysemita: holocaust wbrew wszelkiej „logice” zrealizowali DYLETANCI — młodzi Niemcy, którzy ortodoksyjnego Żyda nie widzieli w życiu na oczy, a o żadnej „sprawie żydowskiej” nie mieli najlżejszego pojęcia, wmówiono im ją bez jakiegokolwiek istotnej argumentacji. Szatański mechanizm zbiegu irracjonalnych przypadków oraz obłądów potrafi zradzić światem, i to jest znacznie gorsze od najgorszych rzeczy, jakie może przypuścić Unger racjonalista. Nemezis ślepa i niezrozumiała, posługująca się absurdem przypadkowości — przed tym nie ma ratun-

ku w polityce. Jest, owszem, indywidualny ratunek w religii, ale interpretowanej z odcieniem manicheizmu, z uznaniem praw szatana, które zostały skażonemu światu zlecone czy zesłane. Przypuszczam za tę metafizykę, ale bez niej ze światem bym się nie pogodził — a i z nią nie jest łatwo. Zaś logiczne argumentacje materialistów czy to ze Wschodu czy z Zachodu nie trafiają do mnie wcale.

Skorośmy zaś już przy problematyce żydowskiej, przepastnej i otchłannej (pewien mój przyjaciel z Emigracji twierdzi, że nie należy o niej w ogóle mówić, bo zawsze wyniknie z tego coś złego), to na jej przykładzie chcę zademonstrować, jak różne mogą być na każdą sprawę poglądy, zależnie choćby od miejsca zamieszkania. Politycy zachodni ogromnie przejmują się kwestią emigracji Żydów ze Związku Sowieckiego, chodzi im bowiem o „prawo człowieka” (termin nader dwuznaczny i zabawny, boć człowiek w jednym kraju ma takie „prawa”, a w innym inne). Rosjanie wyzyskują ten prawny „feblik” Zachodu, wypuszczając co pewien czas trochę osób i pękając w duszy ze śmiechu, gdy Zachodniacy uważają to za wielki sukces, nie dbając o miliony, które w tym ustroju muszą pozostać. Otóż ja, jako człowiek sowiecki (przynajmniej według miejsca zamieszkania) oświadczam, że jestem przeciwny emigracji Żydów z Rosji, bo oni są tam dla mnie elementem pozytywnym, utrudniającym sowietyzację: mają kontakty ze światem, oparcie na Zachodzie, buntują się, walczą o „prawa człowieka”, świat o nich wie, wnoszą ferment, przypominają ludziom sowieckim, że nie wszystko jest w porządku. A z kolei oni w Izraelu? Znacznie mniejsze mają tam dla świata i dla dobrej sprawy znaczenie, czują się zaś nie zawsze dobrze, bo człowiek czuje się dobrze tam, gdzie się przyzwyczai. Zresztą Brukselczyk rozumie i oświeśla tę sprawę doskonale (np. str. 337, 340, 343-344) i tu daje dowód, że i jego monolityczny racjonalizm ustąpić musi czasem przed uporczywą dwuznacznością świata.

Zbliżam się do końca mojego wyszukiwania dziur w brukselskim monolicie. Najwięcej ich znajduję w opisach (dorywczo aluzyjnych zresztą) spraw polskich, nic dziwnego, boć w tym geograficznym kierunku udać się Brukselczykowi najtrudniej, a sytuacja i nad Wisłą (a może zwłaszcza tam!) dwuznaczna bywa i niespodziewana. Jak inni dziennikarze przechwała Unger „Solidarność”, tymczasem wysunęła ona piękne ideały polityczne, lecz nie wysunęła programu reformującego „bazę”, państwowe władanie środkami produkcji, na którym wspiera się istota komunistycznej dyktatury. Pozostawiając produkcję w rękach partii i rządu, „Solidarność” zawisała w powstającej próżni hasła i przegrała. Takie są fakty, chociaż tym gorzej dla faktów.

Brukselczyk również wraz z całą prasą zachodnią dał się zasugerować nazwie „stan wojenny” w Polsce, nie rozumiejąc głębszego i historycznie jeszcze smutniejszego podtekstu sprawy. W istocie pozór dyktatury wojskowej trwał bardzo krótko (może to i szkoda?), natomiast zamach przywrócił po prostu rządy partii, trwające od lat trzydziestu pięciu i przez świat zachodni uznane. Zaś co do terroru fizycznego, to warto pamiętać, że w grudniu 1970, za rządów Gomułki jeszcze, w ciągu kilku dni zabito na Wybrzeżu parę razy więcej ludzi, niż ich zginęło w całym stanie wojennym. Gomułka i Kliszko zachowali się jak krwiożerczy generałowie (Gomułka by niełicho zatopił „Solidarność” we krwi — powiedział to w pewnym wywiadzie prasowym), Jaruzelski zaś i Urban to dziś socjotechnicy, którzy zręcznymi sposobami chcą przywrócić w kraju polityczne uśpienie. Niełatwe to do zrozumienia dla Zachodu, a widać trudne i dla Brukselczyka, który nie docenia najgłębszego tragizmu sytuacji: że w „demoludach” i w Rosji w zasadzie nie potrzeba już terroru odgórnego, wystarczy dezorientacja, socjotechniczna gra pozorów — wystarczy przynajmniej dla większości społeczeństwa.

Unger na str. 367 daje nam błyskotliwy wywód o tym, jak to nasz ustrój (czy rządzące ekipy) wyszukiwał sobie kolejno wrogów do zwalczania czyli kózłof ofiarnych: AK-owców, kulałów, kler, pisarzy, rewizjonistów, syjonistów etc. Brukselczyk nazywa to degeneracją ustroju, ja myślę, że to dialektyczna „normalka”, zasugerowana jeszcze przez Stalina jego teorią o zaostrzaniu się „walki klasowej”. Ale te wywody Ungera (z roku 1979) stają się dziś nieco przestarzałe: Jaruzelski najwyraźniej chce zrezygnować z koncepcji wroga wewnętrznego, marzy o narodowym solidaryzmie (nie solidarności), a funkcję wrogów chce umieścić gdzieś na zewnątrz, przypisując ją np. „imperialistom”, Amerykanom etc. Nowy to „etap”, lecz trudno śledzić takie etapy z daleka, zwłaszcza w szybko się starzejących politycznych książkach.

No i jeszcze jedna pretensja do Brukselczyka: o olimpiadę. Esej olimpijski (o igrzyskach w Los Angeles) to moim zdaniem najbardziej obnażający autora esej, bo pasja i ironia całkiem zastępują w nim chłodną ocenę. Przeczy tu Brukselczyk sam sobie, gdy najpierw okropnie się oburza na Sowietów, iż głupio zrobili, że na amerykańską olimpiadę nie przyjechali, po czym na str. 262-263 udawadnia niezbitcie, że gdyby przyjechali, ponieśliby dotkliwą klęskę propagandową. A więc tak czy siak? Zauważyłem tutaj jeszcze jedno duchowe rozdwojenie Brukselczyka: czasem chcąc nie chcąc podziwia Moskwę za cyniczny spryt, do którego daleko Zachodowi, a czasem ubolewa, że ta sama Moskwa bywa propagandowo za mało sprytna, bez wyobraźni. A ja

bym radził, żeby w tym chociaż kierunku zaniechać dobrych rad. „Nie ucz ojca dzieci robić” — jak mówią w Warszawie.

Ale inna rzecz musi każdego warszawianina oburzyć w ungerowskim felietonie o olimpiadzie i olimpiadach. Otóż Brukselczyk piekli się tam strasznie na nadawanie sportowi charakteru rywalizacji między narodami i znów daje, tym razem działaczom olimpijskim, namiętne dobre rady, aby wprowadzili do sportu „denacjonalizację” i „odpaństwowienie”, „wyeliminowanie sztafardów narodowych i hymnów”, bo to wszystko służy podobno tylko Sowietom i nikomu innemu. Otóż, choć sam niedawno pisałem podobną rzecz, jednak jestem tutaj rozdwojony i zakładam veto! Brukselczyku, chcesz nam odebrać ostatnią jako taką neutralną narodową przyjemność, jaką jest sport, transmisje sportowe, granie hymnów? Chcesz nam odebrać wszelkie przyjemności, a pozostawić tylko politykę? Wzywasz Zachód, aby nas bojkotował za to, że mamy komunizm. Czyż naprawdę mamy być karani parokrotnie i stracić nawet przyjemność oglądania meczów w telewizji i satysfakcji, że „Legia” wygrała z drużyną „Dniepru”?! Bardzoś mało dla nas hojny, o Brukselczyku! A jakie za to przyjemności nam proponujesz?

W Warszawie dowcipnisie mówią, że w rezultacie drugiej wojny światowej Niemcy zachodni popadli w niewolę amerykańską, a Polacy wyzwoleni zostali przez Rosjan. Kto na tym jak wyszedł wiadomo, aby więc dobrze się mieć, trzeba wiedzieć, z kim przegrać wojnę. Świadomy tego pesymistycznego paradoksu Unger wyśmiewa się z tezy, że to armia sowiecka „wyzwoliła” Wschodnią Europę (str. 47). Ale Brukselczyk, czując pewno pismo (niemiłe) nosem, nie pogłębia tej sprawy, tymczasem jest to przecież największe, niezrównane arcydzieło szatana, czyli przewrotnej, irracjonalnej mechaniki historii. Oto demokracje Zachodu, nie mogąc uporać się ze zrodzonym w ich własnym łonie totalizmem Hitlera, musiały się uciec o pomoc do drugiego totalizmu — stalinowskiego. Ten, owszem, walczył, położył dwadzieścia milionów ofiar, a potem zażądał rachunku — płacą go zaś między innymi ci, którzy najbardziej od Hitlera ucierpieli — Polacy. Czyż może być doskonalsze dzieło diabła niż ten grzech pierworodny, z którego wyniknął dobrobyt i demokratyczność Zachodniej Europy?! I czyż Brukselczyk nadal zamierza twierdzić, że świat będzie się toczył logicznie i że w logice pokładać mamy nad Wisłą jakieś nadzieje?!

Otóż to. Po lekturze książki Ungera, precyzyjnie i błyskotliwie opisującej bezmyślność i klęskę naiwnie szlachetnego Zachodu oraz perfidię i sukcesy demonicznego Wschodu, czytelnikowi odechciewa się żyć, chciałby się po prostu powiesić. A przecież żyć chcemy i musimy. W dodatku nie rozumiemy, dlaczego

Unger poleca nam jako ustrój demokrację, której głupotę i nieskuteczność tak przekonywająco przedstawia. Pewien mój znajomy „reakcjonista” powiedział na to: „No to niechże już Rosjanie pójdą do tego Atlantyku, skoro nie ma innej lekcji przykonywającej Zachód!”. Nie wiem, czy Brukselczyk spodziewał się takiego rezultatu swego racjonalistycznego moralizatorstwa? (Nie wiem też, czy racjonalność złączona z moralizowaniem nie stanowi przypadkiem w dzisiejszym świecie typowego *contradictio in adiecto*).

Leopold Unger w *Kulturze* przypomina mi bardzo innego jej stałego współpracownika, Michała Hellera. Obaj są mistrzami w opisywaniu i demaskowaniu sowieckiego totalizmu, każdy nowy dowód rosyjskiej perfidii i zła cieszy ich, jak udany karambol w bilardzie. Tylko że my, czytelnicy znad Wisły, nie bardzo wiemy z czego się tu cieszyć — to masochistyczna przyjemność nie dla nas. Podejrzewać też można, że gdyby coś się w Rosji naprawdę zaczęło zmieniać, Unger i Heller byłiby ostatnimi, którzy by nam o tym donieśli. Bo specjalizują się w czerni, a ich instrumentem wykrywania prawdy jest nieugięta podejrzliwość, zmiana sytuacji pozbawiłaby ich tematyki. Zgoda, ale co nam z tego, poza bezinteresownym podziwianiem mistrzów bilardu? Można być antytotalistycznym i antywschodnim bądź gdy się walczy nad Wisłą, bądź też, gdy ma się wpływy na polityków Zachodu. Ale z książki „Orzeł i reszta”, z jej goryczy i gniewu nie wynika wcale, aby Autor był pewien skuteczności swych perswazyjnych działań wobec Zachodu, raczej można by sądzić, że mimo swej wielkiej, międzynarodowej pracy dziennikarsko-publicystycznej wisi on jednak w polskiej, eksterytorialnej próżni, udzielając dobrych warszawskich rad sobie a muzom. Jego znakomity bilard byłby więc poznawczy, ale nieskuteczny? Może się w tym zresztą mylę, niedostatecznie znam stosunki na Zachodzie, więc proszę ewentualnie mnie pouczyć.

Jeśli natomiast chodzi o „bilard” polski, to jestem bardziej kompetentny i nie każdy karambol Brukselczyka uważam za udany. Na przykład owe aluzje do „stanu wojennego”, z którym zachodni dziennikarze tak się lubią pieścić, bo doskonale pasuje im do czarno-białego schematu. Tymczasem przebrzmiała już owa początkowa militarna mistyfikacja, chodzi dziś w Polsce o coś innego, duchowo może jeszcze bardziej niebezpiecznego, lecz z daleka niezrozumiałego. A „uchodźcy” nie są tu miarodajni, grają w czarno-białą dutkę, aby przypodobać się swym nowym zagranicznym gospodarzom. Bo Polacy potrafią być sprytni w potrzebie...

Unger pisze, iż „Jaruzelski sprowadził Polskę do roli i statusu Mongolii” (str. 266). Nie chcę bronić Jaruzelskiego, nie

moje to zadanie, lecz muszę bronić godności własnego życia. I dlatego oświadczam, to fałsz! Nie żyjemy w Mongolii (zresztą żadnemu narodowi nie należy uwłaczać). Żyjemy w Polsce, kraju trudnym i złożonym, lecz jak dotąd na różne sposoby, lecz skutecznie, broniącym swej tożsamości. Choć w niektórych swych społecznych warstwach duchowo już wypaczonym.

Tyle więc mojej recenzji o Ungerze, choć z recenzji zdaje się zrobiła się głównie polemika. Ale jest to, jak mówiłem, forma konfrontacji z samym sobą, jako że w wirtuozowskich detektywistyczno-erudycyjnych i tak wobec Zachodu demaskatorskich popisach Brukselczyka czuję cały czas pod spodem gorycz i pesymizm, nieobce mi zgoła. A nawet w istocie całkiem bliskie. Więc bywaj, Bracie-„bilardzisto”!

Stefan KISIELEWSKI

Warszawa, grudzień 1986

„ORZEŁ” — I MAŁA RESZTKA

„Z recenzji zrobiła się polemika”, wyrzuca sobie Kisiel. Nie szkodzi, to nawet lepiej. „Racja, z której długo nie nie wynika, musi budzić wątpliwości”, pisze w innym miejscu. Też nie szkodzi, zwłaszcza, że dotyczy to także jego tekstu. Z recenzją jednak się nie dyskutuje. Zła czy dobra, ważne, że jest. Wcale zresztą nie wykluczone, że „Orzeł i reszta” (a nie „reszka”, jak poprawił dziennikarz w Polsce, donosząc z triumfem o konfiskacie nie wiem ilu egzemplarzy mojej książki) pozostanie w pamięci czytelników w większym stopniu dzięki recenzji Kisielewskiego, niż dzięki swym własnym walorom.

Artykuł Kisielewskiego to, wydaje mi się, ważny tekst. Kilka punktów warto wyjaśnić (Kisiel w pośpiechu nie dostrzegł niektórych „cienkich aluzji”, ale to wina aluzji, a nie Kisielewskiego), wiele innych epizodów zasługuje, a nawet wymaga dyskusji i polemiki. Myślę, że Kisiel jej nie uniknie, zresztą, na ile go znam, niczego bardziej nie pragnie.

Dziś tylko jedna, ale ważna uwaga. „Muszę bronić godności własnego życia — woła Kisiel. — I dlatego oświadczam: to fałsz, nie żyjemy w Mongolii”. To prawda, tylko po co ten patos nie-kisielowy, a przede wszystkim niepotrzebny, bez sensu. Nikt przecież nie atakował godności Kisielewskiego, ani zresztą niczyjej innej. To nie w moim stylu. Teraz, wbrew mojemu poczuciu humoru, muszę bronić nie tyle mojej godności, co mojej inteligencji. Także więc muszę wołać: to fałsz. Nie porównałem życia w Polsce do życia w Mongolii (ani, co mi Kisiel w innym miejscu także zarzuca, w Afganistanie), tak źle w bilarda nie gram. Napisałem natomiast, w felietonie o olimpiadzie w Los Angeles, że podporządkowując się ukazom Moskwy, Jaruzelski zabronił sportowcom polskim startu nie byle gdzie, a na stadionie, gdzie kilka dziesiątków lat wcześniej Kusociński zdobywał pierwszy w historii medal olimpijski dla Polski. Pod tym względem statut Polski niczym się nie różnił, chyba że na gorsze, od statutu Mongolii (przypominam, że Rumunia pojechała) i nie powinno to mieć żadnego wpływu na poczucie godności Kisielewskiego. Tak lubiany przez Kisielewskiego bilard to — co prawda — sport nie olimpijski, ale i w bilarda nie należy grać na ślepo.

Leopold UNGER

Literaci i Lewiatan

Duża część, o ile nie większość, literatów polskich w kraju w okresie stalinowskim poszła na współpracę z reżymem i pisała w tym czasie utwory prymitywne, kłamliwe i służalcze. Po śmierci Stalina, referacie Chruszczowa, Październiku i Budapeszcie pęd ten ulega raptownemu osłabieniu, i oficjalnie publikowana literatura nabiera za czasów Gomułki charakteru w dużym stopniu neutralnego. Za czasów Gierka większość dawnych stalinowców przechodzi do wyraźnej opozycji. Dla obserwatora o skłonnościach do pragmatyzmu wniosek musi wydawać się więc oczywisty: osłabienie energii knuta i smakowitości marchewki prowadzi do pożałowania godnego braku *docilité*, a zatem gdy tylko okoliczności znów pozwolą...

Z uwagi na to, że protektorat sowiecki nad Polską bynajmniej się nie skończył, pytanie czy ten pragmatyczny punkt widzenia wyjaśnia wszystko i jakie okoliczności mogą spowodować ewentualne powtórzenie się „hańby domowej” na podobną skalę nie jest bynajmniej kwestią akademicką. Dobrze się więc stało, że choć część czynnych uczestników tamtego małego budującego przedstawienia zechciała się wypowiedzieć w książce Trznadla*, poświęconej pytaniu „czemu?”. Dobrze też, że zabrało w niej głos kilku „nieuczestników”, ponieważ ich wypowiedzi zawierają cenne wskazówki na temat „jak?": jak stać na uboczu i nie ulec zaczadzeniu totalizmem.

Książka jest zbiorem wywiadów z 12-ma osobami. Część rozmów odbyła się w 1981 roku, część w 1985. Sam autor — urodzony w 1930 roku, w okresie stalinowskim gimnazjalista i student polonistyki — jest trzynastym osobiście zainteresowanym współuczestnikiem analizy opisywanych wypadków, ponieważ i on był kuszony i znalazł się na krawędzi upadku; dowiadujemy się o tym z jego wstępu do książki i licznych (miejscami zbyt licznych) *aside*ów w trakcie nagrywanych na magnetofon rozmów. Wśród osób, które w różnym stopniu zaangażowały się w swoim czasie w stalinizm, przeważają ludzie wówczas młodzi: Woroszyłski, Wirpsza, Bocheński, Braun. Starsze pokolenie reprezentują jedynie dwaj pisarze — Jerzy Andrzejewski i Julian Strykowski — przy czym ten ostatni, jako autentyczny przedwojenny komunista typu internacjonalistycznego (por. jego wypowiedź: „Ja wciąż przecież podkreślam, że Żyd stając się komunistą przestaje być Żydem”, str. 150) nie jest postacią dla tematu książki typową. Typowi są ludzie, którzy z racji faktu, że urodzili się, wychowali i nawet po części (Andrzejewski) pisali już

* Jacek Trznadel, *Hańba domowa*. Rozmowy z pisarzami. Biblioteka „Kultury”, tom 422, Instytut Literacki, Paryż 1986, 319 str.

w środowisku i klimacie nietotalitarnym i teoretycznie „powinni byli wiedzieć lepiej”, nader szybko i łatwo wdepnęli głęboko (ówcześni „pryszczaci”) w czy choćby otarli się (Marian Brandys) o działalność propagandowo-indoktrynacyjną na rzecz systemu, od którego na miłą nosło smrodem piwnic czerezwyczajki. Jak i dlaczego do tego doszło?

Najostrzejszą odpowiedź na to pytanie daje w książce Zbi gniew Herbert: „... gdyby toczył się taki proces... w opinii społecznej, to zarzuciłbym oskarżonym rzeczy następujące. Więc a) że działali ze strachu i w złej wierze, b) że powodowali się pychą [...], c) działali z niskich pobudek materialnych” (str. 184). Stosunkowo najmniej oczywisty punkt (b) Herbert precyzuje następująco:

Powiedziałem na początku, że naród był przeciw, a część elity była za. Więc wyraźny rozdział między tą elitą a uczuciami narodu. Ci ludzie sądzili, że naród to masa, z natury głupia, i natchniona mniejszość musi prowadzić tę trzodę. Taki jest początek każdego systemu faszystowskiego — samozwańcza elita, która narzuca reszcie społeczeństwa marsz ku świetlanej przyszłości. [...] (str. 185).

Można powiedzieć, że te groźne czasy przerastały świadomość pisarską. Ale co to znaczy? Nie ma ducha dziejów. System ten zakładali ludzie, można ich wymienić po nazwiskach. Na początku była mała grupa agentów, którzy uczepili się intelektualistów, a intelektualisci odegrali na cześć „nowego” symfonii patetyczną... [...] Artystów podniecała nowa władza, że taka prosta, przystępna i swojska. Zaproszenie do Belwederu, nagrody, rozmowa z Bierutem. Surowy pan, ale sprawiedliwy, podziemie wytułk, ale nas kocha. Co to wszystko właściwie miało znaczyć? Oczywiście, to targowisko próżności jest wpisane w atmosferę Warszawki, której nie lubię. To znaczy towarzyskie kontakty, stoliczek w PIW-ie, stoliczek w Czytelniku, duże nakłady i podpisywanie książek, kwiatek w celofanie, wieczór autorski, pięć tysięcy ospałych, zmęczonych robotników przychodzi i bije brawo towarzyszy pisarzowi. Pycha rosła. [...] Ekipa agentów potrzebowała na gwałt szwii pisarzowi. Pycha rosła. [...] Co oferowała ta władza? Boską rangę, rolę demiurga. [...] Więc uczuli nagle, jak ster historii jest także w ich rękach, i że oplaca się nawet w jakimś sensie okłamywać ten zbełkotany naród, na który patrzyli z pogardą. [...] (str. 194-195).

Nieco podobnie jeśli chodzi o starszą generację ocenia rzecz Wirpsza, akcentując równocześnie element, hm, braku pełnego zaangażowania władz umysłowych u pewnych pisarzy:

Najciekawsze jest pod tym względem starsze pokolenie, bo młodzież jak młodzież, dała się częściowo nabrać i raczej była szczera w tym, co robiła. Natomiast starsi: sądzę, że Nałkowska zawsze przywykła żyć w sferach władzy, lubiła to, kochała to, i tak robiła do końca życia. Iwaszkiewicz to samo. Breza: tu jest już raczej wyrachowanie i zupełny cynizm. [...] Z Andrzejewskim jest sprawa dosyć jasna: potrzeba wiary, miotanie się i brak zaplecza intelektualnego, w istocie rzeczy bardzo słabe zaplecze intelektualne, choć olbrzymi talent. [...] Tuwim... to jest sprawa nieprzeanalizowana tych rzeczy. Nie bardzo rozumiał, na jakim świecie żyje. [...] Sprawa Słonimskiego jest bardziej skomplikowana. [...] sądzę, że zaraził się radykalizmem angielskim, częściowo nawet zbliżonym do komunizmu. Wells, Bertrand Russell, wielki matematyk, ale politycznie absolutna naiwność.

[...] Wracając do Słonimskiego, to była jednak aura „Skamandra”, który miał kontakty z salonowymi komunistami. Nie zapominajmy, że sekretarzem *Wiadomości Literackich* był Broniewski” (str. 118-119).

Co do ostatnich zdań zacytowanego fragmentu: przypomnieć by jednak należało, że do „Skamandra” należeli też Wierzyński, Lechoń, Baliński no i sam Grydzewski i że „*różny im dany los i różna sława*”, mówiąc słowami „Traktatu poetyckiego”... Ciekawe jednak, że motyw przedwojennego „radikalizmu”, czyli flirtu z komunizmem przewija się dość często przez wypowiedzi zebrane w książce Trznadla, a rozmowa z Marianem Brandyssem jest wręcz zatytułowana „Tragedia lewicujących liberałów”. Tragedia? Liberałów?! Brandys ma tu na myśli inteligentów, których głównym bagażem intelektualnym była postępowość uosobiona przez felietony Boya i Słonimskiego w *Wiadomościach Literackich* i którzy nie mieli żadnego doświadczenia wschodniego. „*Ci lewicujący romantycy w przeważającej większości włączyli się po wojnie w nowy nurt polityczny, który objął rządy nad krajem*” (str. 227). Nie mam zamiaru kwestionować szczerości wypowiedzi Brandysa, który sam się do owych niedysyjszych liberałów zalicza, lecz chciałbym się zastanowić nad użytecznością tej kategorii przy analizie motywacji współpracy ze stalinizmem i nad jej rzeczywistą zawartością.

Wydaje się, że termin ten odpowiada z grubsza postawie, którą dziś na Zachodzie reprezentują *liberals* w sensie amerykańskim i *intellectuels de gauche* w sensie francuskim. W obu wypadkach chodzi o postawę apriorycznej wrogości wobec typu społeczeństwa, w którym przyszło im żyć, przy czym wrogość ta uzasadniana bywa dość ogólnikowo i *ad hoc* (Wietnam, ekologia, kapitalizm, Nikaragua itp.) jeśli zaś chodzi o program konkretnych zmian na lepsze, to jest on jeszcze bardziej ogólnikowy lub wręcz żaden. O co tym ludziom naprawdę chodzi? Podejrzewam, że o podkreślenie, a w sprzyjających warunkach także czynne zaznaczenie własnej *lepszości* uprawniającej do przewożenia „masom”, a także dokonywania na owych masach śmiałych eksperymentów socjologicznych, mających na celu radykalne przekształcenie dotychczasowej Historii itd., itd. Nietrudno dostrzec, że znajdujemy się tu znów w kręgu określonym przez Herberta związłym słowem „pycha” („*To wielka pycha utrzymywać, że można wpływać na losy świata pisząc wiersze*” (str. 200). Intelektualna pycha jst przypuszczalnie najskuteczniejszym bodźcem do zignorowania dezaprobaty otoczenia, zerwania z tradycją i dania nura w totalizm. Innymi słowy wracamy tu okrężną drogą do tego, co nazwałem brakiem pełnego zaangażowania władz umysłowych, jako że główną pożywką pychy jest zawsze ignorancja. Zacytuję jeszcze raz Herberta:

Intelektualista jest po to, żeby myślał sam na własny rachunek, nawet przeciwko wszystkim, za to jest opłacany, albo bity, wszystko jedno, to jest jego psi obowiązek — klerka. Prawda obowiązuje zawsze. Nie wolno wyzybyć się swojej indywidualności. I oto są faceci urodzeni prawie do tego, słabi, infantylni, w krótkich majtkach. Może pan sobie przypomni owe

dialektyczne igraszki: kłos, ziarno, korzeń, teza, synteza. Mnie się to okropnie podobało do dwunastego roku życia, wytłumaczyłem sobie, że mój ojciec był teza, moja mama antyteza, a ja jestem synteza. Tak faceci w krótkich majtkach, manipulując intelektualnie, zawsze będą szukali władzy, siły, służby, i złożą ofiarę ze swojej indywidualności” (str. 201).

Wracając po tej przydługiej dygresji-komentarzu do pojęcia „lewicujących romantyków”, można zaryzykować następujące stwierdzenie: to nie tyle ideologia mglistego „liberalizmu” popchnęła pewnych ludzi w objęcia Borejszy, Sokorskiego i Putramenta, co raczej stanowiła ona cechę wyróżniającą *avant la lettre* typ osobowości i umysłowości w pewnym sensie już do tego predestynowanej. Ubolewania Irzykowskiego nad płytkością intelektualną przedwojennego środowiska literackiego nie były, jak się zdaje, jedynie starczym gderaniem. Ogłuszenie wojną i świadomie zaaplikowana technika demoralizacji sowieckiej proveniencji dopełniły reszty.

Izolacja od reszty społeczeństwa, stałość życia i myślenia oraz podejrzana atmosfera samozadowolenia od pierwszej chwili akcesu powojennego były — jak wynika z większości wypowiedzi — celowo stymulowane i organizowane. Wszyscy się znali, wszyscy byli ze sobą na „ty”, mieszkali w tych samych domach, jeździli do tych samych miejscowości na wypoczynek, miewali takie same spotkania z czytelnikami, byli delegowani, zapraszani, brali udział w składani podpisów pod, protestowali przeciw i opowiadali się za. Przynależność do partii, czyli jeszcze większe odindywidualizowanie, stawała się w tej atmosferze czystą formalnością. *Huis clos*, gdzie panował nie tyle już Marks, co Parkinson. A na zewnątrz noc stalinizmu, o którym wiadomo było — jak to wtedy wyglądało — że będzie trwał wiecznie. Kto raz się tam znalazł, musiałby być straceńcem, żeby się z tego wycofać — toteż wycofujących się nie było, dopóki nie powiał inny wiatr.

Istotną rzeczą było więc nie zrobić tego fatalnego pierwszego kroku. Zależało to głównie od usposobienia (zwłaszcza braku *Geltungswahn*), dobrego przygotowania intelektualnego i posiadania jakiegoś punktu oparcia czy wytchnienia (rodzina lub grono zaufanych przyjaciół). O wadze tego pierwszego warunku mówi dużo J.J. Szczepański („...myślałem sobie: *no to nie będę pisał, będę robił co innego, nie muszę koniecznie tych książek wydawać*” str. 306) Warunek drugi podkreśla szczególnie J.J. Lipski, który w okresie powojennym uległ fascynacji nowocześniejszą filozofią („*Neopozytywizm był bardzo dobrą odtrutką na ten bałagan w głowie, który tak bardzo ułatwiał ludziom przyjmowanie także innych wariactw i szaleństw, już nie tylko logicznych*” str. 293). Znaczenie własnego środowiska przywracającego poczucie normalności podkreślają wszyscy wypowiadający się.

Wróćmy na zakończenie do pytania, postawionego na wstępie: czy czysto pragmatyczne (lub też: behawiorystyczne) podejście do sprawy „hańby domowej” wyjaśnia ją w pełni? Czy podobna manipulacja na tę samą skalę jest wciąż potencjalnie możliwa? Wydaje się, że okres stalinowski był mimo wszystko czymś wyją-

kowym i że zespół warunków umożliwiających *takie* zniewolenie umysłów tak łatwo już nie wystąpi po raz drugi: atomizacja społeczeństwa spowodowana wojną, przesiedleniami i terrorem osiągnęła wówczas stopień chyba wyjątkowy. Ponadto każda choroba wytwarza przeciwciała i pamięć owej powojennej hańby długo stanowić będzie odstrasżające memento dla wielu. Dlatego też dobrze się stało, że choć mała część bezpośrednio biorących w tym udział zechciała się wypowiedzieć i zmienić odium w świadectwo.

M. BRONSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

SW. TOMASZ Z AKWINU. *Suma teologiczna*. Tom 34. *Rzeczy ostateczne* (suppl. 87-101). Przekład, objaśnienia i skorowidze ks. St. Bełch. Str. 326 i 4 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1986).

KRÓL (Marcin). *Podróż romantyczna*. Str. 231 i 1 nlb. (Wyd. Libella, Paryż 1986).

BARAŃCZAK (Stanisław). *Atlantyda i inne wiersze z lat 1981-1985*. Str. 59 i 3 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1986).

Ks. Jerzy Popiełuszko, *życie i śmierć. Dokumenty, wspomnienia*. Str. 175 i 1 nlb. (Wyd. „Polemika”, Paryż 1986).

Ojczyzna w sercach. Prace Kongresu Kultury Polskiej, Londyn 14-20 września 1985. Str. 143 i 1 nlb. (Wyd. PUNO, Londyn 1986).

Bieżące zagadnienia krajowe. Prace Kongresu Kultury Polskiej na Obczyźnie, Londyn 14-20 września 1985. Str. 252 i 4 nlb. (Wyd. PUNO, Londyn 1986).

STEINFELD (Ludwika). *Elegie Chrystusowe*. Str. 91 i 1 nlb. (Wyd. nie podane, Frankfurt/M. 1986).

KAZIMIERCZYK (Stanisław). *Pyłki*. Str. 24. (Wyd. nie podane, Londyn 1986).

DEMEL (Ryszard). *Sergiusz Piasecki. 1901-1964. Życie i twórczość*.

Zarys monograficzny. Str. 90 i 1 nlb. (Wyd. nakładem Autora w 20 egz. dla bibliotek. Tencarola, Włochy, 1986).

Informator Polonii Kanadyjskiej 1987-1988. Str. 189 i 3 nlb. (Wyd. „Związkowiec”, Toronto 1986).

Fundacja i Centrum 2 Korpusu Wojska Polskiego przy Polonijnych Zakładach Naukowych w Orchard Lake, Mich., USA. Str. 24. (Wyd. Associate Sponsorship by Polish American Congress of Michigan, Mamtrack MI, USA).

MOCZULSKI (Leszek). *Geopolityka*. Str. 24. (Wyd. Biuro Zagraniczne KPN w Europie Zachodniej, Karlstad, Szwecja, jako przedruk polskiego wydania podziemnego, 1986).

...I pozostała tylko legenda. *Wspomnienia z żydowskiego Krakowa*. Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo „Ekked”, Tel-Aviv 1986, cena \$ US 6).

PIETRKIEWICZ (Jerzy). *Poezje wybrane*. Str. 113 i 3 nlb. (Wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1986, cena zł 100).

GÓRSKI (Karol). *Zarys dziejów duchowości w Polsce*. Str. 397 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1986, cena zł 650).

KŁOCZOWSKI (Jerzy), MÜLLEROWA (Lidia), SKARBEEK (Jan). *Zarys dziejów Kościoła katolickiego w Polsce*. Str. 470 i 4 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1986, cena zł 720).

MAJ (Bronisław). *Zmęczenie*. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1986, cena zł 120).

Kalendarz śląski 1987. Str. 221 i 3 nlb. (Wyd. „Profil”, Ostrawa 1986, cena kcz 18).

Histoire religieuse de la Pologne. Sous la direction de Jerzy Kłoczowski, traduction Karolina T. Michel, préface Jacques Le Goff. Str. 639 i 1 nlb. (Wyd. Le Centurion, Paris 1986, cena F. 198).

Ukraine 1917-1932. Renaissance nationale. Actes du colloque „La renaissance nationale et culturelle en Ukraine de 1917 aux années 1930”, Paris 25 et 26 novembre 1982. Str. 470 i 2 nlb. (Wyd. Institut National des Langues et Civilisations Orientales, Paris; Université Ukrainienne Libre Munich; Institut Canadien d'Etudes Ukrainiennes, Université d'Alberta, Edmonton).

ZAGAJEWSKI (Adam). *Coup de crayon*. Traduit du polonais par Laurence Dyèvre. Str. 177 i 7 nlb. (Wyd. Fayard, Paris 1987, cena F. 89).

GOLUBOVIČ (Z.), STOJANOVIC (S.). *La crise du système yougoslave*. Str. 58. (Wyd. IN-DEX, Köln 1986, w cyklu „Les crises des systèmes de type soviétique”).

On trial in Gdansk. A transcript of the proceedings against Adam Michnik, Bogdan Lis, Władysław Frasyniuk May-June 1985. Translated by Jane Cave and Roman Dumas. Str. 190 i 4 nlb. (Wyd. Poland Watch Center, Washington DC, 1986).

Reinventing Civil Society. Poland's Quiet Revolution 1981-1986. A Helsinki Watch Report. Str. 101 i 7 nlb. (Wyd. The U.S. Helsinki Watch Committee, NY 1986).

WEDEL (Janine). *The Private Poland. An Anthropologist's Look at Everyday Life*. Str. 230 i 4 nlb. (Wyd. Facts on File Publications, New York - Oxford, 1986, cena \$ US 17.95).

Famine in Ukraine 1932-1933. Edited by Roman Serbyn and Bohdan Krawchenko. Str. 192 i 4 nlb. (Wyd. Canadian Institute of Ukrainian Studies, University of Alberta, Edmonton 1986).

Political Thought of the Ukrainian Underground 1943-1951. Edited by Peter J. Potichnyj and Yevhen Shtendera. Str. 406. (Wyd. Canadian Institute of Ukrainian Studies, University of Alberta, Edmonton 1986).

SMIEJA (Florian). *Not a Tourist Poems*. Str. 56 i 4 nlb. (Wyd. Third Eye, London Canada, 1986).

SCHROEDER (Gertrude). *The System versus Progress*. Str. 100. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, London 1986).

HAVEL (Vaclav). *Acceptance speech written on the occasion of the award of the Erasmusprize 1986*. Str. nlb. (Wyd. Foundation Praemium Erasmianum 1986).

HIMKA (John-Paul). *The Greek Catholic Church and Ukrainian Society in Austrian Galicia*. Str. 14. (Wyd. Ukrainian Studies Fund — 1986, Harvard University, Cambridge MA, USA).

HAVEL (Vaclav). *Politics and Conscience*. Str. 24. (Wyd. Charta 77 Foundation, Stockholm, i Rowohlt Vlg, RFA 1986).

LIZAKOWSKI (Adam), WARREN (Neal M.). *Anteroom. Poetry*. Str. 42 i 2 nlb. (Wyd. Trojan Horse Press, San Francisco 1986).

ŁOPINSKIJ (M.), MOSKIT (M.), WILK (M.). *Nielegaty (Konspira)*. Przeł. N. Gorbaniowska i L. Szatunow. Str. 268 i 4 nlb. (Wyd. Overseas Publications Interchange, London 1987).

SOLŻENICYN (Aleksandr). *Krasnoje koleso. Uziel III. Murt siemnadcatowo*. Str. 711 i 1 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris 1987).

HELLER (M.), NIEKRICZ (A.). *Utopia u władzy. Historia Związku Radzieckiego z 1917 roku do naszych dni*. Wyd. II, rozszerzone i poprawione. Str. 926 i 2 nłb. (Wyd. OPI, London 1986).

PADOCH (Jarosław). *Łew Okynszewicz, wydatny historyk państwa prawa Ukrainy-Hetmanowszczyzny XVII-XVIII stulecia*. Str. 40. (Wyd. Ukraiński Uniwersytet, NY-München 1985).

SIEMIENOWA (Alina). *Godziny nadziei*. Str. 60 i 4 nłb. (Wyd. „Głos Radzimy”, Mińsk 1986, cena 20 kop.).

HAVEL (Václav). *Dávkový výhled (rozhovor s Karlem Hvizdalou)*. Str. 230 i 2 nłb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1986).

KLIMA (Ivan). *Soudce z milosti*. Str. 637 i 3 nłb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1986).

Annali della Fondazione Einaudi, vol. XIX, 1985. Str. 150 i 10 nłb. (Wyd. Fondazione Einaudi, Torino, Włochy).

Oberschlesisches Jahrbuch 1986. Str. 336. (Wyd. Laumann Vlg, Dülmen 1986).

MIŁOS (Ceslav). *Kontinenti. Esei*. Przeł. Petar Vujčić. Str. 335 i 5 nłb. (Wyd. Decje novine, Gornji Milanovac, 1986).

SKLOVSKI (Viktor). *Za i protiv. Beleske o Dostojevskom*. Przeł. Petar Vujčić. Str. 261 i 3 nłb. (Wyd. Grafos, Belgrad 1987).

LEM (Stanisław). *Fred po jordan*. Zweigbergk. Str. 338 i 6 nłb. (Wyd. Brombergs, Sztokholm 1986).

MIŁOSZ (Czesław). *Sängen om pärlan och andra dikter*. Przeł. na szwedzki Nils Ake Nilsson. Str. 113 i 5 nłb. (Wyd. Brombergs, Sztokholm 1986).

Aktuella händelser i Folkrepubliken Polen. Referat. Str. 90. (Wyd. Polsk-Skandinavisk Forskningsinstitut, Köpenhamn 1986).

HERBERT (Zbigniew). *Rapport fra den belejrede by*. Przeł. Janina Katz i Uffe Farder. Ilustracje Małgorzata Buras. Str. 99 i 5 nłb. (Wyd. Brøndum, Kopenhaga 1986).

Hungaro-polonica. Str. 245 i 3 nłb. (Budapeszt 1986).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

8-11-86

Chronologia alkoholizmu w Polsce. Niezależne pismo *Sektor* w nrze 124 podaje następujące dane: w końcu XVIII wieku spożycie wahało się od 1,5 do 3 litrów czystego spirytusu na głowę; w latach 1840-1844 — 10 litrów, a w niektórych rejonach nawet więcej; w latach 1863-1864 — 20 litrów (było to spowodowane klęską powstania oraz wprowadzeniem kartofli jako surowca do wyrobu alkoholu); w roku 1912 — 3,4 litra; w okresie międzywojennym — około 1,8 litra; w czasie okupacji niemieckiej — 5 litrów; w latach 1945-1949 — 3,5 litra; w roku 1970 — 7,8 litra; w roku 1980 — 10 litrów; w latach 1982-1985 — spożycie alkoholu przekroczyło 10 litrów czystego spirytusu na osobę.

13-11-86

Zmarł we Wrocławiu w wieku 91 lat płk Jan Maksymilian Sokołowski, legionista I Brygady, w czasie ostatniej wojny szef Sztabu 35 wileńskiej dywizji piechoty, dowódca obszaru Wschodu ZWZ Armii Krajowej.

19-11-86

Zmarł w Warszawie w wieku 85 lat Wacław Błazejewski, historyk i działacz harcerski, autor „Historii harcerstwa polskiego” i innych prac w tym zakresie.

18-12-86

Koło Polonistów przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim zorganizowało sesję naukową poświęconą działalności Instytutu Literackiego. W czasie sesji zostały wygłoszone następujące referaty: M. Zieliński: „Przeszłość i teraźniejszość Instytutu Literackiego w Paryżu”; J. Woźniakowski: „Osoba i twórczość Józefa Czapskiego”; Z. Kudelski: „Twórczość Gustawa Herling-Grudzińskiego”; M. Król: „Kształtowanie i ścieranie się wątków myśli politycznej w publicystyce środowiska paryskiej Kultury”; P. Kłoczowski: „K. A. Jeleński — eseista i tłumacz” (wokół Gombrowicza i Miłosa); K. Dybiec: „Kulturotwórcza rola Instytutu Literackiego w Paryżu”. Sesję zamknęło wystąpienie Adama Michnika na temat osoby i twórczości Gustawa Herling-Grudzińskiego. Wyświetlono także film poświęcony Instytutowi Literackiemu.

19-12-86

Z okazji 90-tej rocznicy urodzin marszałka Konstantego Rokossowskiego odbyło się w PRL szereg okolicznościowych uroczystości. W Warszawie ma się zebrać ogólnopolska sesja naukowa poświęcona osobie Rokossowskiego, pod hasłem „K. Rokossowski, marszałek dwóch narodów”.

30-12-86

Zmarł w Krakowie w wieku 59 lat Jerzy Kwiatkowski, wybitny historyk literatury, eseista i krytyk literacki.

31-12-86

Zmarł w Krakowie w wieku 64 lat Olgierd Terlecki, literat i publicysta historyczny, m.in. autor książek o generale Sikorskim, Józefie Becku, szkieł z dziejów Polski międzywojennej etc. Przed śmiercią pracował nad książką o Marszałku Piłsudskim.

W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

1-1-87

Zde perspektywy eksportu PRL. W 1986 roku eksport do RFN spadł o 15 % w porównaniu do 1985 roku; są również bardzo niekorzystne relacje cen głównych pozycji eksportowych Polski, a mianowicie ceny miedzi spadły o 20 %, srebra — o 30 %, siarki — 13 %, chemikaliów — 14 %; nastąpił też znaczny spadek cen węgla.

4-1-87

W Moskwie podpisano protokół o utworzeniu międzyrządowej komisji, która będzie dokonywała okresowej wymiany informacji o rozwoju kultury, nauki i oświaty w ZSSR i w PRL. Będzie ona również badała stan i perspektywy rozwoju dwustronnych stosunków w tych dziedzinach. Ma się także zająć opracowywaniem zaleceń odnośnie realizacji uzgodnień dotyczących kultury i nauki. ■ W krakowskiej galerii „Inny świat”, kierowanej przez Tadeusza Nyczka i Macieja Szybistę, odbył się w grudniu wernisaż obrazów śp. Krystyny Herling-Grudzińskiej. W styczniu przeniesiono wystawę do Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, którego kierownikiem jest ksiądz Andrzej Przekaziński. W katalogu wystawy krakowskiej malarke prezentują Jacek Woźniakowski i Maciej Szybist; włączono również do katalogu fragment *Dziennika pisanego nocą* jej męża. Do katalogu wystawy warszawskiej wstęp napisała Magdalena Hniedziewicz.

5-1-87

W tym sezonie zimowym przeznaczono w Polsce 40 żubrów do odstrzału tzw. dewizowego. Strzał do żubra kosztuje 3-4 tys. dolarów, nie licząc wysokich (także dewizowych) kosztów obsługi. Myśliwi zagraniczni mogą zabrać z upolowanego żubra tylko skórę i łeb.

8-1-87

Według oceny Światowej Organizacji Zdrowia najbardziej dotkniętymi krajami po awarii reaktora atomowego w Czarnobylu były: Szwajcaria, Bawaria, Północne Włochy i Jugosławia. Jeśli idzie o Polskę, to według opinii Państwowego Zakładu Higieny skażenie nie było groźne, ale utrzyma się jeszcze przez trzy lata.

11-1-87

Trybuna Ludu podaje, że w pierwszej połowie bież. roku nastąpi w PRL wzrost o 30 % zachorowań na czerwone, o 20 % zatruc pokarmowych, o 12 % salmonellozy, o 8 % biegunki u dzieci do lat dwóch.

20-1-87

Podwyżki cen w Polsce. Prasa podaje, że z cen urzędowych i regulowanych przeniesiono do kategorii cen umownych m.in. ceny na drewno tartaczne, ziemniaki, podroby, śmietanę, cukier w kostkach, zapalki, wyroby spirytusowe i tytoniowe z importu. Do cen regulowanych (kosztami produkcji) przeniesiono z cen urzędowych: kaszę jęczmienną, makarony, konserwy dla dzieci, wyroby opatrunkowe i zeszyty. W poszczególnych województwach nastąpiła gwałtowna podwyżka cen przede wszystkim na podroby i śmietanę. Z tego powodu wiceprezes Centralnego Związku Spółdzielni Mleczarskich podał się do dymisji. ■ Minimalna płaca w polskich przedsiębiorstwach uspołecznionych została podniesiona z 5.400 zł do 7.000 zł. ■ Tylko 14 % rodzin polskich korzysta z czasów pracowniczych, 53 % nie uczęszcza do kina, a 40 % nie czyta książek.

25-1-87

Rzecznik Ministerstwa Obrony Narodowej PRL, gen. L. Wojtasik, zakomunikował, że ze względu na przekonania niektórzy poborowi mogą prosić o skierowanie do służby zastępczej w szpitalnictwie, zakładach opieki społecznej, ochrony środowiska naturalnego, gospodarki komunalnej, kopalni itp. W służbie tej poborowi nie noszą munduru, nie składają przysięgi i nie mają styczności z bronią.

1-2-87

Na żądanie Międzynarodowego Funduszu Walutowego złoty został dewaluowany o 17 % w stosunku do dolara i do rubla. Jest to trzecia dewaluacja w okresie jednego roku. Kurs będzie wynosił zł 240 za jednego dolara i zł 115 za jednego rubla transferowego. ■ W niezależnym piśmie dolnośląskim zamieszczono reportaż pt.: „W czym interesie leży obecność wojsk sowieckich w Polsce?”. Okazuje się, że przede wszystkim w interesie ludności zamieszkującej tereny nieopodal sowieckich jednostek. Mimo — ponoć wrodzonej — niechęci do Rosjan, kwitnie tu zupełnie normalny, nieskrepowany socjalistycznymi regułami handel. Oto kilka detali z nadodrzańskiej giełdy: — „Ze słodyczy dużą popularnością cieszą się wśród Polaków chałwa, cukierki czekoladowe i czekolada — po cenach konkurencyjnych, niższych od naszych i bez kartek, a znacznie lepsze, oraz ananasy i daktyle, kawa, pieprz i inne przyprawy. Realizowane są także zamówienia z branży technicznej, chemicznej, artykułów gospodarstwa domowego. Oferuje się wiertarki, narzędzia precyzyjne, diamentowe piły i tarcze szlifierskie, mikroskopy, lornetki — znów po cenach konkurencyjnych — futra karakułowe, firanki, zasłony, koce z wielbłądziej wełny, nici, pastę do zębów, mydła i proszki, maszynny do szycia, komplety garnków — także polskie — komplety sztuców i... zabawki, wreszcie urocz samowary w wersji eksportowej. Z branży budowlanej można kupić niemal wszystko, a z przemysłu motoryzacyjnego: benzynę i olej napędowy — w każdej ilości i bez kartek. Rosjanie mają wyrobiony gust. Zainteresowani są głównie nowinkami z Zachodu. Dużym wzięciem cieszą się katalogi zachodnich firm wysyłkowych. Tradycyjnie już najwyższe ceny osiąga wszelkiej maści pornografia. Za dobre magazyny porno można kupić niemal wszystko. Poszukiwany jest wysokiej klasy sprzęt radiowo-elektroniczny, zestawy, odtwarzacze magnetowidowe i kasety video. Z kaset największym wzięciem cieszą się filmy porno z 'Kaligulą' na czele. Sporym zainteresowaniem cieszą się filmy 'wymierzone w Kreml', to jest mające wyjątkowo antysowiecki charakter. Największe ceny osiągają 'Łowca jeleni', 'Rambo', 'Czerwony świat', 'Rocky IV', 'Inwazja na USA'. Z 'bibuły' największą popularnością cieszy się... Pismo Święte w językach rosyjskim, ukraińskim, litewskim i białoruskim. Bibuła antykomunistyczna i antysowiecka wydawana w języku rosyjskim cieszy się ze zrozumiiałych względów mniejszym wzięciem. Chwałą za to polskie spirytualia, choć zapotrzebowanie na ten towar jest już umiarkowane — są w tej branży samowystarczalni. Kontakty handlowe pomimo obiektywnych ograniczeń rozwijają się na coraz większą skalę i — mówiąc językiem komunistycznej nowomowy — korzyści są obustronne. Przy odrobinie dobrej woli można w nich dostrzec załączki przyszłego handlu między Polską i Rosją”.

8-2-87

Zmarł w Warszawie w wieku 70 lat Czesław Wołłejko, wybitny aktor.

15-2-87

W konferencji zwołanej w Moskwie na temat „Świat bez broni atomowej” z ramienia Prymasa biorą udział: bp Alfons Nossol, ks. prof. Joachim Kądziela, doc. dr. hab. Rudolf Buchała oraz Ryszard Bender (profesor KUL-u).

ZACHÓD — EMIGRACJA

29-10-86

Zmarł w Meadville, PA (USA) w wieku 77 lat Konstanty Symonolewicz (Konstantin Symmons-Symonolewicz), historyk Europy Wschodniej, doktor filozofii w zakresie socjologii i antropologii, profesor Allegheny College w Pensylvanii, autor szeregu prac (w języku angielskim) z dziedziny socjologii, teorii nacjonalizmu i narodowości; jego ostatnia praca — „National Consciousness in Poland: Origins and Evolution”. W Polsce ukazał się w 1979 roku w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej zbiór jego prac pt. „Ze studiów nad Polonią Amerykańską”. W okresie międzywojennym K. Symonolewicz był pracownikiem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych, współpracował z tygodnikiem *Biuletyn polsko-ukraiński* oraz z dwutygodnikiem *Mysł polska*.

24-11-86

W stanie Arizona założono koło Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, zorganizowane przez grupę naukowców polskiego pochodzenia. Założycielami są: dr Stanley S. Chęciński (prezes), b. wykładowca na Uniwersytecie we Wrocławiu, od 1985 roku pracuje w korporacji Sperry, gdzie prowadzi badania w zakresie nowoczesnych technologii; dr Christopher K. Mrela, socjolog, pracował w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, w 1984 roku przebywał w Oxfordzie na zaproszenie Nuffield College, obecnie zaś prowadzi badania dla Departamentu Stanu USA; dr Szczepan B. Kraśnicki, fizyk, pracował w Instytucie Fizyki Jądrowej Uniwersytetu Jagiellońskiego, od 1985 roku jest pracownikiem naukowym Arizona State University; dr Aleksandra Grudzińska, filolog, od 1973 roku wykładowca języka francuskiego na Arizona State University; dr Tadeusz Świdziński, psycholog, kierował Instytutem Socjologii Pracy w Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie, obecnie jest pracownikiem stanowym w wydziale domów poprawczych; inż. Jadwiga J. Chęcińska, wykładowca w Instytucie Automatyki i Pomiarów we Wrocławiu, obecnie pracuje w Sperry jako inżynier projektant, jest członkiem Stowarzyszenia Kobiąt Inżynierów w USA, gdzie była przewodniczącą sekcji zatrudnienia; dr Barbara Bucko-Kraśnicka, matematyk, wykładowca w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, jej specjalnością są paraboliczne równania różniczkowo-funkcjonalne, obecnie pracuje w Stanach Zjednoczonych.

1-12-86

Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku przeprowadził się do nowego domu przy 208 East 30th Street, New York, N.Y. 10016. Instytut jest obciążony pożyczką hipoteczną na \$ 200.000. Urządzenie i utrzymanie pięciopiętrowego budynku wymagać będzie dodatkowo kilkudziesięciu tysięcy dolarów. Apel Instytutu o pomoc finansową spotkał się z żywym odzewem i w ciągu pierwszego miesiąca wpłynęło około 20 tys. dolarów.

19-12-86

Zmarł nagle w Paryżu w wieku 79 lat Alain Kosko, urodzony w Nicei, poeta i świetny tłumacz zarówno poezji jak i literatury polskiej na język francuski. Tłumaczył m.in. Witolda Gombrowicza. Do Polski wrócił w roku 1921, po ukończeniu studiów w Szwajcarii. Mieszkał w Poznaniu, pracował w radio i m.in. założył wraz z kolegami pismo poświęcone poezji. W czasie drugiej wojny światowej brał udział w ruchu oporu w Polsce, aresztowany przez Niemców, po zakończeniu wojny wrócił do Francji.

29-12-86

Zmarł w szpitalu w Horton w Anglii w wieku 72 lat Bolesław Kобрzyński, poeta — żołnierz SBSK i 3 DSK, autor tekstu na pomniku 3 DSK na Monte Cassino: „Za wolność naszą i waszą my, żołnierze polscy, oddaliśmy Bogu ducha, ziemi włoskiej ciało, a serce Polsce”.

2-1-87

Związek Artystów Sceny Polskiej za granicą w Chicago zorganizował obchód z okazji 80-tej rocznicy urodzin Feliksa Konarskiego-Refrena, znanego przede wszystkim jako autor tekstu piosenki „Czerwone maki na Monte Cassino”. ■ Jakie języki dominują w świecie? Po chińsku mówi 700 mln ludzi, po angielsku 320 mln, hindi-urdu — 280 mln, po rosyjsku — 160 mln, po hiszpańsku — 190 mln; język francuski znajduje się na 11-tym miejscu po Bengali, Japonii i Niemczech. W życiu międzynarodowym językiem angielskim jako oficjalnym posługuje się 47 krajów, francuskim — 26, arabskim — 21, hiszpańskim — 19.

10-1-87

W związku z przejściem na emeryturę rektora Polskiej Misji Katolickiej w Niemczech Zachodnich, ks. Prałata Stefana Leciejewskiego, został wyznaczony nowy rektor i delegat do spraw duszpasterstwa polonijnego w osobie ks. dr. Franciszka Mrowca, dotychczasowego proboszcza polskiej parafii w Lubece. Nominacji dokonał ks. Kardynał Höffner w porozumieniu z Prymasem Polskim i Konferencjami Episkopatu polskiego i niemieckiego.

12-1-87

Znany dziennikarz polski Zdzisław Bau został ponownie wybrany pierwszym wiceprezydentem Foreign Press Association w Nowym Jorku. Zdzisław Bau jest korespondentem prasy argentyńskiej.

13-1-87

Roman Brandstaetter został laureatem nagrody im. Gottfrieda Herdera, przyznawanej przez uniwersytet wiedeński. Wręczenie nagrody odbędzie się 7 maja bież. roku. Do tej pory nagrodę tę otrzymali następujący Polacy: Witold Lutosławski, prof. Roman Ingarden, prof. Jan Białostocki, prof. Kazimierz Michałowski, Zbigniew Herbert, Krzysztof Penderecki, Jan Józef Szczepański, Władysław Bartoszewski i Andrzej Wajda.

20-1-87

W Biurze Koordynacyjnym „Solidarności” w Brukseli złożył wizytę ambasador Richard Shifter, asystent sekretarza Stanu do spraw człowieka, któremu towarzyszył ambasador USA przy Komisji Europejskiej, William Midden-dorf. Poza ogólną sytuacją „Solidarności” w Polsce i biura w Brukseli, ambasador Shifter interesował się zwłaszcza sprawą represji ekonomicznych i skazywania działaczy „Solidarności” przez kolegia do spraw wykroczeń. W rozmowie poruszono także sprawę tak zwanych sankcji amerykańskich wobec PRL.

26-1-87

XX Zjazd delegatów Rady Naczelnej polskich organizacji w Australii wybrał nowe władze: prezesem został wybrany ponownie Krzysztof Łańcucki, który ostatnio otrzymał order Australii IV klasy (members in the General Division of the Order of Australia, AM).

27-1-87

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 96 lat Bohdan Nagórski, wybitny specjalista od spraw żeglugi morskiej i portów. Po wojnie był przez szereg lat doradcą Narodów Zjednoczonych d/s budowy portów.

31-1-87

W Chicago odbyło się spotkanie kierownictwa Kongresu Polonii Amerykańskiej z grupą członków „Solidarności”, przebywających na emigracji w Stanach Zjednoczonych. Podczas spotkania omawiano sposoby i formy włączenia się środowisk „Solidarności” w społeczne i polityczne prace Kongresu, zarówno na szczeblu krajowym jak i stanowym. Została powołana grupa robocza, która ma zająć się nawiązaniem kontaktu ze wszystkimi grupami emigracji solidarnościowej w USA. Prezes Kongresu, p. Alojzy Mazewski, zaprosił uczestników spotkania do udziału w pracach komisji do spraw Polski i do Komitetu Pomocy Opozycji Demokratycznej w Polsce. W spotkaniu z ramienia KPA wzięli udział pp. Alojzy Mazewski, Kazimierz Łukomski, Roman Puciński oraz Bonawentura Migala, a z ramienia „Solidarności” pp. Paweł Bąkowski z Bostonu, Ewa Sułkowska-Bierezin z Chicago, Jarosław Chołodecki z Chicago, Czesław Kijanka z Seattle, Andrzej Machalica z Sacramento, Kazimierz Masiak z Chicago, Piotr Mroczek z Waszyngtonu, Zbigniew Nieoczym z Nowego Jorku, Stanisław Oleksy z Raleigh, Wacław Sikora z Hot Springs oraz Leszek Waliszewski z Detroit. ■ P. Gustaw Ślepokora w Londynie zainicjował stworzenie funduszu wydawniczego im. Józefa Łobodowskiego dla wydania jego prac. W tym celu p. Ślepokora wpłacił do *Dziennika Polskiego* £1.000, zwracając się z apelem o poparcie tej inicjatywy. Czeki lub gotówkę należy przekazywać do Redakcji *Dziennika Polskiego* (POLISH DAILY, 9 Charleville Road, London W14 9JL), z zastrzeżeniem że jest to wpłata na J. Łobodowski Fund.

9-2-87

Nagrody Fundacji Alfreda Jurzykowskiego za rok 1986: *medycyna* — prof. Felix Milgrom, profesor bakteriologii i immunologii w Szkole Medycznej nowojorskiego uniwersytetu w Buffalo, N.Y., autor ponad 400 publikacji z zakresu swoich specjalności, USA; *medycyna społeczna* — dr Marek Edelman, kardiolog, Polska; *chemia*: prof. Włodzimierz Kołos z Instytutu Chemii PAN, Polska; *matematyka*: prof. Stanisław Hartman, Polska; *historia*: prof. Tadeusz Łepkowski z Instytutu Historii PAN, Polska; *literatura*: Stanisław Lem, Austria; *krytyka literacka*: prof. Michał Głowiński, Instytut Badań Literackich PAN, Polska; *historia sztuki*: Aleksander Wojciechowski, Wydział Sztuki Nowoczesnej PAN, Polska; *sztuka wizualna*: Jan Lenica, artysta-grafik i malarz, autor wielu nagrodzonych filmów, Francja; *muzyka*: Józef Michał Chomiński — emerytowany profesor muzyki i dyrektor Instytutu Historii i Teorii Muzyki, PAN, autor wielu książek, w tym trzech o Chopinie i o Szymanowskim, Polska.

11-2-87

Wspólny Rynek posiada ogromne nadwyżki żywnościowe. Ich składowanie na dzień 1 października 1986 kosztowało podatników europejskich 9 i pół miliarda franków (1,3 mln ton masła, 730.000 ton mięsa wołowego, 1,6 mln ton zbóż). Żeby choć częściowo rozładować chłodnię, zaproponowano duńskim rolnikom zakupienie 1.800 ton „zjeżdżającego” masła na pokarm dla świń. Ostatnio Związek Sowiecki wyraził chęć zakupu 800.000 ton tego masła po cenie tak niskiej, że taka transakcja będzie kosztowała Wspólny Rynek miliard dolarów (producenci nowozelandzcy twierdzą, że to masło nie jest przeznaczone dla świń, ale będzie odsprzedane „zaprzyjaźnionym krajom” jak Kuba i Wietnam). Ponadto Związek Sowiecki ma zakupić 2 miliony ton zboża po cenie 440 franków za tonę, to jest za połowę cen światowych. Ma się rozumieć, że producenci otrzymają za tonę 1.240 franków, a różnicę, to jest 6 miliardów franków, dopłaci Wspólny Rynek. Jeśli idzie o mięso, to pomimo tak ogromnych nadwyżek Wspólny Rynek kupił ostatnio 64.000 wołów w Polsce (gdzie praktycznie ludność jest pozba-

wiona mięsa) z przeznaczeniem dla Grecji i Włoch, które nie znajdują u swoich europejskich partnerów cieląt na utuczenie. Tego rodzaju transakcji jest znacznie więcej, decydują o nich interesy polityczne.

KRONIKA AUSTRALIJSKA
I NOWOZELANDZKA

PAPIEŻ DLA WSZYSTKICH

Papież Jan Paweł II przybył do Australii na zaproszenie australijskiego federalnego rządu oraz Kościoła katolickiego w Australii. Pobyt w Australii Jana Pawła II trwał 6 i pół dnia (od 24 listopada do 1 grudnia 1986). Była to kolej 32 zagraniczna podróż i 73 kraj, który Jan Paweł II odwiedził. Trasa australijskiej pielgrzymki pokryła 11 tys. km i objęła sześć stolic stanowych, stolicę federalną Canberra, stolicę Północnego Terytorium Darwin oraz Alice Springs (także w Północnym Terytorium), główny ośrodek tubylców — Aborygenów. Była to najdłuższa pielgrzymka Jana Pawła II (olbrzymi teren Australii równa się 3/4 obszaru Europy).

Australia posiada obecnie 16 milionów mieszkańców, w tym 4 miliony katolików. W latach siedemdziesiątych (podobnie jak Kanada), Australia wprowadziła politykę wielokulturowości (25 % ludności jest nieanglosaskiego pochodzenia), której pionierem i architektem jest prof. Jerzy Zubrzycki — założyciel katedry socjologii na Australijskim Uniwersytecie w Canberra.

Australijską pielgrzymkę Jana Pawła II obsługiwało ponad 3 tys. dziennikarzy i pracowników środków masowego przekazu. Przyjęcie ze strony Australijczyków było entuzjastyczne, niezależnie od ich wyznania. Udział w spotkaniach z Papieżem wyjątkowo duży. I tak np. na mszy św., na torze wyścigowym w Sydney, mieście o ludności w 75 % niekatolickiej, zebrało się ćwierć miliona ludzi. Tego jeszcze nie było. Żadna osobistość, nawet królowa angielska nie zgromadziła tak dużych tłumów i tak entuzjastycznie witających. Jan Paweł II przyjmowany był wszędzie bardzo serdecznie nie tylko jako głowa Kościoła katolickiego, ale jako przywódca moralny całego świata i rzecznik praw człowieka.

Spotkanie Jana Pawła II z australijską Polonią odbyło się na wielkim stadionie sportowym, prawie w centrum Melbourne. Na spotkanie to przybyło około 50 tys. osób, w tym przedstawiciele grup narodowościowych ze Wschodniej Europy: Litwini, Łotysze, Słowacy, Czesi, Ukraińcy i Węgrzy. Papież przemówił do wymienionych grup w ich językach.

Przed przyjazdem Papieża ks. bp Szczepan Wesoły odprawił na stadionie mszę św. w intencji Ojca Świętego, koncelebrowaną przez 38 duszpasterzy polskich w Australii i Nowej Zelandii, w honorowej asyście około 50 polskich pocztów sztandarowych (Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Związku Harcerstwa Polskiego, Armii Krajowej, stowarzyszeń religijnych i „Solidarności”).

W czasie wyczekiwania na przyjazd Papieża, odbyło się wspaniałe widowisko z udziałem tanecznych zespołów folklorystycznych, chórów i solistów. W specjalnym programie (modlitwa, poezja i pieśń), wystąpiła także znana polska aktorka z Krakowa Danuta Michałowska, koleżanka Karola Wojtyły z okresu Jego teatralnej działalności, recytując Jego wiersz „Myśląc Ojczyznę”.

Pierwszy powitał Papieża Delegat Prymasa Polski d/s Duszpasterstwa Emigracji biskup Szczepan Wesoły, który przedstawił australijską Polonię, jej historię i osiągnięcia. Następnie witali rektor Polskiej Misji Katolickiej w Australii i Nowej Zelandii ks. Stanisław Wrona i prezes Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii Krzysztof Łańcucki.

Po powitaniach połączone polskie taneczne zespoły folklorystyczne z różnych stanów Australii, w liczbie kilkuset osób, zatańczyły przed Papieżem. Po popisach tanecznych wręczyli Papieżowi kwiaty laureaci Konkursu Listów od Dzieci. Po czym nastąpiła Liturgia Słowa, którą prowadził Jan Paweł II. W wygłoszonej homilii Papież zaapelował ażeby nie zapominać o swoim rodowodzie, aby nie ustawać w pracach na rzecz cierpiącej Polski.

Z wezwaniem „Pamiętajcie” zwrócił się Papież do polskiej młodzieży, zachęcając do kultywowania polskości. Wspomnił także o „Solidarności” mówiąc: „Jest to imię drogie Polakom, zwłaszcza w ciągu ostatnich lat i widzę je tutaj na wielu sztandarach i na wielu miejscach...”.

Z okazji spotkania Jana Pawła II z australijską Polonią wydany został specjalny papieski numer *Tygodnika Polskiego* (Melbourne), w nakładzie 30 tys. egzemplarzy, który bezpłatnie rozdawany był Polakom przybywającym na to spotkanie, oraz atrakcyjnie wydany program.

Do wielkiego sukcesu spotkania Ojca Świętego z Polakami przyczynił się duży i bardzo ofiarny wkład pracy wiktoriańskiego komitetu organizacyjnego z przewodniczącym ks. Wiesławem Słowikiem i wiceprzewodniczącym Piotrem Koziełłem. (Ks. Wiesław Słowik był wyświęcony na księdza przez kardynała Karola Wojtyłę w 1973 roku, w czasie bytności kardynała w Melbourne na Kongresie Eucharystycznym).

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

KRONIKA FRANCUSKA

5 stycznia zmarł w wieku 68 lat Guy Lambert de la Croix, prezes francuskiego związku zawodowego dziennikarzy chrześcijańskich. Guy Lambert de la Croix był wiernym przyjacielem Polaków, brał w ostatnich latach wydatny udział w rozmaitych akcjach pomocy charytatywnej dla Polski. ■ Alain Juppé, sekretarz Stanu d/s budżetu w rządzie premiera Chiraca, jeden z głównych działaczy gaullistowskiej partii RPR, spotkał się z przedstawicielami Polonii w miejscowości Arras na północy Francji w końcu stycznia.

■ 24 stycznia książd prałat Stanisław Jeż, rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji, poświęcił posąg św. Kazimierza, który umieszczono we wnęce frontowej fasady Domu Starców i Sierot w Paryżu, zwanego Zakładem św. Kazimierza. Ten historyczny zakład powstał w połowie XIX wieku, a do grona jego pensjonariuszy należeli Cyprian Kamil Norwid, Tomasz August Olszowski, generał Wysocki, pułkownik Zaliwski i inni znani emigranci. Nowy posąg jest dziełem polskiego rzeźbiarza Józefa Pyrza. Ufundowano go dzięki staraniom Towarzystwa Historyczno-Literackiego. ■ „Wspólnota polsko-francuska” zorganizowała na początku lutego swój pierwszy „Uniwersytet zimowy”. W trzydniowych obradach w Lille (poświęconych głównie tematowi literackim) wzięli udział m.in. profesorowie: Louis Trenart, Jan Myciński, Gabriel Garçon, Edmund Gogolewski i Tadeusz Domański. ■ Seweryn Jaworski, wielokrotnie więziony przywódca „Solidarności”, przyjechał do Francji, gdzie został poddany operacji oka. Jaworski wystąpił w końcu stycznia na kolokwium zorganizowanym przez stowarzyszenie „Médecins sans frontières” (Lekarze bez granic) poświęconym obronie praw człowieka. W debacie uczestniczyli wybitni francuscy politycy i działacze społeczni, wśród nich m.in. prezydent Francji François Mitterrand i premier Jacques Chirac. ■ W „polskim Paryżu” wyraźnie wzrosła ostatnio ilość różnych spotkań i odczytów. I tak w końcu stycznia Adam Tokarski mówił w Towarzystwie Historyczno-Literackim o Henryku Sienkiewiczu w związku z 70-leciem śmierci pisarza. W sali „Centre du Dialogue” ojcowie Palloyni gościli w styczniu Krzysztofa Rutkowskiego, który wygłosił odczyt pt. „Za-

bijanie Mickiewicza w Kole Sprawy Bożej (spisek Pilchowskiego)” i Jacka Woźniakowskiego, który mówił „O powadze i zabawie w cywilizacji współczesnej”. Także w klubie „Kontaktu” odbyło się kilka ciekawych spotkań: Jan Nowak przedstawił swoją ocenę polityki amerykańskiej wobec PRL, skupiając się głównie na problemie skuteczności (czy raczej nieskuteczności) amerykańskich sankcji; Tadeusz Konwicki opowiadał o swojej twórczości; Zbigniew Rapacki mówił o stosunkach polsko-niemieckich w kontekście ostatnich wyborów w Niemczech. W klubie odbywają się też w każdy wtorek projekcje filmów. Z ostatnich warto odnotować pokaz filmu „Mgła”, zrealizowanego przez Adama Kuczyńskiego według opowiadania Andrzeja Kijowskiego. W spotkaniu wzięł udział reżyser. Ciekawie zapowiadają się najbliższe miesiące, np. 5, 6 i 7 maja na Uniwersytecie w Lille odbędzie się (staraniem Ośrodka Studiów Kultury Polskiej) międzynarodowe kolokwium poświęcone „Wschodnim kresom Polski i kontaktom między-kulturowym w Europie wschodniej XIX i XX wieku”. Spotkania dotyczyć będą współzycia narodów litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego, które znajdowały się pod zmienną dominacją Polaków i Rosjan. Przewidzianych jest 25 konferencji, w których mają wziąć udział historycy, socjologowie i literaci prawie z całego świata, w tym także i z Polski. Obradom przewodniczyć będzie Czesław Miłosz. Szczegółowe informacje na temat planowanego kolokwium można uzyskać od p. Daniela Beauvois, Directeur du Centre d'Etudes de la Culture Polonaise de l'Université de Lille III, B.P. 149, 59653 Villeneuve d'Ascq.

■ Do ostatnich dwóch „Kronik francuskich” wkładło się kilka błędów i nieścisłości: autorem odczytu poświęconego prof. Wł. Tatarkiewiczowi na Uniwersytecie Sorbona nie był prof. Jan Błoński, jak podałem w *Kulturze* nr 12/471, lecz Piotr Błoński, zamieszkały w Paryżu polonista, syn prof. Jana Błońskiego. Komitet Kultury Niezależnej, Społeczny Komitet Nauki, Zespół Oświaty Niezależnej i Społeczna Komisja Zdrowia (porozumienie znane pod nazwą OKN-o) nie są strukturami związkowymi i nie są podporządkowane władzom związkowym „Solidarności”. OKN-o nie funkcjonuje „przy NSZZ 'Solidarność'”, jak napisałem w *Kulturze* nr 1/472-2/473, lecz jest jednym z wyspecjalizowanych składników tego, co szerzej nazywamy ruchem Solidarności. W tej samej „Kronice” podałem informacje o obronie pracy Sławomira Czarlewskiego — „Obraz Francji w *Tygodniku Powszechnym* i *Tygodniku Warszawskim* w latach 1945-1948”. Słowo „praca” zostało w korekcie nieślusnie zamienione na „doktorat”: w terminologii szkolnictwa francuskiego wspomniana praca zwie się pracą III cyklu DEA i nie istnieje jej polski odpowiednik, oznacza ona mniej więcej połowę drogi pomiędzy magisterium a doktoratem. Za błędy czytelników przepraszam.

W. SIKORA

Listy do Redakcji

Monachium, 19 grudnia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim smutkiem przeczytałem list Andrzeja Berkowicza w numerze 12/471 Pańskiego pisma.

Od chwili, gdy dawny dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa pan Jan Nowak na podstawie przypadkowych, niesprawdzonych a jak się w końcu okazało — całkowicie fałszywych oskarżeń bez wahania złamał życie i zawodową przyszłość Andrzeja Berkowicza minęło piętnaście lat. I oto piętnaście lat później, w roku 1984, nowy dyrektor Rozgłośni, pan Zdzisław Najder dokładnie tak samo postąpił wobec mnie. Z tą różnicą, że ja poszedłem do sądu, domagając się publicznego wycofania oszczerstw. Pan Berkowicz nawet takiej możliwości nie miał.

W Polsce, jak wie wielu moich współtowarzyszy, a przede wszystkim wielu słuchaczy, byłem kierownikiem Radia „Solidarność”. Po internowaniu (od lutego 1982) w końcu 1982 roku wyjechałem na przymusową emigrację do Niemiec Zachodnich. Mam tu azyl polityczny.

W przeciwieństwie do p. Berkowicza w ogóle nie starałem się o pracę w RWE. Osiedliłem się w Kolonii. Od kilku już lat miałem bardzo dobre kontakty z centralą niemieckich związków zawodowych DGB, popierającą niezależny ruch związkowy w Polsce. Nauczyłem się języka niemieckiego. Zawansowana była sprawa utworzenia jakiejś komórki związkowej DGB zajmującej się wydawaniem biuletynu poświęconego międzynarodowej współpracy związków zawodowych. Miałem być jej pracownikiem. Wyobrażałem sobie, że tak mógłbym realizować mój cel, z jakim wyjechałem na Zachód: być autentycznym emigrantem politycznym.

Dyrektor Najder sam odszukał mnie w Kolonii, kilkakrotnie pisał do mnie i telefonował. Namawiał mnie do przyjazdu do Monachium i podjęcia pracy w RWE (sądząc, że dyrektorowi Najderowi imponowała myśl, że miałby w gronie swoich pracowników byłego kierownika ogólnopolskiego Radia „Solidarność”).

Długo się wahałem. W końcu przerwałem rozmowy i kontakty w Kolonii i 15 września 1984 rozpocząłem pracę w RWE w charakterze spikera. Dyrektor Najder zapewniał, że jest to sprawa przejściowa, do momentu gdy się zwolni etat redaktora. Zależy mu jednak bardzo na tym, abym jak najszybciej znalazł się w gronie pracowników.

Dnia 4 grudnia 1984 wymówiono mi pracę w RWE.

Dwa tygodnie wcześniej, 20 listopada 1984, dyrektor Najder na spotkaniu z Radą Zakładową RWE-RS (21-osobowe ciało reprezentujące prawie 1.000 pracowników, 24 narodowości, 5 odrębnych związków zawodowych) i w obecności przedstawicieli dyrekcji amerykańskiej przedstawił powody, dla których mnie zwalnia. Oto one:

- Okradłem „Solidarność” na wiele tysięcy złotych;
- Ukradłem Radiu „Solidarność” sprzęt wartości 50 tysięcy marek zachodnioniemieckich;
- Wiosną roku 1982 w obozie dla internowanych uchwalono rezolucję, piętnującą mnie jako zdrajcę;

— W Polsce Radio „Solidarność” wymówiło mi pracę.

Pragnę zwrócić uwagę, że pan Najder nie musiał wymieniać powodów, dla których mnie usuwa! Niemieckie prawo pracy przewiduje bowiem, że w ciągu sześciomiesięcznego okresu próbnego pracodawca może w każdej chwili wypowiedzieć pracę bez podania przyczyn!

Ale pan Najder właśnie chciał je podać. W obecności licznej gromady wspomnianych osób. Tak, by straszne oskarżenia przeciwko mnie stały się sprawą publiczną.

17 grudnia 1985 roku Sąd Pracy w Monachium ogłosił wyrok, którego fotokopię załączam. Pod groźbą zapłacenia grzywny w wysokości 500.000 (pół miliona) marek lub kary pół roku więzienia Sąd zakazał p. Najderowi powtarzania następujących zarzutów, cytując z werdyktu sądowego w polskim tłumaczeniu:

- że okradłem Związek „Solidarność” na wiele tysięcy złotych;
- że ukradłem Radiu „Solidarność” sprzęt wartości 50 tysięcy marek zachodnioniemieckich;
- że wiosną 1982 roku w obozie dla internowanych uchwalono rezolucję, piętnującą mnie jako zdrajcę;
- że Radio „Solidarność” kiedykolwiek wymówiło mi pracę.

TAK BRZMI WYROK SĄDU.

Moje finansowe roszczenia, w tym o odszkodowanie za poniesione straty zawodowe i materialne, są obecnie przedmiotem dalszego procesu. 3 grudnia 1986 na rozprawie w II instancji werdykt I instancji został merytorycznie w pełni potwierdzony, co właśnie umożliwiło mi w dalszej kolejności wniesienie skargi odszkodowawczej. Tym razem, w obliczu ewidentnej przegranej, dyrektor Najder przed sądem sam zobowiązał się, że nie będzie powtarzał tych oszczerstw.

Ale to już niewiele zmienia.

Nie już nie zmienia faktu, że utraciłem pracę w RWE (od strony zawodowej miałem jak najlepsze opinie), że utraciłem możliwości i kontakty w Kolonii, przeniosłem się na życzenie p. Najdera do Monachium, co przyczyniło się do rozbicia mojej rodziny, a w świat poszła opinia, że „to człowiek podejrzany, ostatecznie skoro Najder go wyrzucił, to wiedział co robi”.

Gdy wniosłem sprawę do Sądu Pracy, sam Najder a także jego adwokat (oczywiście dyrektor Najder, w przeciwieństwie do mnie, żadnych kosztów nie musiał ponosić, wszystko pokryło RWE, a jego adwokat jest etatowym adwokatem radiowym) wszczęli niesłychanie aktywne działania, byle tylko znaleźć jakichś świadków, którzy zechcieliby złożyć zeznania potwierdzające lekkomyślnie wysunięte zarzuty. Adwokat p. Najdera jeździł do Ameryki (za pieniądze Kongresu Stanów Zjednoczonych...) szukając chętnych. Wspominał świadczy o ludziach z „Solidarność”, że takich świadków *post factum* nie znalazł! O ile wiem, zgłosił się tylko p. Franciszek Drzewiński, którego małżonka pracuje w RWE i bezpośrednio podlega dyrektorowi Najderowi (Drzewiński sam jest natomiast bezrobotny) ale Sąd nie wyraził zgody na jego przesłuchanie, uznawszy go za świadka niewiarygodnego.

A teraz kilka słów o podobieństwie metod.

Gdy sprawa stała się głośna, gdy trafiła do Sądu, p. Najder oświadczył, że na wszystkie wysunięte pod moim adresem zarzuty ma świadków, dowody i świadectwa, ale ludzie ci przebywają w Polsce i przedstawienie tych dowodów i świadectw narażałoby ich na kary, z karą śmierci włącznie. (Mnie się osobście zdaje, że władze komunistyczne raczej chętnie potraktowałyby tego rodzaju wystąpienie przeciwko własnemu koledze z „Solidarność”, obecnie na Zachodzie...).

Adwokat stale operował tym argumentem i wspólnie z oskarżonym upewniał Sąd, że w Polsce — za złożenie oświadczeń przeciwko mnie — groziłaby kara śmierci. Tylko dlatego podobno pan Najder nie mógł owych „świadectw” dostarczyć. Ale zapewnił, że je posiada — i to powinno wystarczyć.

Należy mieć do niego zaufanie, bo „on posiada mandat społeczeństwa polskiego”.

Sądowi to — jak widać — nie wystarczyło.

Ale odejźmy od kwestii prawnych, od przegranej przez pana Najdera procesu o zniesławienie.

Chciałbym poddać pod dyskusję zasadnicze pytanie. Ono nie tylko mnie dotyczy: czy zgodne jest z zasadami, które muszą obowiązywać w życiu publicznym, i to szczególnie w sytuacji narodu walczącego o przetrwanie, gdy pojedynczy człowiek uzurpuje sobie prawo, by w jednej osobie być najwyższą instancją oceniającą winy innych ludzi, oskarżycielem, świadkiem i sędzią, gdy sam, jednoosobowo feruje skazujące wyroki twierdząc, że inni muszą mieć do niego „pełne zaufanie”?

Na jakiej podstawie pan Najder domaga się takich szczególnych prerogatyw dla siebie?

...Nie znamy się osobiście z panem Andrzejem Berkowiczem. Sądząc z jego listu wyjechał z Polski zanim ja dojrzałem i rozpocząłem działalność. Ale obaj zetknęliśmy się na Zachodzie z takimi samymi metodami jednostkowej uzurpacji władzy publicznej i w efekcie — niszczenia innych ludzi.

W obu przypadkach chodzi o kolejnych Dyrektorów Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa.

Z poważaniem

Marek CHLEBOWICZ
Monachium
Griegstr. 58

Załącznik: odpis wyroku sądowego Nr 12 Ca 2501/85.

Berlin, 19 grudnia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

W drugim akapicie mego wspomnienia o Barbarze Sadowskiej (*Kultura* nr 12/471, str. 107) przez własne moje gapiostwo — czyli przez nieodpowiednią kolejność zdań — wynikała nieprawda, którą niniejszym pragnę sprostować. Chodzi o napad na Komitet pomocy przy kościele św. Marcina. Prawdą jest, że Barbarę uderzono przy tym krzesłem w głowę. „Fachowo” — zgadza się także. Natomiast NIE zgadza się zdanie następne: „przechodziła POTEM dwie poważne operacje czaszki”. Otóż: owe dwie poważne operacje (z czego jedną w Szwecji — z początkiem lat 70-tych i za pośrednictwem Prymasa Wyszyńskiego) przechodziła Barbara PRZED owym dzielnym napadem. Dlatego użyłam w tekście słowa: „fachowo”. Bardzo będę Panu wdzięczna za zamieszczenie tego — koniecznego jednak — sprostowania.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania

Maria KURECKA

Edmonton, Kanada, 20 grudnia 1986.

Szanowny Panie,

W numerze grudniowym korespondent kanadyjski (str. 134) nawołuje do wsparcia wysiłków zmierzających „do ustanowienia Katedry Studiów Polskich przez fundusze ze źródeł... poza uniwersyteckich...”.

Sprawa to dość prosta: grupa etniczna gotowa przekazać \$ can. 300.000 na rzecz własnej kultury będzie potraktowana poważnie w ramach federalnego programu wielokulturowości. Odpowiednie pertraktacje prowadzą za zwyczaj do ustalenia funduszu inwestycyjnego \$ can. 1.000.000 dla wieczystego zabezpieczenia danej katedry.

Jak dotąd powstało dziesięć takich katedr w Kanadzie; niektóre powołane przez grupy etniczne mniejsze liczebnie i uboższe finansowo od polonijnej.

Z poważaniem

Karol J. KRÓTKI
University of Alberta

27 grudnia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze!

P. Andrzej Berkowicz w liście do Redakcji (*Kultura* nr 12/471) skarży się, że został zniesławiony w miesięczniku *Na Antenie*, chociaż nazwisko jego nie zostało wymienione. Mogę się tylko domyslać, że ma na myśli trzy zdania zawarte w dłuższym artykule pt. „Wydział POL-ES Bezpieki” (*Na Antenie*, grudzień 1969, nr 81, str. 5). Wbrew twierdzeniu p. Berkowicza te trzy zdania nie zawierają jakichkolwiek danych, które pozwoliłyby czytelnikowi na domysł, że chodziło właśnie o niego.

Narzuca się pytanie, dlaczego nożyce odezwały się dopiero teraz, skoro w stół uderzono w roku 1969? Można zrozumieć, że niedawno przybyłemu uchodźcy trudno było odwoływać się do sądu. Dlaczego jednak p. Berkowicz nie zabrał głosu na łamach *Kultury* siedemnaście lat temu, skoro z jego listu wynika, że redaktor zachęcał go do współpracy?

P. Berkowicz wzbudził istotnie nieufność swoim zachowaniem, gdy odwiedził RWE w Monachium w roku 1969. Przeszło dwa lata temu w czasie mojej wizyty w Sztokholmie otrzymałem od niego list utrzymany w tonie kurtuazyjnym. Zrozumiałem go jako prośbę o wyjaśnienie powodów nieufności i apel, by nie nadawać incydentowi sprzed lat siedemnastu rozgłosu w moich radiowych wspomnieniach. P. Berkowicz powoływał się m.in. na to, że jest człowiekiem nieuleczalnie chorym. Po zasięgnięciu opinii moich przyjaciół w Szwecji uznałem uspokojenie tych obaw za czysto ludzki obowiązek wobec bardzo nieszczęśliwego człowieka i dałem temu wyraz w liście, który p. Berkowicz zacytował pomijając niestety istotny jego fragment. Domyslałem się, że p. Berkowicz musiał mieć swoje powody, by wystąpić z publicznym protestem dopiero po otrzymaniu tego „rozgrzeszenia”, które w moich intencjach miało zamknąć sprawę.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Jan NOWAK

Carindale, Australia, 31 grudnia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Bardzo nie lubię pisać. Zdecydowałem się jednak na ten wysiłek z dwóch powodów.

Powód pierwszy, to artykuły Jakuba Karpińskiego dotyczące lewicy i prawicy.

Otóż nie bardzo rozumiem, o co autorowi chodzi. Wydaje mi się, że głównym powodem ich napisania była chęć ustalenia, jaka partia polityczna najsprawniej odbudowałaby zniszczoną przez komunistów gospodarkę w przypadku odzyskania niepodległości. W tym celu Karpiński odgrzewa dziewięć-

nastawieczny podział na lewicę i prawicę, a następnie stara się zdefiniować te pojęcia. Moim zdaniem, tak dokonane zróżnicowanie jest raczej mylące. Wydaje mi się, że podział zasadniczy powinien zostać dokonany na: (a) kierunki demokratyczne i (b) kierunki totalitarne. Pierwsze, to te, które akceptują system parlamentarny, tzn. wolę większości wyborców. Co do drugich, nie widzę specjalnych różnic pomiędzy działaniem prawicy (na przykład junty argentyńskiej czy rządu Pinocheta) a lewicą (w krajach rządzonych przez komunistów). Różnic ideologicznych też nie ma, bo w końcu wszystko jedno jak się nazwie wroga, którego trzeba zwalczyć przed osiągnięciem „pełni szczęścia”.

Z braku lepszych określeń, kierunki demokratyczne można zdefiniować jako prawicowe i lewicowe. Wydaje mi się, że określanie ich jako „zachowawczych” i „postępowych” jest jeszcze gorsze. Jest sprawą mocno dyskusyjną, czy w Wielkiej Brytanii bardziej postępową jest Partia Konserwatywna, czy też Partia Pracy, która ponoć jest szalenie postępową.

Nie bardzo mam chęć podejmować polemikę odnośnie przydatności poszczególnych kierunków politycznych przy wydobyciu niepodległej Polski z obecnego kryzysu. Czytając wywody Karpińskiego miałem odczucie, że podobne rozważania wielokrotnie były w przeszłości publikowane. Wobec tego zastanawiam się, czy gdybym to ja napisał taki artykuł i przysłał do *Kultury*, czy nie ukazałaby się w rubryce „Odpowiedzi Redakcji” następująca notatka: „W.P., Australia: — Artykuł 'tytuł' nie wnosi nic nowego i jest źle napisany. Nie zamieścimy”.

Drugi powód jest bardziej trywialny. Jestem wiernym czytelnikiem *Kultury* od chwili osiedlenia się w Australii. Jako inżyniera z zawodu drażni mnie nieco, że w niemal każdym numerze jestem raczony zwrotami takimi jak na przykład ten: „(...)około 1000 tytułów rocznie, to operujemy cyframi znacznie wyższymi (...)”. Nie wymieniam nazwiska ani numeru do zbyt szanuję osobę, która napisała te słowa. Nie mniej warto wiedzieć, że operować można tylko i wyłącznie liczbami, a nie cyframi, bo tych ostatnich jest tylko dziesięć (od 0 do 9) i dopiero z ich kombinacji tworzone są liczby. Będę Panu wdzięczny, jeśli w przyszłości spróbuje Pan zwracać uwagę autorom na ten drobiazg.

Mając nadzieję, że zechce Pan łaskawie wybaczyć mi moje złośliwości, życzę Panu i całemu zespołowi *Kultury* wszelkiej pomyślności w roku 1987 i w wielu latach następnych.

Pozostaje z pozowaniem

Wojciech POPEŁAWSKI

Rice University, Houston, 8 stycznia 1987.

Drogi Panie Redaktorze,

Uważam Michała Hellera za najlepszego z politologów, pisujących regularnie w *Kulturze*; mam więc nadzieję, że poniższa krytyka nie zostanie zrozumiana jako wyraz niechęci do jego osiągnięć. Mowa o jego recenzji książki Zbigniewa Brzezińskiego *The Game Plan* (*Kultura* nr 12/471, grudzień 1986).

Heller zarzuca Brzezińskiemu „sprzeczności w opisie sytuacji” (str. 47): z jednej strony Brzeziński twierdzi, że „ideologia marksistowska jest mar-twa”; z drugiej zwraca uwagę na jej wzrost i owocowanie w Ameryce Łacińskiej. Hellerowi nie podoba się, że Brzeziński „wymyennie używa przymiotników 'rosyjski' i 'sowiecki'” (*ibidem*), że twierdzi, że plany sowieckie są dowodem historycznego rosyjskiego dążenia do panowania nad światem, podczas gdy jak wiadomo więcej się w obecnej Rosji mówi o Leninie niż o wszystkich carach razem wziętych. Nie podoba się też Hellerowi to, że

Brzeziński tak lekko przechodzi do porządku dziennego nad kontynuacją zachodniej, a zwłaszcza amerykańskiej gotowości niesienia pomocy technicznej i finansowej Związkowi Sowieckiemu.

Zdaniem Hellera, sowietyzm i rosyjski nacjonalizm są pojęciami wzajemnie się wykluczającymi; w sowietyzmie ideologia marksistowsko-leninowska dzierży prym, podczas gdy w szowinistycznym nacjonalizmie gra rolę historyczystyczna koncepcja narodu. (...)

Nie bardzo widzę, o co Heller kruszy kopie. Niewątpliwie jest w sowietyzmie element nowy, a więc przede wszystkim radykalny ateizm i historycyzm. To jednak nie oznacza, że idea Trzeciego Rzymu, czy w ogóle mania nacjonalistyczna z posmakami millenarnym, nie jest w dalszym ciągu bardzo silna wśród Rosjan; stanowi ona jedną z podpór systemu sowieckiego. W przeciwieństwie do Niemców, którym przegrana wojna i pierwszy rozbiór nieco dały do myślenia, Rosjanie, którym nieprzerwana ekspansja od czasów moskiewskich znieszczała obraz świata, są w porównaniu z innymi narodami uderzająco szowinistyczni. Świadectw na to mnóstwo, od hymnu Związku Sowieckiego począwszy do literatury pięknej, sowieckiej i emigracyjnej. Są naturalnie wyjątki.

Nie mówi się dziś oczywiście o Trzecim Rzymie. Ale idee mają swoje konsekwencje, i tak jak Hegla i Fryderyka Wielkiego można uważać za dziadków Hitlera, Piotra Wielkiego i Iwana Groźnego można uważać za pradziadków Stalina i pra-pradziadków Gorbaczowa. Idea poddania się państwu jest tu jedną z nici łączących te różne typy agresywnych mocarstw.

Wszystkie te rzeczy Brzeziński, moim zdaniem, uwzględnia w swojej książce. Nie neguje roli historii, doceniając jednocześnie rolę marksizmu jako potężnego i unikalnego pchnięcia naprzód po millenarystycznej drodze.

Wśród zachodnich sowietologów często spotyka się to niemądre pragnienie wyłączenia: wyłumaczeniem sowieckiego imperium jest albo marksizm, albo rosyjski szowinizm. Rzadko tak bywa, aby wielkie polityczne zjawiska miały tylko jedną przyczynę. Czy nie można się zgodzić, że przyczyn jest co najmniej dwie, a na pewno jeszcze więcej? Za trzecią przyczynę można by uznać rosyjskie *dwojewierije* — mieszanie chrześcijaństwa i pogaństwa, która według Nikołaja Andriejewa charakteryzowała rosyjską religijność.

W Rosji i przedtem w państwie moskiewskim bardzo silna była wiara w tajemniczą potęgę „świętych pomyślników”, których ludzie się bali, którzy przypominali bardziej pogańskich szamanów niż chrześcijańskich pustelników, i których przedstawicielem był Grigory Rasputin. Tacy ludzie umocnili wiarę i przyzwyczajenie wielu Rosjan do „cudu, tajemnicy i autorytetu”, co jest dobrym przygotowaniem na totalną kontrolę społeczeństwa.

Wszystkie te przyczyny wzajemnie się nie wykluczają. Ale cechą języka ludzkiego jest to, że jeżeli mówi się o jednej rzeczy, pomija się tym samym wszystkie inne. Tak więc niektórzy autorzy koncentrują się na jednym problemie w jednej części książki, a na innym w drugiej. Wynikają z tego niekonięcznie sprzeczności, jak chce Heller, ale raczej w miarę pełny obraz przyczyn i skutków.

I jeszcze jedno. Wiem, że Heller jest znany i ceniony wśród francuskich sowietologów, że jest współredaktorem paru kwartalników naukowych itd. Brzeziński natomiast jest politykiem, a nie tylko naukowcem czy profesorem uniwersytetu. Bardzo łatwo jest tym z nas, którzy tylko profesurują i pisują w kwartalnikach, domagać się jakichś metodologicznie idealnych naświetleń przedmiotu w książkach, pisanych przez innych sowietologów. Politycy natomiast mają przed oczyma nie tylko sale akademickie i kolegów, ale prawdziwy świat — świat wpływów, świat politycznych machinacji. Piszą, mając przed oczyma ten świat. Nie ujmę chyba czi nikomu, jeżeli zauważy, że profesorowie uniwersytetu i naukowcy polskiego pochodzenia, z bardzo niewielu wyjątkami, nie mają nieomal wcale wpływu na świat rzeczywistej

polityki. Brzeziński jest w innej sytuacji. To, co on pisze, należy odeztywać, mając tę jego podwójną rolę naukowca i polityka na uwadze.

Zastąpienie Rosji sowieckiej Rosją silnie nacjonalistyczną załatwiłoby być może sprawę dla narodów i państw większych, i geograficznie odległych od Rosji, takich jak Francja. Nie załatwiłoby jej natomiast dla narodów i państw sąsiadujących z Rosją. Brak wrażliwości na potrzeby i aspiracje narodów i państw nierosyjskich, które obecnie albo wchodzą w skład Związku Sowieckiego albo z nim sąsiadują, cechuje znaczną część emigracyjnej prasy rosyjskiej oraz tzw. antysowieckie koła na Zachodzie. Koła te często chciałyby posłużyć się tymi nierosyjskimi narodami i państwami jako mięsem armatnim w walce z sowietyzmem, ale los ludności tych terenów, los kultury i wartości moralnych przez nią kultywowanych jest im w zasadzie obojętny.

Należy dziękować Brzezińskiemu, że w swojej książce nie dołączył się do tego chóru. (...)

Przytoczę tutaj anegdotkę. W Nowym Jorku rozmawiają dwie osoby, grające na giełdzie. Jeden mówi: „Panie, w Argentynie było trzęsienie ziemi”. A drugi odpowiada: „Panie, a jak to wpłynie na akcje fabryki maszyn do szycia, które właśnie kupiłem?”. (...)

Wydaje mi się, że Brzeziński, jak zresztą i inni politycy, patrzy na sprawy tak, jak czynią to nowojorscy giełdciarze. My zaś, profesorowie uniwersytetów, możemy sobie pozwolić na luksus interpretacji monistycznej, na sprowadzanie problemów do jednej tylko przyczyny. Tak jest najłatwiej trafić do tej widowni, u której szukamy uznania, tzn., do naszych akademickich kolegów. Jak wiadomo, książki, mówiące o skomplikowanych przyczynach zjawisk, trudno jest metodologicznie dobrze zorganizować; najłatwiej pisać książki, propagujące przyczyny najprostsze i najłatwiejsze do zrozumienia.

Innymi słowy, zarzucam Hellerowi to, że nie uwzględnił w swojej krytyce książki Brzezińskiego tego, o czym na pewno doskonale wie: że wizja polityka różni się od wizji naukowca.

Łączę wyrazy szacunku

Ewa M. THOMPSON

Drogi Panie Redaktorze,

Paryż, 5 lutego 1987.

Przeczytawszy list Ewy M. Thompson, przede wszystkim postanowiłem, że gdybym kiedyś potrzebował obrońcy, nie wybiorę pani Thompson. W liście swym pani profesor dyskutuje z moimi poglądami, wyrażonymi w recenzji z książki Zbigniewa Brzezińskiego „Plan gry” (*Kultura* nr 12/471). Wyłożyłem w niej swój punkt widzenia na naturę Związku Sowieckiego i jego miejsce w dzisiejszym świecie, punkt widzenia odmienny od opinii profesora Brzezińskiego. Prof. Thompson uważa, że nie mam racji, ma natomiast rację prof. Brzeziński. Spory na temat książek i poglądów są sprawą ważną. Jest zupełnie możliwe, że kiedyś w dalekiej przyszłości będzie dla naszych potomków oczywiste, że rację mieli moi amerykańscy oponenci.

Prof. Thompson tłumaczy mi, że się mylę, bo zajmuję się tylko badaniem historii ZSSR, a „Brzeziński jest nie tylko naukowcem czy profesorem uniwersytetu”, ale i politykiem. Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości: dobrze znam i naukę, i polityczną działalność Zbigniewa Brzezińskiego. Dziwna wydała mi się tylko definicja słowa „polityk”, którą posługuje się prof. Thompson. Nam, profesorom uniwersytetu — powiada prof. Thompson — „łatwo domagać się jakichś metodologicznie idealnych naswieśleń przedmiotów w książkach pisanych przez innych sowietologów”. Nato-

miast politykom trudno. Dlatego, że politycy żyją w „prawdziwym świecie”, „świecie wpływów, świecie politycznych machinacji”. Naturalnie nigdy nie przyszło mi na myśl, że „żyjąc w świecie politycznych machinacji” wszyscy stają się politycznymi macherami. Prof. Thompson dodaje, dla większej jasności: „Brzeziński, jak zresztą i inni politycy, patrzy na sprawy tak, jak czynią to nowojorscy giełdciarze”.

Nigdy nie patrzyłem na Zbigniewa Brzezińskiego jak na politycznego machera ani „giełdciarza”. Uważam go za historyka, który zajął się polityką. Tak już z historykami bywało. Podobnie jak zdarzało się politykom pisać książki o historii. Problem, wydaje mi się, nie w tym, kto się czym zajmuje, a w tym, jakie jego działanie przynosi rezultaty. Jedynym kryterium polityki jest skuteczność. Odnosi się to naturalnie także do polityków. Wydaje mi się, że w ostatnich dziesięcioleciach działalność amerykańskich historyków, którzy zajęli się polityką, nie dała — mówiąc ostrożnie — pozytywnych rezultatów.

Pani Thompson pisze: „Nie bardzo widzę, o co Heller kruszy kopie”. To naturalnie moja wina — nie dość jasno wyraziłem swą myśl. Jest ona prosta: historyk Zbigniew Brzeziński opisuje w swej książce wroga, który nie istnieje, nie widzi natomiast (nie chce widzieć) wroga, który realnie zagraża Stanom Zjednoczonym. Myślę, że i prof. Thompson się ze mną zgodzi: nawet do robienia machinacji i grania na nowojorskiej giełdzie potrzebna jest znajomość przeciwnika.

Z poważaniem

Michał HELLER

Berlin, 6 lutego 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę Pana poinformować i za Pana uprzejmym pośrednictwem Czytelników *Kultury*, że przestałem reprezentować na Zachodzie interesy niezależnego wydawnictwa „Przedświt”.

Łączę wyrazy szacunku

Andrzej WIĘCKOWSKI

Bern, 24 stycznia 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Konstanty A. Jeleński w szkicu „o przyjaźni Czesława Miłosza ze Stanisławem Vincenzem” (*Kultura* nr 1-2, 1987) popełnia przynajmniej dwa błędy, które należy skorygować. Pisze więc o Miłosza „The History of Polish Literature”, jako o „jedyną książkę napisaną po angielsku i przetłóżoną dotąd jedynie na francuski”, co jest nieprawdą. Ukazało się bowiem w 1981 roku w Kolonii niemieckie tłumaczenie w wydawnictwie „Wissenschaft und Politik” pt. „Geschichte der polnischen Literatur” w tłumaczeniu (*nota bene* z „angielskiego i polskiego” — podkreślenie moje) Arthura Mandel. Dalej Jeleński pisze, że Miłosz w tej pracy „łączy [...] Vincenza z jego przyjacielem Stanisławem Stempowskim...”. Chodzi rzecz jasna nie o Stanisława, ale o Jerzego Stempowskiego, syna Stanisława. W moim niemieckim egzemplarzu Miłosz łączy właśnie Jerzego Stempowskiego z Vincenzem. Nie znam francuskiego tłumaczenia, ale nie sądzę, by tłumacz „przetłumaczył” Jerzego na Stanisława.

Jerzy Stempowski był w wielkiej przyjaźni ze Stanisławem Vincenzem. Razem uciekali z ogarniętej wojną Polski, o czym Stempowski pisał w liście do ojca, Stanisława, 27 września 1945 roku: „W dniach exodu, które zastały nas w Słobodzie, spojrzeliśmy po sobie, kto z nas powinien się skryć. Wypadło z tego egzaminu, że Vincenz, ojciec i syn, i ja powinniśmy wyjść w góry i zobaczyć, co się dzieje na granicach. Stamtąd mieliśmy wrócić, aby ewentualnie wyprowadzić pozostałych lub zostać na miejscu, gdyby okoliczności tak wskazały. (...) Ufni w naszą znajomość gór, zapewniającą nam możliwość powrotu w razie niepomyślnego obrotu rzeczy, weszliśmy w obcy kraj, bardzo dziwny i rozmaity, szukając w nim oparcia dla naszych planów. (...) Przez pewien czas zagrożeni aresztowaniem ukrywaliśmy się na wsi u starego szlachcica, gdzie życie było mniej więcej takie, jak w czasach młodości naszego dziadziunia. (...) Vincenz z synem przeszli pierwsi na północny stok, tam wpadli w pierwszy patrol jaki wyszedł w góry i znikli dla mnie na długie miesiące”.

Czytając fragment dotyczący Vincenza, który Jeleński przetłumaczył z francuskiego tłumaczenia „The History of Polish Literature”, dochodzę do wniosku, że niewiele ma on wspólnego z tłumaczeniem niemieckim. Konsultant A. Jeleński tłumaczy m.in.: „Średnie wykształcenie w Europie przed pierwszą wojną sprzyjało — poprzez nacisk stawiany na klasyczne języki — prawdziwie cywilizowanemu podejściu do zagadnień społecznych. Zarówno Stempowski jak Vincenz czytali Homera w oryginale”. Odpowiedni fragment z tłumaczenia niemieckiego brzmi: „Gimnazjum humanistyczne, w którego planie nauczania na pierwszym miejscu stały języki antyczne, dało swoim uczniom pewną kulturę m.in. poprzez to, że autorzy antyczni czytani byli w oryginale. To dotyczy prócz Stempowskiego, Vincenza i wielu innych także Jana Parandowskiego...”. O Homerze ani słowa.

Jeszcze jeden fragment z tłumaczenia Jeleńskiego: „... (jego szkice o węgierskim krajobrazie wpisują weń historię tego kraju)...”. Z tłumaczenia niemieckiego ten fragment brzmi: „... i pisze tam rozważania dotyczące węgierskiej historii, która się w tym krajobrazie odzwierciedla”. Więc co jest prawdą, co jest tłumaczeniem, a co interpretacją?

Z wyrazami poważania

Jan Stanisław WITKIEWICZ

Paryż, 30 stycznia 1987.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Jan Stanisław Witkiewicz uprzedził mnie, wskazując na błąd, który dostrzegłem dopiero odczytując mój tekst w *Kulturze*. Chodzi oczywiście o Jerzego a nie o Stanisława Stempowskiego.

Fragment dotyczący Vincenza przetłumaczyłem z angielskiego oryginału, a nie z francuskiego tłumaczenia „Historii polskiej literatury” i za wierność swego przekładu ręczę.

Nigdy nie słyszałem o niemieckim wydaniu książki Miłosza, a jeśli p. Arthur Mandel twierdzi, że tłumaczył ją z angielskiego i polskiego (a wersja polska pióra Miłosza nigdy nie istniała), wyjaśnia to może wątpliwości wyrażone przez Witkiewicza.

Łączę wyrazy szacunku i serdeczny uścisk dłoni.

K. A. JELEŃSKI

Dokumenty

NIEZALEŻNY RUCH WYDAWNICZY

(OPRACOWANIE SPOŁECZNEJ RADY WYDAWNICTW NIEZALEŻNYCH)

Społeczna Rada Wydawnictw Niezależnych

Rada Wydawnictw Niezależnych powstała z inicjatywy przedstawicieli Funduszu Niezależnych Wydawnictw, TKK „Solidarność” i samych wydawców, mających poczucie odpowiedzialności za swoją działalność i wykorzystywanie funduszy przeznaczonych na cele wydawnicze. Zrodziło to potrzebę obiektywnego spojrzenia z zewnątrz na problemy działalności wydawniczej. Do Społecznej Rady Wydawnictw Niezależnych weszli przedstawiciele różnych środowisk o uznanym autorytecie moralnym i społecznym, nie związani bezpośrednio z żadnym z istniejących w kraju wydawnictw. Do zadań Rady należy:

1. Ocena produkcji wydawniczej z punktu widzenia poziomu publikowanych pozycji i ich znaczenia dla rozwoju kultury w najszerszym pojęciu słowa.

2. W miarę możliwości koordynacja planów wydawniczych poszczególnych wydawnictw w taki sposób, aby z jednej strony uniknąć niepotrzebnego rozpraszania sił i środków na wydawanie tej samej pozycji w kilku wydawnictwach (na przykład różnych tłumaczeń tego samego dzieła), z drugiej — nie stracić możliwości wydawania wartościowej książki lub czasopisma.

3. Ocena prawidłowości rozdziału i wykorzystania środków finansowych przeznaczonych na wydawnictwa (FNW).

4. Czuwanie nad przestrzeganiem etyki edytorskiej w stosunkach wydawnictwo — autor, wydawnictwo — wydawnictwo, przestrzeganie praw autorskich i praw do przedruków.

Odnośnie zadań wymienionych w punktach 1 i 2, należy od razu zaznaczyć, że SRWN nie prowadzi działalności nakazowej ani cenzuralnej, nie będzie narzucać wydawnictwom żadnych planów, linii i profilu wydawniczego, ani tym bardziej zalecać skreślenia jakichkolwiek pozycji. Rada wychodzi z założenia, że każde

niezależne wydawnictwo ma prawo kształtować swoją działalność według własnego uznania. Oceniając pozycje wydane i zaistniałą sytuację w danym wydawnictwie, Rada ma obowiązek wyrażać swoją opinię, wysuwać propozycje i sugestie dotyczące różnych aspektów tej działalności (treść, poziom, forma, wysokość nakładu, cena książki) oraz służyć radą w razie potrzeby. Żadna z tych opinii nie ma mocy nakazowej.

Głównym przedmiotem zainteresowania Rady jest działalność wydawnictw zrzeszonych w tzw. Konsorcjum Wydawniczym, będącym dysponentem FWN oraz wydawnictw, które są lub będą przez ten Fundusz wspomagane. Rada będzie jednak przyglądać się uważnie działalności innych wydawnictw, odgrywających znaczną rolę w niezależnym życiu kulturalnym i wyrażać opinię na ich temat. Przedstawione obecnie opracowanie jest pierwszym dokumentem Rady. Ze względu na krótki czas jej działalności należy je traktować jako wstępny raport.

Znaczenie wydawnictw niezależnych

Tu należy powiedzieć kilka słów o znaczeniu, jakie SRWN przypisuje niezależnemu ruchowi wydawniczemu w Polsce. Fenomen niezależnego ruchu wydawniczego (nrw) w Polsce jest bezprecedensowy; w żadnym z krajów bloku nie osiągnięto nawet w przybliżeniu podobnych efektów. Sądzymy, że ruch ten jest jednym z najważniejszych i mających najbardziej daleko sięgające znaczenie przejawów rosnącej od lat dążeń narodu polskiego do odzyskania niezależności duchowej, intelektualnej, kulturalnej, której usiłowano go pozbawić, do nawiązania tradycyjnych więzi z myślą europejską i światową, które starano się zerwać.

Ruch ten przez swoją różnorodność, przez swą zdolność do upowszechniania myśli niecenzurowanych, do ujawniania prawdy i przeciwdziałania blokadzie informacji uprawianej przez władzę spełnia wprost nieocenioną rolę w walce narodu o ocalenie i umocnienie swej tożsamości. Szczególnie doniosły jest jego wpływ na kształtowanie świadomości młodego pokolenia. Wielką rolę tego ruchu i jego największe dotąd osiągnięcia upatrujemy przede wszystkim w następujących dziedzinach:

1. W kształtowaniu prawdziwej i niezafałszowanej wiedzy o historii Polski, dziejach narodowych walk o niepodległość, o historii ustanowienia władzy komunistycznej w Polsce i jej poczynaniach w ciągu czterdziestu lat, o przejawach i formach oporu społecznego.

2. W upowszechnieniu wiedzy o istocie, metodach i prawdziwych celach systemu komunistycznego i innych reżymów totalitarnych, w demaskowaniu tworzonych przezeń mitów ideologicznych i przeciwdziałaniu jego fałszerstwom propagandowym. Między innymi, bardzo ważną funkcją nrw jest zwalczanie i demaskowanie „nowomowy”, ujawnianie nadużyć semantycznych, którymi władza komunistyczna obficie się posługuje.

3. W upowszechnianiu niedostępnych w oficjalnym obiegu wydawniczym najważniejszych osiągnięć światowej myśli politycznej, społecznej, ekonomicznej, humanistycznej; w dostarczaniu polskiemu czytelnikowi ważnych analiz i opracowań dotyczących świata, w którym żyjemy, a którego obraz jest systematycznie wypaczany w oficjalnych środkach przekazu i szkołach. To właśnie nie nrw zapoznał w szerokiej skali czytającą publiczność w Polsce z takimi autorami jak Orwell, Koestler, Jaspers, Popper, Hayek, Friedman, Kołakowski, Besançon i inni. To właśnie on upowszechnił dzieła Kundery, Seiferta, Sołżenicyna, Bukowskiego, Mandelsztama. Dzięki niemu ukazują się *Zeszyty Edukacji Narodowej* i inne publikacje niezbędne w niezależnej działalności oświatowej. Stale wydawane są przez Społeczny Komitet Nauki i temu celowi służą „Lektury Studenckie” (wyd. „in Plus”) a przez Społeczną Komisję Zdrowia *Zeszyty Niezależnej Myśli Lekarskiej* (wyd. TKO „Solidarność” Regionu Mazowsze).

4. W tworzeniu szans zapoznania polskiego czytelnika z ważnymi dziełami kultury polskiej powstającymi w kraju i za granicą, a które nie są dopuszczane do czytelnika przez działania cenzury. Jest to zarazem praca umożliwiająca istnienie kultury i twórców niezależnych i niekonformistycznych. Ma to szczególne znaczenie w przypadku twórców młodych, tych, których otówek cenzora usiłuje przekreślić i zepchnąć na margines.

5. W pracy na rzecz łączności pomiędzy Polakami w kraju i za granicą, a także pomiędzy Polakami a innymi narodami, zwłaszcza narodami sąsiadującymi z nami, na rzecz wzajemnego zrozumienia, a przeciw ideologii nienawiści, która jest podstawą propagandy oficjalnej.

6. W umożliwieniu istnienia i ujawniania się publicznie różnorodnej palety postaw, myśli, poglądów, ocen, propozycji, które łącznie tworzą dziś zaskakujące bogactwo życia intelektualnego w Polsce, nieistniejące w obiegu oficjalnym. Zjawisko to jest możliwe dzięki ukazywaniu się w „drugim obiegu” licznych pism reprezentujących inne kierunki myślowe. Wiele z tych pism ma już dziś pokaźny dorobek.

W każdej z tych dziedzin można już wymienić dziesiątki, a nawet setki publikacji, które ogromnie wzbogaciły życie umysłowe w Polsce. Jest ich tak wiele, że wyliczenie nawet najważniejszych nie jest tutaj możliwe. Niektóre z nich osiągnęły stosunkowo duże nakłady (kilka tysięcy, do czego doszły nowe wydania i dodruki), inne ukazały się w nakładach małych (około 500 egzemplarzy), ale wszystkie krążą po kraju i znajdują swoich czytelników. Ich wpływ i znaczenie rosną, czego dowodem może być fakt, że ślady ich oddziaływania dają się coraz częściej zauważyć także i w obiegu oficjalnym. Zignorować ich już nie można.

Próba krytycznej oceny

Niezależny ruch wydawniczy jest niezmiernie trudny do oceny z racji znanej niedostępności pełnych danych statystycznych.

Wiemy, że mamy obecnie ok. 100 różnie działających wydawnictw (w porównaniu z około 35 przed Sierpniem, około 200 w czasach „Solidarności”, oraz około 80 w stanie wojennym). Różna jest ich stabilność, wydajność, poziom działalności, nie możemy z przy czyn zrozumiałych ocenić zasad ich organizacji. Wymierna jest jedynie produkcja, chociaż stanowi ona wypadkową wielu zmieni nych czynników, których nie możemy znać i wśród których ele menty rachunku ekonomicznego krzyżują się albo są krzyżowane przez wypadki losowe.

Kryteria doboru pozycji są na pierwszy rzut oka bardzo róż norodne. Jedni wydawcy myślą bardziej o doraźnym efekcie i chodliwości. Inni mają na uwadze długofalowy interes społecz ny (tu można by wskazać zwłaszcza NOW-ą i Oficynę Literacką). W sumie jednak nrw jako całość zdolny jest do zaspokojenia bardzo szerokiego wachlarza potrzeb czytelnich. Mamy z jed nej strony zaawansowane inicjatywy typu leksykonowego, z dru giej elegancki komiks Fedorowicza; w środku zaś, prozę, poezję, publicystykę, eseistykę, historię Polski i innych krajów, historię idei, politologię, publikacje źródłowe i dokumentacyjne, reporta że, wywiady itp.

Są tu wznowienia i utwory oryginalne, repliki edycji emigra cyjnych, tłumaczenia z wielu języków obcych. Wśród tych ostat nych zwraca szczególną uwagę i bardzo cieszy sięganie do dorob ku sąsiedzkiego. Umożliwia to autentyczne, stopniowe ogranicza nie polskich uprzedzeń wobec Rosjan, Ukraińców, Litwinów, Cze chów, Niemców. Działanie takie bez nrw byłoby w ogóle nie do pomyślenia. Korzystnie wygląda w nrw obecność znaczących auto rów polskich, którzy znają teraz alternatywę wobec bezprawia cenzury. Tak np. Konwicki, Newerly i wielu innych jeśli mogą, wydają oficjalnie, jeśli nie — w nrw. I tak jest dobrze. Szeroki, prawie nieograniczony, poza zupełnymi skrajnościami z lewa i z prawa, jest wachlarz postaw i poglądów. W zasadzie każda utrwalona piórem wizja świata, o ile jest ciekawa, może liczyć na znalezienie wydawcy. Jest to jakby paradygmat sytuacji w przyszłej, prawdziwie demokratycznej Polsce.

Uderza wszechstronność działalności nrw. Jest to prawie nor malny ruch wydawniczy i jeśli założyć abstrakcyjnie, że miałyby się do jego wyników systematyczny, swobodny dostęp, to wy starczyłoby te lektury zaokrąglić pewną ilością wybranych pozy cji wydawnictw katolickich i obiegu oficjalnego, aby otrzymać efekt pełni. Ważne na przyszłość jest umiejętne zachowanie pro porcji między edytorskimi działaniami doraźnymi, społecznie lu bianymi i potrzebnymi — a polityką całkowicie niezależną od przeciwnika, nie wdającą się w boks na ringu, kształtującą wła sną wizję życia duchowego Polaków. Na dłuższą metę pożądane jest z pewnością zmienianie tych proporcji — ku całkowitej nie zależności.

Zasługuje na podkreślenie rola tych wydawnictw, których ofi cyny publikują również czasopisma. Nie jest to proceder łatwy, ani szczególnie opłacalny, ale ma kapitalne znaczenie dla życia umysłowego i kultury. Rozkwit czasopiśmiennictwa (co najmniej

kilkanaście tytułów bardzo wartościowych, kilka znakomitych) jest bodaj najbardziej spektakularnym sukcesem nrw i wszyst kich niezależnie myślących Polaków w ostatnim dziesięcioleciu.

Uwagi krytyczne dotyczą doboru pozycji w ostatnim dziesię cioleciu. Zdarzają się, chociaż niezbyt często, szmiry typu oświe cionego Dalcza lub antykomunistycznego prymitywu w rodzaju „Lenina” Ossendowskiego. Rysuje się niebezpieczeństwo innych podobnych inicjatyw, animowanych chęcią „przyłożenia czerwone mu”. Należy dążyć do znalezienia skutecznych form perswazji lub antybodyców. Inaczej pogoń za doraźnym efektem czy zys kiem i schlebienie złym gustom może dawać opłakane skutki.

Oczywiste, ale trudno osiągalne jest życzenie podwyższania poziomu edytorskiego, a zwłaszcza czytelności, która budzi la menty odbiorców. Zwraca uwagę fakt, że niektóre wydawnictwa osiągnęły tu świetne efekty (np. Szestomy i Malia w OL), trudno jednak wobec znanych trudności stawiać pod tym względem jed ne wydawnictwa za przykład innym. Można natomiast postu lować:

— poświęcanie większej troski opracowaniu redakcyjnemu tekstów (w pewnych okresach, np. we wczesnym stanie wojen nym, miało się wrażenie, że niektóre wydawnictwa w ogóle ob chodziły się bez redaktorów) a także korekcje. Ta ostatnia jest z reguły bardzo słabą stroną (por. np. horrendalne niechlujstwo zastróżonej OL w „Tamtych brzegach” Nabokova);

— kalkulowanie nakładu i organizowanie kolportażu (jedno i drugie, rzecz jasna, w miarę możliwości) tak, aby książki lub czasopisma nie stawały się jedynie tytułami dla chwały, odnoto wanymi przez zawodowców i koneserów oraz chomikowanymi przez grono bibliofilów, lecz rzeczywiście szły w Polskę. Problem ich dostępności rzeczywiście budzi frasunek. Znalezienie właści wego rozwiązania tego problemu wydaje się bardzo trudne;

— respektowanie elementarnych moralnych i materialnych praw i interesów autorów. Tu również sytuacja stwarza pewne przymusy i konieczności zachowań niekonwencjonalnych. Nale ży jednak unikać zdarzających się tu i ówdzie rezygnacji z przy jętych już zobowiązań publikacyjnych, a nawet nieuczciwości płatniczych.

Konsorcjum Wydawnicze a niezależny ruch wydawniczy

Konsorcjum Wydawnicze powstało w wyniku podpisania umo wy pomiędzy sześcioma dużymi wydawnictwami niezależnymi (KOS, NOW-a, CDN, Krąg, Przedświt, Oficyna Literacka). Firmy te legitymują się wieloletnią działalnością wydawniczą. W ciągu ostatniego roku wydały one 65 pozycji książkowych i broszur oraz wspierały lub współwydawały 9 czasopism. W wydawnic twach tych ukazały się książki o zasadniczym znaczeniu dla życia kulturalnego kraju.

Konsorcjum dysponuje Funduszem Wydawnictw Niezależnych. W 1986 roku z FWN otrzymało dotacje 46 wydawnictw niezależ

nych (wliczając w to sygnatariuszy konsorcjum), w tym aż 30 pozawarszawskich. Według opinii Rady fundusze te zostały przyznane w sposób uzasadniony i celowy. Szczególnie ważny jest fakt, że dotowano tak wiele wydawnictw spoza Warszawy, a wśród nich wydawnictw z tak niewielkich — a już liczących się w ruchu wydawniczym — ośrodków jak np. Kielce lub Siedlce. W przybliżeniu można określić liczbę pozycji książkowych lub większych broszur wydanych przez wydawnictwa dotowane z PWN (poza konsorcjum) na około 250.

Przynależność do konsorcjum i korzystanie z FWN lub innych dotacji jest sprawą całkowicie dobrowolną. Niektóre firmy wydawnicze, np. „Głos”, wychodzą z założenia, że wydawnictwa niezależne powinny całkowicie finansować się same, a nawet — wzorem firm w świecie zachodnim — przynosić zysk obracany na dalszy rozwój wydawnictwa, wyższe honoraria autorskie itp. Takie stanowisko jest pełnym prawem niezależnego wydawnictwa, tym bardziej tak zasłużonego i prowadzącego bogatą działalność, jak „Głos”.

Niepokój Rady budzą jednak rosnące stale ceny książek, które dawno już przekroczyły możliwości przeciętnych odbiorców, a zwłaszcza młodzieży. Zdaniem Rady dotowanie wielu wydawnictw jest bezwzględnie konieczne. Pomimo bowiem zasady, do której spełnienia należałoby dążyć, że wydawnictwa niezależne powinny zarabiać na siebie (można to osiągnąć m.in. przez zwiększenie nakładów), istnieją inicjatywy wydawnicze, które muszą być wspomagane, a ceny niektórych pozycji powinny być niskie, a nawet poniżej kosztów własnych. Są to przede wszystkim pozycje o znaczeniu edukacyjnym, przeznaczone dla studentów i uczniów, doksztalające robotników, pozycje encyklopedyczne oraz publikacje o wybitnej roli kulturowej (np. Kersten). Rada uważa za niezbędne wspieranie takich inicjatyw.

Niepokojąca sytuacja powstała — zdaniem Rady — w związku z niechęcią firm do druku czasopism. Takie trudności miała np. *Kultura Niezależna*, *Obóz*. Niektóre periodyki drukujące aktualne materiały społeczne lub polityczne ukazują się z takim opóźnieniem, że tracą całkowicie swój sens, a zatem i odbiorców. Stanowi to niepowetowaną stratę moralną i materialną. Rada wyraża opinię, że wydawnictwa winny współpracować z redakcjami, spełniać opiekę nad czasopismami i dbać o ich regularne ukazywanie się. Wydawnictwa, które będą drukować periodyki ważne dla kultury społecznej zgodnie z zasadami obowiązującymi w tego typu produkcji (terminowość i regularność), powinny otrzymywać w pierwszej kolejności dotacje z FWN.

Opracowano kryteria a) przynależności do konsorcjum, b) dotowania wydawnictw z FWN.

a) Do konsorcjum mogą wchodzić duże wydawnictwa legitymujące się bogatą działalnością wydawniczą, obejmującą książki oryginalne polskich i obcych autorów oraz czasopisma o dużym znaczeniu kulturalnym i społecznym. Pozycje wydawane przez firmę pretendującą do wejścia do konsorcjum muszą przedstawiać wysoki poziom merytoryczny lub literacki oraz dobrą formę

edytorską i techniczną. Jeżeli firma należąca do konsorcjum przez dwa lata nie wyda żadnej pozycji lub odmówi współpracy z redakcją uznanego czasopisma bez istotnych niezależnych od nich przyczyn — może na wniosek Rady zostać wykluczona z konsorcjum.

b) O dotację lub pożyczkę z FWN mogą ubiegać się wydawnictwa, które wykażą się dokonaniem uprzednio konkretnym przedsięwzięciem wydawniczym o walorach kulturowych lub edukacyjnych. Przy rozpatrywaniu zasadności dotacji będą brane pod uwagę warunki w jakich działa wydawnictwo, środowisko, do którego adresowana jest produkcja wydawnicza i poziom techniczny tej produkcji. Preferowane będą wydawnictwa opiekujące się czasopismami. Przyznaje dotację konsorcjum. W wątpliwych wypadkach konsorcjum zasięga opinii Rady.

Spółeczna Rada Wydawnictw Niezależnych uważa, że nrw jest naszym największym atutem, najskuteczniejszą formą więzi ze społeczeństwem i oddziaływania na nie, a także największym tytułem do chwały i propagandy w świecie. Póki nie ma mowy o manifestacjach, strajkach, protestach itp. — niezależny ruch wydawniczy stanowi nasz główny front. Wydawnictwa niezależne są najpoważniejszą bronią społeczeństwa w walce o spełnienie jego uzasadnionych aspiracji.

Warszawa, grudzień 1986 r.

(Serwis informacyjny Społecznego Komitetu Nauki nr 40 z 11 stycznia 1987)

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU
LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS
 123, Bld Saint-Germain, 75006 Paris
 Tel.: 43 26 04 42

POLAK ZWIEDZA PARYŻ
Przewodnik

opracował
JAN WINCZAKIEWICZ

Wydanie czwarte uzupełnione.
 Sztuchy, fotografie, plany dzielnic.

Str. 192.

Cena F. 50,00.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie na żądanie.

Stały Czytelnik ZR (RFN) — dla uczczenia 40-tej rocznicy Instytutu Literackiego z życzeniami dalszych 60-ciu — DM 40,00	F. 130,00
Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii, Wellington (nadesłała Cz. Markowska), po raz 9-ty — \$ US 25,00	F. 142,50
Adam Sułkowski, Sudbury MA (USA), po raz 3-ci — \$ 16,00	F. 90,00
S. Szynalski, Sainte-Agathe, Man. (Kanada), po raz 11-ty — \$ c. 56,00	F. 246,00
Zbigniew Tazbir, New Britain, CT (USA), po raz 2-gi — \$ 20,00	F. 112,50
Aleksander Waroczewski, Etobicoke, Ontario (Kanada), po raz 23-ci — \$ c. 70,00	F. 308,00
Lucie Wieczorek, Rueil-Malmaison (Francja)	F. 100,00
Płk Jan Woźniak, Londyn, po raz 21-szy i 22-gi po £ 20,00 = £ 40,00	F. 360,00
Lech Wypych, Bad Schwalbach (RFN) — DM 20,00	F. 65,00
Janusz Zembrzusi, Angelet (Francja), po raz 44-ty	F. 425,00
Sophie Złowodzki, Paryż	F. 200,00
Teresa Żurawska, Cambridge, Ontario (Kanada), po raz 4-ty	F. 60,00
Beziemiennie z Baden (Szwajcaria), po raz 11-ty — Frs. 100,00	F. 380,00
Beziemiennie z Milwaukee, WI (USA), po raz 22-gi — \$ 22,00	F. 125,00
Beziemiennie ze Szwajcarii, po raz 18-ty	F. 360,00
Beziemiennie z Wenezueli, po raz 3-ci	F. 12,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Dochód ze sprzedaży biletów w czasie spotkania w Domu Polskim w Göteborgu z okazji 40-tej rocznicy Kultury na fundusz niezależnych wydawnictw w Polsce — Krs 277,00	F. 263,00
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL	F. 200,00
Leon Grobelny, Dearborn, MI (USA) — \$ 20,00	F. 120,00
Janusz Helle, Bonn (RFN) — DM 30,00	F. 99,88
Kamiński, Trenton, N.J. (USA) — na pomoc dla walczących w Kraju — \$ 20,00	F. 112,50
Komitet Rzym-Kat. Misji św. Stanisława w St. Petersburg, FL (USA) — sumę zebraną wśród parafian 8 stycznia 1987 r. przekazuje na pomoc dla polskich dzieci chorych na gruźlicę na ręce Prymasowskiego Komitetu Charytatywno-społecznego w Warszawie (nadesłał dr Szmigiel)	F. 2.895,75
Koło nr 13 S.P.K. i Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipegu (Kanada) — sumę zebraną w czasie wyświetlania filmów przekazują na rozwój kultury niezależnej w Polsce (nadesłała Anna Howiecka) — \$ c. 130,00 ..	F. 565,00
Zofia i Jan Łukjaniec oraz Eugenia Klimkowska, Camino, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Henryka Widawskiego, zmarłego w Glendale, CA — \$ 40,00	F. 232,50
Organizatorzy wieczoru karnawałowego w Binningen k/Bazyli (Szwajcaria) — część uzyskanego dochodu przekazują na pomoc dla walczących w Kraju (nadesłał Stanisław Komorski) — Frs 200,00	F. 760,00

Marian Orłowski, Brooklyn, N.Y. (USA) — złożył w Redakcji Listów do Polaków na ruch oporu w Polsce — \$ 10,00 ..	F. 52,50
Pamięci Haliny Tomaszewskiej, dziennikarki i korespondentki wojennej — przekazuje na pomoc dla walczących w Kraju brat z Sydney, E. J. Tomaszewski	F. 500,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Trangsund (Szwecja) — Krs 200,00	F. 190,00
Towarzystwo Przyjaciół Kultury i Sztuki Polskiej „Zachęta” w Winnipegu, Man. (Kanada) — na rozwój i działalność niezależnej kultury w Polsce (nadesłała Helena Nikodem) — \$ c. 117,52	F. 510,00
Turysta z Polski na ruch oporu w Polsce — \$ US 10,00	F. 52,50
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada)	F. 471,71
Stanisław J. Zaremba, Bordentown, N.J. (USA) — \$ 10,00 ..	F. 52,50
Za głupią, złośliwą, małostkową odmowę paszportu pewnej sympatycznej pani z Poznania, sympatyczny pan z Monachium przesyła na pomoc dla opozycji w Polsce	F. 300,00
Związek Polaków w Köping (Szwecja) — Krs 500,00	F. 475,00
N. Zaba, Sztokholm — zwrot 1/2 kosztów podróży do Göteborga na odczyt dotyczący jubileuszu Kultury i podróży do USA — na fundusz niezależnych wydawnictw w Polsce — Krs 123,00	F. 117,00
Złożyli w Redakcji „Listów do Polaków” w styczniu 1987: — Mona Danielska z Los Angeles, CA (USA) dla rodzin prześladowanych w Polsce przez reżim komunistyczny — \$ 100,00	F. 595,50
— Marian Orłowski, Brooklyn, N.Y. (USA) na Ruch Oporu w Polsce — \$ 10,00	F. 56,50

WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Anonimowo z USA — \$ 30,00	F. 172,50
A.A., N.Y.C. — \$ 50,00; B.B., N.Y.C. — \$ 25,00; E.R., N.Y.C. — \$ 15,00 — razem: \$ 90,00	F. 532,50
Beziemiennie z Thonex (Szwajcaria)	F. 370,00
Ignacy i Charlotte Bugajscy, Chicago, IL (USA) — złożyli w Redakcji Listów do Polaków na Solidarność Podziemną — \$ 10,00	F. 52,50
Lech Bykowski, Toronto, Ont. (Kanada) — na pomoc dla Solidarności Walczącej (nadesłał Jerzy Łapczyński) — \$ c. 60,00	F. 256,50
Ryszard Figurniak, Ithaca, IL (USA) — na Solidarność Podziemną — \$ 10,00	F. 52,50
Edward Mariani, Paryż	F. 200,00
M.A.B., Los Angeles, CA (USA) — zamiast kwiatów na trumnę śp. Wandy Wawroskiej, zmarłej 24 sierpnia 1986 w Los Angeles — na Fundusz Wydawniczy „Solidarności” — \$ 30,00	F. 172,00
Polish Canadian Action Group, Toronto, Ont. (Kanada) — na „Solidarność” w Polsce	F. 4.713,00
Polskie ugrupowania polityczno-społeczne „Niepodległość — Solidarność” w Calgary, Alberta (Kanada)	F. 205,48
Kazimierz A. Rożankowski, Ocean Grove, N.J. (USA) — na pomoc dla rodzin uwięzionych członków „Solidarności” — \$ 66,00	F. 392,50

Dr Zenon Sikora, Hagen (RFN) — na „Solidarność” w Kraju — DM 75,00	F. 247,00
Dr Danuta Stachiewicz, Gloucester, MA (USA) — \$ 100,00	F. 592,50
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipegu (Kanada) — sumę zebraną na mszy św. za Ojczyznę 14 grudnia 1986 r. w kościele św. Andrzeja Boboli (nadesłała Anna Howiecka) — \$ c. 297,00	F. 1.299,00
Stowarzyszenie „Solidarność” z Seattle, WA (USA) — na rzecz Solidarności Podziemnej (nadesłała Elżbieta Choszcz) — \$ 500,00	F. 2.992,50
Iwo Zmorski, Zurych (Szwajcaria) — na Solidarność Walczącą	F. 100,00

W PŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Bezimiennie z Oxley (Australia)	F. 479,55
Janusz Helle, Bonn (RFA) — DM 20,00	F. 66,40
Serge Lewonczuk, Strasbourg (Francja)	F. 140,00
J. Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada) — \$ c. 54,00	F. 232,00
Dr Wojciech Szczygielski, Weston, Ont. (Kanada) — za miesiące grudzień 1986 i styczeń 1987 — po \$ c. 25,00 = \$ c. 50,00	F. 212,50

Grupa Działania na rzecz NSZZ „Solidarność” w Montrealu przekazała za pośrednictwem Marka Przykorskiego \$ 2.500,00 z czego:	
— dla Ursusa — \$ 800,00	F. 4.800,00
— dla pisma <i>Wola</i> — \$ 800,00	F. 4.800,00
— dla Gorzowa — \$ 500,00	F. 3.000,00
— dla pięciu działaczy kultury niezależnej — po \$ 80,00 = \$ 400,00	F. 2.400,00

Dr Franciszek Kałuża, Pretoria (Afryka Południowa) — na S.O.S. Polonia	F. 100,00
--	-----------

N.N. z Londynu — na CDN (po raz drugi) — £ 185,00	F. 1.695,00
--	-------------

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1987.

Imprimé en France.

N° d'imprimeur 8182.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1986			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 8,50 DM 14,00 F. 41,00	\$ can. 47,00 DM 80,00 F. 230,00	\$ can. 92,00 DM 150,00 F. 440,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00 K.S. 41,00	F.S. 70,00 K.S. 230,00	F.S. 130,00 K.S. 440,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6. U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,00	\$ US 35,00	\$ US 68,00
WIELKA Brytania: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 424 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

zawiera m.in. opracowania: *Sprawa Bergu*; P. Wandycz: *Harriman a Polska*; J. Mirski: *Problemy językowe w kościołach rzymskokatolickich na Białorusi i na Ukrainie po drugiej wojnie światowej*; M. Polny: *Z literką „P”* — rozmowa z Marianem Terleckim; M. de Hernandez-Paluch: *Ja byłem krytyczny...* Rozmowa z prof. dr. hab. Pawłem Bożykiem, szefem zespołu doradców Edwarda Gierka; K. Modzelewski: *„Solidarność” w przededniu wojny* (Dokumenty), oraz Działy: **HISTORIA NIE TAK ODLEGŁA, WSPOMNIENIA, CI, CO ODESZLI, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 240.

Cena F. 70,00.



TOM 425 — DANIEL BEAUVOIS

POLACY NA UKRAINIE 1831 - 1863

**SZLACHTA POLSKA NA WOŁYNIU, PODOLU
I KIJOWSZCZYZNIE**

Z francuskiego przełożyli Ewa i Krzysztof Rutkowsy

„Za panowania króla Stanisława mieszkał ubogi szlachcic na Podolu”. Ilu ogółem mieszkano tam wtedy szlachciców ubogich i bogatych? Zapewne mniej więcej tyluż co w dobie Powstania Listopadowego: 140 tysięcy. Dalszych 270 tysięcy mieszkano na Wołyniu i na Kijowszczyźnie... Nikt jednak szczegółowo nie opisał historii unicestwienia całej grupy społecznej, którą była uboga szlachta na prawobrzeżnej Ukrainie... Historii zagłady pewnej swoistej kultury, zacofanej wprawdzie i która by uległa najpewniej powolnej erozji, ale którą zniszczyła kultura równie zacofana, tyle tylko, że władająca przemocą”.

(Z przedmowy Krzysztofa Pomiana)

Str. 296.

Cena. F. 120,00.